

# Paweł Siedlar

## Czekając w ciemnościach

2002

*Opowieść tę dedykuję profesorowi Aloisowi Ternclavennie. Jednocześnie składam mu wyrazy gorącej wdzięczności za pomoc i daleko idącą cierpliwość okazywaną mi na każdym kroku.*

*Paulus von Zidler*

Monice N. – Czarodziejce, która przywraca do życia umarłe żółwie

### I

Gdy za kolejnym zakrętem, hen nisko w dolinie po raz pierwszy ujrzałem niewielkie, senne miasteczko, odniosłem wrażenie, że mam przed sobą makietę, model wykonany rękami rozmiłowanego w detalach perfekcjonisty. Ciemne kontury zabudowań odcinały się wyraźnie od kolorowej szachownicy pól uprawnych i zielonych połaci winnic. Ten widok trwał przez dwie, może trzy sekundy. Czekałem, aż za następnym i następnym zakrętem pojawi się znów nieco przymglony oddaleniem, lecz mimo to, a może właśnie dzięki temu doskonały w swej formie pejzaż.

Szose poprowadzono ostrymi serpentynami, zboczem góry. Jechałem więc dość wolno. Dlatego zdążyłem podjąć decyzję, zanim straciła ona sens: skręciłem w boczną, mało uczęszczaną drogę wiodącą ku odkrytemu właśnie miastu.

– Wrota zajazdu „Księżna Atrtrox” były szeroko otwarte. Kiedyś tędy na podwórzec wjeżdżały powozy i bryki. Tam wyprzęgano zdrożone konie, zastępując je wypoczętymi. Tam mieściły się ongiś stajnie i szopy. Dziś na podwórzu stała tylko mocno poobijana „Simca Rancho”. Zaparkowałem swego „Land Rovera” i wszedłem do hallu. Nie zastałem w nim nikogo. Tylko zawieszony u sufitu wentylator pracowicie mieszał ciepłe powietrze niby niezbyt gęstą zupę.

– Czy jest ktoś w domu? – zawołałem w korytarzyk wiodący do wnętrza.

Odpowiedziała mi cisza.

– Halo, jest tam ktoś?

Gdzieś w środku, chyba na piętrze trzasnęły jakieś drzwi. Zaraz potem rozległ się przeciągły hałas, bardzo podobny do tego, jaki wydaje spadający z drewnianych schodów wór ziemniaków. Hałasowi towarzyszył przeciągły okrzyk i nieskutecznie tłumione, za to bardzo niecenzuralne przekleństwo. Przez kolejną minutę nic się nie działo. Czekałem cierpliwie. Wreszcie na końcu korytarzyka pojawił się zażywny mężczyzna o bardzo zaspanym wyglądzie. Idąc zgięty w pół, masował sobie plecy lewą ręką i krzywiąc się, połypywał na mnie z wyrzutem.

– Poproszę o pokój – zażądałem bez wstępów.

– Na jedną noc, czy może zostanie pan u nas na dłużej? – spojrzał na mnie przychylniej i walcząc z ziewnięciem otworzył książkę meldunkową. Dłoń z długopisem zawisa nad nieco poplamioną stronicą.

– Jeszcze nie wiem. To będzie zależało.

– W dni świąteczne i targowe nie znalazłby pan u nas miejsca. Wtedy prawie stąd nie wychodzę. Do miasta zjeżdża cała okolica. Wczoraj był jarmark, więc dziś odpoczywałem sobie, bo klienci dokazywali do późnej nocy. Natomiast w tygodniu wszystkie pokoje są zazwyczaj wolne. W restauracji też przez cały dzień jest pusto. Dopiero po południu i wieczorem przychodzi trochę ludzi. Miejscowi traktują zajazd jako rodzaj klubu, gdzie można się spotkać, pogadać, wypić szklaneczkę lub dwie. Tu nie ma innych rozrywek, a mój lokal jest najlepszy w całym Fernquez, bo jedyny – zażartował. – Czy życzy pan sobie bym zajął się pańskim bagażem?

– Dziękuję. Nie mam bagaży. Nie zna pan przypadkiem kogoś, kto oprowadziłby mnie po mieście? Dobrze zapłacę.

– Chwileczkę, niech pomyślę – zmarszczył brwi. Chyba znajdę kogoś odpowiedniego. Taak, chyba mam – zastanawiał się jeszcze lub udawał zastanowienie. – To emerytowany nauczyciel historii. Jest już dość stary, no i nie ma winnicy, nie pracuje też w polu. Powinien się zgodzić. Niczego nie obiecuję, ale postaram się umówić go na jutro rano. Która godzina panu odpowiada?

– Wstaję wcześnie.

– Czy dziewiąta nie będzie kłopotliwa?

– Na pewno nie, ale wtedy proszę przygotować śniadanie na ósmą.

– Oczywiście, oczywiście. Tylko proszę nie mieć do mnie pretensji, jeśli pan profesor się nie zgodzi. To nieco dziwny człowiek. Cały zatopiony w przeszłości odludek. Czasem trudno się z nim dogadać.

\* \* \*

Pokój okazał się jasny i przestronny. Lepszy niż mogłem przypuszczać. Jego białe ści- any kontrastowały z ciemnym belkowaniem stropu. Padłem na łóżko i przez dłuższą chwilę leżałem z rękami pod głową. Potem wstałem, podszedłem do okna i otworzyłem je na oścież. Powietrzem niósł się delikatny zapach dymu wypalanych ściernisk.

Zarzuciłem marynarkę i wyszedłem na opustoszały rynek. Słońce chyliło się ku zachodowi. Jego promienie rzucały purpurowe blaski na dachy i fasady starych kamieniczek. Niżej, wśród biegnących u ich stóp podcieni zapadał już wczesny zmierzch.

Dookoła ratuszowej wieży, na tle purpurowego nieba krążyły kawki, przenikliwymi wrzaskami burząc senną harmonię nadciągającego wieczoru. Usiadłem na kamiennej ławeczce w pobliżu rozłożystej, ocembrowanej piaskowcem, prastarej studni.

– To kiedyś było piękne miasto. Właściwie nadal jest – rozmyślałem, omiatając wzrokiem wyszczerbione attyki i odpadające tynki. Litościwy zmrok wygładzał zadane przez czas rany, okrywając je swym cieniem. Ogarnęło mnie dziwne, trudne do określenia uczucie, rodzaj melancholii, nostalgii, podobny nieco do tej, jakiej doznajemy niekiedy otrząsając z powiek sen, o którym wiedzieliśmy, że jest snem jeszcze w trakcie jego trwania. Albo kiedy wspominamy czas miniony. Dobrze mi było z tą melancholią, z tą nostalgią, która wzięła się nie wiadomo skąd, a którą przyjąłem jako najzupełniej naturalną i samą przez się zrozumiałą. Gwar ptaków wokół ratuszowej wieży już ustał. W zapadłej ciszy dało się słyszeć powolne cłapanie kopyt.

Z bocznej uliczki wynurzył się mężczyzna prowadzący za uzdę konia. Podeszli do studni. Mężczyzna pozdrowił mnie imieniem boskim, zdjął z cembrowiny wiadro i opuścił je, wzbudzając głośny plusk w głębi chłodnej, mrocznej czeluści. Zaczepnął wody. Zwierzę piło cheiwie. Chłonałem tę atmosferę, tę scenę jakby wyjętą z obrazu dawnego mistrza, jakby z zamierzchłej, przeniesionej, przeszłości. Kilka okien rozbłysło światłami. Zaraz dołączyło do nich jeszcze parę. Te nieliczne, jasne punkty, nieregularnie rozrzucone po ciemnych płaszczyznach murów były w tej chwili jedynym dowodem na to, że żyją tu jacyś ludzie. Mężczyzna z koniem odszedł już i tylko odgłos kopyt zdawał się błędzić zamierającym echem wśród zaułków. Zapłonęła osamotniona, ostatnia działająca na rynku latarnia. W mieście Fernquez dobiegł kresu kolejny dzień, kolejny, maleńki odcinek biegnącego tu niezwykłe powoli czasu.

Do zajazdu wróciłem późno. Długo, długo w nocy nie mogłem zasnąć. Omal do świtu przetrwałem w zbliżonym do letargu półśnie.

## II

Ja Jakub Maria Xiążę Atrtrox piszę te słowa zamknięty w wieży, pozbawiony wszystkiego, com ceniał i kochał w życiu. Nie dóbr doczesnych mi żal. O te nie dbam wcale już teraz, a nigdy nie zabiegałem zbyt usilnie.

Odebrano mi jednak nadzieję i złudzenia, a może sam utraciłem je, gdy otworzyły mi się oczy na zło, którym czyniłem bezwiednie, a które moim stało się udziałem. Nędzniejszym się mniemam dziś być niżli żebrak w łachmanach, o skórcie chleba marny wiodący żywot. Starszym się mniemam być od starca doświadczeniem i wiedzą nabytą, gdyż w życiu moim krótkim więcej doznałem niżli starzec niejeden, co życie przeżył gnuśnie i jednostajnie.

Nie było bowiem gnuśnym i jednostajnym życie moje. O nie. I choć dogasam teraz w wieży, tęgim do ściany przykuty łańcuchem, szczury jeno, a myszy za kompanję mając, choć szczenę niedługo, przedtem spiszę swoją historię innym ku przestrodze.

Pisząc me słowa, myślę o nieświadomych i niedoświadczonych, z którymi swoją pragnę podzielić się experyencją. Nie spieszę się wcale. Bowiem tyle mi życia, ile potrzeba na ukończenie mej opowieści, co nie skargą jest, gdyż nie zwykłem się skarżyć i biadać, a spowiedzią zbyt dziwną omal, bym sam w nią wierzył. Otóż i nie uwierzyłbym, gdyby mi kto rzekł o tym i nie wierzyłbym, chociaż moje to, a nie czyjeś opiszę koleje. Ale łańcuchy zimne, wilgotne mury, glonek spleśniałego chleba, a dzban wody obok siebie mając, nie mogę nie wierzyć. Jeśli bowiem one istnieją, to istniały i okoliczności, które do tak żalostnego przywiiodły mnie stanu.

Potworną jest, dziwną i ohydłą rzecz cała i wzdragam się, do jej spisania przystępujący, pragnąc jednocześnie spisać ją, nie pomijając niczego, choćby bolesnym lub wstrętnym wydać się miało. Spiszę ją całą, a potem umrę. Niech tyle mam chociaż, że sam wybiorę czas śmierci swojej.

Zacząć mi wszystko od zarania żywota mego wypada, o którym długo tyle tylko wiadomym mi było, że od samego początku srogie ścigało mnie fatum. Narodziłem się bowiem przed czasem oznaczonym. Matka moja zaniemogła, kiedy ojca mego przywieziono po bitwie, w której był padł z przetrąconym krzyżem. Brzemienną będąc, na wieść takową i na widok ten zmysły postradała. Krótko potem na świat mnie wydawszy, duszę Bogu oddała.

Owiniętego w grochowiny\* hodowała mnie żona sługi wiernego Wincenta, dopókim do życia zdatnym się nie stał. Potem matką mi była, a ojcem Wincent. Ojciec zaś mój prawdziwy w łożu jeno spoczywał, nogami nie władnąc. We sprawach wszystkich na sługę się tedy zdał, to jest na sługę jednego, rzeczonoego Wincenta, którego w bitewnym zamęcie życie mu zratował spod kopyt końskich i trupów ludzkich wywlekłszy. Tego dokonawszy, do domu pana swego na wozie taborowym przywiózł. Jego jedynie ojciec mój widywać chciał, a i

to niechętnie. Jemu też tylko posług wokół siebie zezwolił. Dla całego świata zaś odciął się i zamknął, nie chcąc, by jego, pana na Atrtrox, obce oczy oglądały w bolesti. Tak zapewne, moźny i władny do niedawna, sromu chciał uniknąć, zbyt dumny, by z innymi boleścią swą się dzielić. Nie wiem ja, czy dobrze czynił, czy źle, dość, że ojcę mego nie widywał prawie, a jeśli to z bojaźnią wielką, gdy do komnaty jego, w ramionach wnosił mnie Wincent, a gdy m podrosł, za rękę wiódł, niewczesnym przejętego strachem. Bałem się tej komnaty dusznej, gdzie ogień wiecznie płonął w kominie wielkim, bałem się schodów tam prowadzących mrocznych a krętych, ale nade wszystko bałem się męża postury ogromnej na łożu leżącego, którego Wincent w rękę całować mi kazał i panem ojcem zwać.

W siódmej wiosnie na dwór mnie oddano, któremu ojciec mój ważkie ongiś położył zasługi. Tam zaś w mądre, choć surowe ręce trafiłem, bawiąc się zrazu i ucząc za jedno obyczaj, manier, etykiety, czytania nieco później. Grecy i łaciny liźnałem także, gdyż mentor mój stary, w rozmyślaniach dawnych mędrców, własnej szukał mądrości. Jednocześnie w bardziej memu stanowi i urodzeniu odpowiednich sztukach mnie szkolono, a to wjeździe konnej, w szermierce na broniach rozmaitych, fechtów zmyślnych nie tając. Z czasem nie miałem omal – nie chwając się – i równego nawet wśród dojrzalszych wiekiem przeciwnika. W palcaty\* albo i na ostre ze starszymi ścierałem się po dniach całych nie bez powodzenia. Piętnaście lat mając, w pierwszej mej bitwie udział przyjąłem, czy też w potyczce raczej, gdy starliśmy kupę maruderów na gościńcach grasujących. Tak prawdziwie żołnierskie poznałem rzemiosło i katowskie poniekąd, jako że tych cośmy ich nie wycięli grasantów, do pobliskiego miasta pognaliśmy, którego nazwy nie pomnę, bo się cudacznie i obco zwało, gdzie powieszono ich zaraz na rynku ku wielkiej uciezce gawiedzi. Licząc wiosen ośmnaście, wielkiego dostąpiłem zaszczytu, asystując milczkiem w radzie wojennej pana von Schwerz, wodza najemnego z niemieckiego kraju\*. Powiadali o nim, że z dawna nazywał się Schwerz i że z plebsu się wywodził, a męstwem i przemyślnością, godności doszedł znacznych. Pewnie tak było, ale nikt głośno o tym nie mówił i tylko twardy akcent, z którym mąż ów wydawał komendy w chwilach uniesienia, zdradzał go niekiedy.

A miał ów pan von Schwerz żonę urodziwą wielce, która na mnie kiedyś swoją obróciła uwagę. Może więc wyróżnienia, których doznałem nie były tyle mych zdolności zasługą, ile jej życzliwości, lub kaprysu. W swoim czasie wyróżniła mnie pani von Schwerz w inny sposób wielce wdzięczny, ale i niebezpieczny. Bowiem małżonek jej, acz latami starawy, około pięćdziesięciu ich bowiem liczący, umysłem, werwą, zajadłością w boju i ramieniem silnym nad podziw, wiek podeszły był ominął. Straszny bywał on przeciwnikiem dla nieogłędnych, co w prawdziwy, bądź urojony sposób czci jego ośmielili się uchybić. Był też pan von Schwerz pamiętliwy nad wyraz. Toteż pokosztowawszy niebacznie wdzięków małżonki tak groźnego męża, rozmyślać począłem nad tym, jak rozwikłać węzeł, w którym się był wplątał z ochotą. Pani von Schwerz, niewiasta piękna, gorąca jako bywają panie jej wieku doszedłszy, które niby jabłko na jabłoni wczesną jesienią wabią i kuszą pełną dojrzałością, zapalała ku mnie namiętnością wielką, nie siląc się bynajmniej ją skrywać. Na szczęście moje, wojnę nową los zdarzył, przeto o przydział do regimentu liniowego wyprosiwszy, w pole uciekłem.

W potrzebie kilkakroć stając, patent swój oficyjerski wierną a chwalebnią służbą potwierdziłem, osobliwie pod Cassell, gdzieśmy przeciwko heretykom czynili. Tam to, jeno setkę konnych odwodu pod sobą mając, przez las się przekradłszy uderzyłem z boku na nieprzyjaciela, którego frontem przeciw siłom naszym głównym był ustawion. Mął się zrobił nieopisany i rzeźnia. Wtenczas nasi nastąpili i wictorię odnieśli. Z setki mojej jeno czterdziestu i siedmiu żywymi pozostało, a poranieni wszyscy. Jam ni draśnięcia nie doznał, przez co potem, jako dziwo, mnie sobie okazywano, bom przecie na samym przedzie leciał. Lecz nie dane mi było służyć długo, gdyż list ojca do dom mnie wezwał. Ze służby tedy, nie bez żalu

ze swojej i mych przełożonych strony, się zwolniwszy do Atrtrox wróciłem, by wyjść naprzeciw swojemu przeznaczeniu. Podążając w rodzinne strony, nie spodziewałem się tego, co spotkać mnie miało. A gdybym nawet spodziewał się i tak nie zmieniłbym niczego.

Jadąc przez dni wiele, rozmyślałem nad moim przyszłym życiem, nad majątkiem, nad dobrami, które objąć miałem niedługo. Gotowałem się na żywot stateczny i z tą myślą jużem się wpół oswoił, iż nie tak jak z początku wstrętną mi się zdała. Myliłem się srodze, co okaże się zaraz jasno, gdy tylko opowiem o tym, jak poznałem Eleonorę, która stała się dla mnie początkiem i końcem wszystkiego. Rozpatrując bowiem żywota mego koleje, myślę, że nie żył wcale, jej nie znawszy. Zaś poznawszy zbyt dobrze, dogasam w wieży, wiodąc wspomnienia i nie przeklinając losu, gdyż nic by to nie dało. Na nic bowiem wygrażać niebu pięścią, na chmury dmuchać, czy inne głuptactwa czynić. Dość rzecz będzie tymczasem, że Eleonora początkiem i końcem wszystkiego w moim życiu się stała, choć żyłem przedtem i żyję po tym, co uczynił, a jej już nie ma pomiędzy żywymi.

### III

Starszy pan pojawił się nieoczekiwanie. Zamyślony, nie zauważyłem, kiedy podszedł do stolika, przy którym jadłem zupełnie niezłe ragout. Teraz stał przede mną, dzierżąc w uniesionych na wysokość piersi dłoniach przedpotopowy melonik.

– Jestem pańskim przewodnikiem po naszym skromnym mieście – oznajmił, skłaniając lekko siwą głowę. Mógł mieć około siedemdziesiątki ale trzymał się prosto, czym przywodził na myśl starego oficera.

– Bardzo mi miło – wstałem i odwzajemniłem ukłon. – Napije się pan kawy? A może koniaku?

– Kawę poproszę, jeśli można. Zaraz potem – zerknął na moje śniadanie – ruszamy. Jestem emerytowanym nauczycielem historii – dodał, jakby chciał tym wyjaśnić przyczynę swego pośpiechu. Myśl, że będzie próbował traktować mnie jak sztubaka, wydała mi się zabawna.

– Fernquez to perła – rzuciłem przypochlebnie pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Trochę zanieczyszczona i mocno ukryta – odparł sarkastycznie.

Wiedziałem jednak, że moje słowa sprawiły mu przyjemność.

– Mówiono mi o panu jako o wybitnym znawcy regionu, historyku, odkrywcy i kolekcjonerze dzieł sztuki – uśmiechnąłem się przyjaźnie, gdyż chciałem go obłaskawić. Wydawał się spięty, nastroszony, może stremowany?

– Oooh, zaraz kolekcjonera i znawcę. Na dodatek wybitnego. Jestem tylko zbieraczem pamiątek i miłośnikiem tradycji. Zamierzam panu przedstawić parę ciekawszych faktów z historii miasta. Na poznanie całości dziejów, jak rozumiem, nie ma pan czasu?

– Interesuje mnie przede wszystkim wiek XVI, może i XVII. Spacerując, zauważyłem przewagę elementów XVI, XVII-to wiecznych. Stąd moje zainteresowanie tym właśnie, a nie innym okresem.

– To dziwne i trudne czasy. Właśnie na wiek XVII-ty datuje się upadek Fernqueza. Wcześniej przez wieki miasto kwitło. Plan lokacyjny pochodzi z X-go wieku. Cały więc układ urbanistyczny jest absolutnie unikalny. Oczywiście pojawiają się gdzieś tam elementy nowsze, związane z modyfikacjami, przebudową, ale jest ich stosunkowo niewiele. Te domy wybudowane od XIV-go do XVI-go wieku stoją na fundamentach dużo wcześniejszych. Przynajmniej w centrum. Moje Fernquez pozostaje omal nieskażone w swej odwiecznej formie.

– Początki miasta giną w pomroce dziejów. Osadnictwo istniało tu zawsze. Świadczą o tym znaleziska z epoki kamiennej. W okolicy mamy nawet megalityczną budowlę, prawdzi-

wie cyklopie mury, których wiek trudny jest do oszacowania. W jednej z sal ratusza urządziliśmy muzeum. Później zapoznani pana ze zbiorami. Nie są bardzo bogate i liczne, ale dla nas niezwykle cenne – mówił troszkę chaotycznie. Najwyraźniej chciał mi przekazać jak najwięcej informacji, w jak najkrótszym czasie i obawiał się, że nie zdąży tego uczynić.

– Fernquez długo stanowiło część dóbr lennych książąt Atrtrox i było z nimi przez wieki silnie związane.

Nawet upadek świetności miasta zbiega się w czasie z wygaśnięciem rodu Atrtrox, choć wszystko wskazuje na to, że wtedy Fernquez już do nich nie należało. Cóż, nawet pięćset lat prosperity nie oznacza patentu na powodzenie wieczne. Sic transit gloria mundi, chciało by się rzec. Niestety, nie dysponujemy prawie żadnymi źródłami pisanyymi do 1674 roku. Wszystko, co mogło rzucić światło na te sprawy, spłonęło doszczętnie właśnie wtedy wraz z połową miasta. Dokumenty późniejsze są mętne, niejasne i niekompletne. Wielu faktów należy się tylko domyślać.

Dziś miasto jest biedne, jak pan sam zapewne zauważył. Ale akurat tym razem nie sądzę, by miało to związek z jakimkolwiek księciem. Czasy się zmieniły. I klimat. Mniej więcej w połowie XVII wieku nastąpiło pewne ochłodzenie, które szczególnie dla wyżej położonych winnic musiało mieć fatalne skutki. A uprawiano tu, o ile się nie mylę, bardzo specyficzne gatunki winorośli. Z kolei dziś, choć podobno następuje globalne ocieplenie, uprawa szlachetnych odmian nie jest już możliwa bez bardzo poważnych nakładów. Dlatego nasze wina straciły na znaczeniu i cenie. Po prostu nie są już tak dobre jak kiedyś. A wiem, że ongiś wina z Fernquez były w stanie konkurować z najlepszymi, właśnie ze względu na swą inność i wyjątkowość. Moje miasto umiera, proszę pana. Młodzi ludzie powyjeżdżali w poszukiwaniu lżejszej pracy. Zresztą, nie tylko dlatego. Miasto leży z dala od zgiełku wielkiego świata. Tu jest zbyt nudno dla młodych – stwierdził z goryczą. – Młodzi są głupi – dodał z pogardliwym pobłażaniem.

Jego kawa od dłuższej chwili stygła na stoliku. Zauważył ją wreszcie i wypił szybko.

– Poza wszystkim jednak – kontynuował – Fernquez jest oddalone od uczęszczanych tras wycieczkowych, nie przyciąga więc turystów, a wraz z nimi pieniędzy. Ma to i dobre strony, bo dzięki temu wszystko jest tu stare i prawdziwe, a każdy kamień jest świadkiem wieków. Niczego nie preparowano, nie sztukowano na użytek przyjezdnych. Fernquez uniknęło losu wielu zabytkowych miast, które mniej lub bardziej nieudolnie restaurując, dodając im blichtru i pozłotki, pozbawiono zarazem duszy. Historia mego miasta, acz pełna kataklizmów, pozostaje w ciągłości, łagodnie sprzęga się z teraźniejszością. Ludzie żyją tu spokojnie, inaczej niż gdzie indziej, może mniej wygodnie, ale po swojemu. Kultuwujemy pewne tradycje, zachowaliśmy niektóre dawne zwyczaje. Czy możemy już wyruszyć? – spytał, widząc, że odłożyłem sztućce i rozglądam się za serwetkami.

– Ruszajmy.

– Zaczniemy od ratusza. – Wstał i nacisnął melonik zdecydowanym ruchem żołnierza nakładającego hełm.

– Naprzód – zakomenderował. Posłusznie podążyłem za nim.

Ratusz Fernquez był masywną budowlą, nad którą wznosiła się pękata wieża.

– Pierwotnie układ rynku był inny. Jak sądzimy, rynek był mniejszy i wówczas ratusz stał bardziej centralnie, że się tak wyrażę. Mniej więcej w połowie XIV – go wieku rynek poszerzono. Miasto było wtedy ważnym ośrodkiem handlu i dawny rynek, jako plac targowy, przestał mu wystarczać. Z pewnością wyburzono sporo domów. Ratusza nie ruszono. Dlatego zachował tak archaiczną formę.

– Istotnie nie jest proporcjonalny. Ma jakby skróconą wieżę.

– Dobrze pan to ujął, ale proporcje nie świadczą akurat w tym przypadku o starożytności obiektu. Wieża została skrócona po pożarze, o którym wspomniałem. Nigdy nie odbudowano jej w dawnym kształcie, tylko przykryto tym zupełnie nie pasującym do niej płaskim dachem około roku 1700-go. Dziś przydałoby się ją regotycyzować – rzucił mi badawcze spojrzenie, jakby sprawdzał, czy rozumiem, o co mu chodzi. Uspokojony, kontynuował wykład.

– Pożar ów był pierwszą z serii klęsk, jakie nawiedziły miasto. Po nim przyszła szarańcza lub plaga innego, bliżej nieokreślonego robactwa i zniszczyła winnice, rujnując podstawę egzystencji Fernquez. Potem nadciągnęła zaraza na bydło, jeszcze potem dżuma zwana morowym powietrzem lub czarną śmiercią, głód, a na koniec powódź i dla odmiany jeszcze jeden pożar, ale wyraźnie mniejszy niż poprzedni. Być może mniej było do spalenia. A wszystko to zdarzyło się w stosunkowo krótkim okresie czasu, po dobrych kilku wiekach względnego spokoju. Jednak najgorszy był pierwszy pożar, kiedy oprócz ratusza, poszło z dymem pół miasta, w tym cała zachodnia pierzeja rynku. Zaraz zobaczy pan wszystko – otwierał boczną furtkę staroświeckim kluczem. – Postanowiłem zaprowadzić pana na wieżę, by stamtąd pokazać miasto i okolicę. Zasiadam w radzie miejskiej. Mam klucze i dostęp praktycznie rzecz biorąc do wszystkiego – oznajmił dumnie. – To jest mi bardzo pomocne w mej pracy szperacza i dziejopisa. A tak, proszę pana. Spisuję dzieje Fernquez, systematyzuję ocalałe stare dokumenty, badam... – urwał zasapany. Schody wiodące na wieżę były bardzo strome, a on sam – wiekowy.

– Proszę mi pomóc – poprosił, gdy dotarliśmy na górę. Wspólnymi siłami dźwignęliśmy ciężką klapę w suficie. Zalało nas jaskrawe, oślepiające światło, w uszy wdarł się szum wiatru.

– Proszę spojrzeć – szeroko rozłożył ramiona. – Oto moje Fernquez.

– Stary, egzaltowany dziwak zakochany w swym mieście – pomyślałem.

Właśnie ktoś taki był mi potrzebny.

## IV

Wróciwszy do dóbr rodzinnych, zastałem je w nieładzie i zapuszczeniu, wyraźnie silnej pozbawione ręki. Sam zamek marnym i biednym mi się wydał. Takim był w istocie rzeczy, zaniedbany, z popękkanymi mury, na poły rozwaloną bramą i z odpadającymi blanki. Wjeżdżając na dziedziniec porosły trawą i rozmaitym zielskiem, próżno wypatrywałem służby, co by biegła strzemię panu przytrzymać i koniem się zająć. Nikt mnie nie witał. Wpadłem do czeladnej, spodziewając się matu narobić, lecz tę pustą zastałem. Do kuchni tedy nawróciłem się, com ją był poznał w dziecięctwie dobrze.

I oto com ujrzał, a co gniewem mnie srogim przejęło. Na kuchennym stole, przy którym królowała ongiś Wincentowa żona, drab jakowyś obmierzły pokrywał dziewczkę pijaną a niechlujną, której brudne nogi przed oczyma mający, przejechałem po zadzie wypiętym, a gołym draba onego szpicrutką. Z rykiem zerwał się czynności wiadomych niechając, by odzieży nawet nie sprawiwszy, z kopyścią na mnie ruszyć. Jaką naukę mu dałem nie powiem, nie jest to bowiem do chwalby żaden powód. Dość, że przepędził obwiesia nieznacznie jeno poszczerbion, a to mając urwaną połę jedną i guzików parę. Dziewce zaś, co ze stołu się nie ruszywszy, jazgot straszliwy podniosła, ochędożyć się kazałem, zaś ona po swojemu słowa me przyjęła i suknie ponad kolano zakasane, wyżej jeszcze uniósłszy to mi pokazała, czego wcale ciekaw akurat u niej nie był. Gdym jej wprost kazał się wynosić, zakryła swe wdzięki brudne niemożebnie i poszła precz bełkocząc słowa, których wygodniej mi było nie rozumieć.

Wtenczas ruch się zaczął i parę ciurów jakowychś z kątów różnych wypełzło, w tym drab ów już mi znany, tyle tylko, że z widłami, zamiast kopyści w garści. Zbliżać się ku mnie zaczęli wszyscy, osaczając mnie, wrażeń zamiarów pełni. Koń mój tymczasem po dziedzińca przeciwniejszej stronie, skubał spokojnie trawę wyłazając spomiędzy muru spēkań i nijak mi było biec ku niemu w niesławnej rejteradzie. Dobyłem tedy z pochew rapiera, by bronić się jak przystało. Jednocześnie głosem wielkim oznajmiałem imię swe, słusznie mi-arkując, że nieświadomi nie wiedzą z kim sprawa. Nadzieję miałem, iż słysząc ktom jest, odstąpią mnie, poniechawszy niecznych swych intencji.

Jużem cienko prządl, z odrazą myśląc o ugnojonych widłach we własnych trzewiach, gdy kuśtykając nadbiegł starzec, w którym Wincenta poznawszy, zrozumiałej radości i ulgi doznałem. Padliśmy sobie w ramiona, łzy roniąc z radości wielkiej. Służba zaś, do opryszków i rzezimieszków podobna, kłaniała się nisko, wykrzywiając gęby gdym im po miedziaku rzucił za mężną siedziby ochronę przede mną, co go pono za rozbójnika wzięła.

– Do ojca prowadź Wincenty – rzekłem, gdym się już nacieszył widokiem jego. Nic nie odrzekł na to, jeno ślozy nowe ronić począł, a jam zrozumiał, iżem zbyt późno przybył, by ojca mego żywym zastać.

– Kiedy zmarł? – spytałem.

– Dwie niedziele będzie jak pochowaliśmy pana.

– W kaplicy? – spytałem, by rzec cokolwiek.

– W kaplicy jako wszystkich przed nim. Przed śmiercią samą grobowce stawiać kazał dwa. Jeden dla nieboszczki pani małżonki swej, co ją tam przenieść zamierzał, drugi dla siebie. Aleśmy z robotą nie zdążyli. Grosza nie starczyło po prawdzie by rzec. Obok twej matki Jakubie leży teraz, szczęśliwszy pewnie niżli za życia – prawil, pocieszając się i mnie zarazem. Potem polewką nędzną się racząc długo wspominaliśmy dawne dzieje i wielkie zmarłego przewagi. To jest Wincent więcej mówił, jam słucał jeno, z rzadka słowo jakie wtrącając. Ku przyszłości bowiem myśli swe zwróciłem, co dalekie od radosnych były. Staruszek kajał się mocno i na brak sił wskazywał, podnosząc zapuszczenie pięknych przed laty, dziś marnych i okrojonych włosów.

– Stary już jestem, sił mi brak, a jak moja Margot odeszła, nikt tu nie rządzi i nikt posłuchu nie ma. Kradną co jest ukraść, piją na umór i ginie Atrtrox bez pana. Był nadzorca, a jakże i porządki swoje chciał zaprowadzić, alem go przejrzał, gdyż kiesy własnej jeno doglądał. Jakoż wygnałem go, a on pewnie nie miał sumienia czystego, bo znaleźli go w rzece z raną głęboką w plecach utopionego. Pewnie ściagały go uczynki własne rękami ludzkimi.

Ja sam dopóki młodszym byłem, starałem się sprawami kierować, ale jakoś nie potrafiłem. Miałem też starunek o pana, we dnie i w nocy mu słucać. Niełatwo to było, wierzaj. Nijak bowiem jednemu z wieloma się zмагаć jak ci zapewne panie Jakubie wiadomo. I nie te tylko były sprawy, o którym dbać musiał. Szło wszystko jakoś, bo szło pędem własnym, ale ostatnimi laty urodzaju nie ma, robactwo w winnicach się pleni, przeciwko któremu i egzorcyzma nie pomogły, bydło pada od zarazy dziwnej jakby wysychając. Dopust Boży panie mój Jakubie, dopust Boży.

– A ojciec mój? – spytałem – O ojcu mi praw.

– Ojciec twój z komnaty swej się nie ruszał nigdzie i nikogo prawie nie widywał. Raz pan de Mantur go nawiedził i to wszystko. Ostatnio posunął się mocno, czytać nawet i pisać przestał, co dawniej chętnie czynił. Bo czytał on wiele, a potem pisał przemyślenia swoje, jak mi się zda. Alem w komnacie jego nic nie znalazł, więc co się stało z nimi, nie wiem. Przed samym zaś skonanem, ostatnich dni kilka jeno w sufit patrzył, strawy nie przyjmując, wodę



zaś pijąc chciwie. Zaś dnia jednego o księdza się upomniał i przybył spowiednik. Zaraz potem pan nasz ducha wyzionął.

Zaczem znów sługa stary jął prędko o niedostatkach a nieurodzajach prawić z Bożego dopustu pono powstałych.

– Pocieszać go tedy jąłem jak umiałem najlepiej. Zaś on o klęskach i plagach wszelakich prawił jeno, co dopełniło mej goryczy, której wszelako nie okazałem, nie chcąc bezpotrzebnie ranić starego.

– Żołnierzem jestem jako i ty Wincenty – odezwałem się gdy umilkł.

– Damy radę we dwóch. Jeszcze będzie kwitnąć Atrtrox, nasze Atrtrox.

– Bogiem a prawdą nie wiedziałem jak sprawy zacząć i z której strony, by zapewnień swych buńczucznych dopełnić, ale i tak Wincent z wdzięcznością na mnie patrzył, a ja wiary w to, co mówię nabrałem.

– Każ podawać wieczerzę – rozkazałem.

– Wieczerzę? Toż sam wypędziłeś kucharza.

– To był kucharz? – zdziwiłem się, zad tłusty na niechlujnej dziewce wspomniawszy. – No cóż, na dziś niech starczy nam suchar z mej sakwy. Jutro zgodzisz jakąś prostą, robotną babę. Nie musi być po pańsku na początek. Na bezrybiu i rak ryba – jak mawiają mądrzy ludzie. Zgodzisz babę i dziewczkę służebną. Ludziom wypłacisz, ile trzeba. Masz tu na początek – sięgnąłem do mieszka. – Zatrzymasz tylko tych, którzy rokują jakieś nadzieje. Obiboków odprawisz – rozkazywałem, mając w pamięci gromadę obdartusów z dziedzińca. Jutro pomyślimy, co dalej czynić nam wypada.

– Na koniec do komnatki mej dawnej iść chciałem na spoczynek, ale Wincent inną mi wskazał, tłumacząc iż wichura dach częściowo zerwała czasem nadwerężony i komnatka moja pod gołym omal niebem stoi, jako i znaczna część siedziby pięknej możnego rodu Atrtrox. Zasnąłem głodno i chłodno, bukłaczkiem wina się jeno pokrzepiwszy. Dzięki temu myśli me przed zaśnięciem nie tak ciężkie były, jakie być mogły, gdybym tego nie czynił. Miałem nadzieję wskrzesić dawną świetność siedziby, a imieniu nowego nadać blasku.

– Cóż do kroćset – myślałem – czyż nie jestem młody i silny? Czyż nie mam głowy na karku? Dlaczegoż nie miałbym dać rady? Zamiar trzeba mieć wyraźny i czego się chce wiedzieć.

– Wtenczas się cel osiąga, gdy się go pozna i drogi do niego wiodące – przypomniałem sobie słowa mistrza mego: – „Cokolwiek czynisz, czyń rozważnie i patrz końca”.

– Najmę ludzi, odnowimy zamek. Tego, co mam, starczy na czas jakiś, pożyczyc grosza też można, a nieurodzaj i plagi nie będą trwać wiecznie – myślałem. Wielkie i piękne snułem plany rozgrzany myślami własnymi i winem. – Powiedzie się, powiedzie wszystko – rozmyślałem z nadzieją. Los zrządził inaczej.

## V

Z galeryjki na dachu wieży roztaczał się rozległy widok. Domy i miasta skupione były wokół rynku i kilku odchodzących od niego uliczek. Poza resztkami dawnych murów obronnych zabudowa stawała się luźniejsza, bardziej przypadkowa. Pojedyncze białe domki były coraz radsze i radsze, aż wreszcie wtapiały się całkowicie w otaczającą miasto, świeżą po padających ostatnio deszczach zieleń.

– Pięknie tu, prawda?

– O tak – przytaknąłem. – Wczoraj spacerowałem trochę. Wieczorem jest tu zupełnie inaczej, co nie znaczy, że mniej pięknie.

– Jak to? – zainteresował się. – To znaczy, jak pan to odbiera?

– Teraz jest radośnie i wesoło, a wieczorem uroczyście i tajemniczo.  
– Ma pan wielki dar trafnego określania rzeczy i nazywania ich po imieniu – zauważył.  
– Tu w naszym Fernquez wiele jest tajemnic. Niektóre z nich przedstawię panu, ale jak sądzę, wiele z nich czeka dopiero na swego odkrywcę.

– Na pana?

– Być może na mnie. Czy pan wie, że zostałem historykiem, a w efekcie przez lata włączałem wiedzę do tępawych główek prowincjonalnej dziatwy z powodu pewnej legendy i dziecięcej, nie do końca legalnej wycieczki? Ta budowla – wyciągnął rękę daleko przed siebie – to kaplica zamkowa Atrtrox.

W niej książęta modlili się, chrzcili swe dzieci, grzebali swych zmarłych. Od niej zaczęła się moja fascynacja przeszłością, gdy jako dziesięcio, czy dwunastoletni chłopiec zajrzałem tam kiedyś wraz z kilkoma kolegami. To było surowo zakazane proszę pana. Pewnie dlatego urządziliśmy całą wyprawę. A potem ta atmosfera cokolwiek niesamowita, ogromna, pusta budowla, grobowce. Wszystko razem zrobiło na mnie potężne wrażenie. Stąd późniejsze zainteresowania profesjonalne. Pakowanie wiedzy w głowy młodocianych głuptasów przypominało chwilami rzucanie pereł między wiejskie świnki, ale dawało pretekst do pewnych zachowań, które w wykonaniu rolnika, kowala, czy – dajmy na to – szewca zapewniłyby mu opinię łagodnego wariata. A ja prowadziłem badania. Na rudymmentarnym wobec braku środków poziomie, ale jednak badania. Byłem ciekaw, jak ma się legenda do rzeczywistości. Nadal jestem. Wiem, że już niedługo osiągnę cel.

Zamek legł w ruinie. Kaplica przetrwała. Jest nieco późniejsza od samego zamku, a poza wszystkim nikt nie kradł z niej kamienia i cegły. Tak proszę pana. Połowa zabudowań gospodarskich w okolicy na kamieniu z Atrtrox stoi. Pojedziemy oczywiście i tam, ale później. Opracowałem plan zwiedzania i chcę się go trzymać, by nie wprowadzać chaosu. Nie oponowałem. Kilka godzin, a nawet dzień, czy dwa zwłoki nie miały dla mnie żadnego znaczenia.

– Teraz proszę spojrzeć bliżej, na rynek. Pierzeja zachodnia wyróżnia się spośród trzech pozostałych. Jest późniejsza. Domy tam wybudowano już po wielkim pożarze miasta, dlatego nie są tak strojne. Nie mają attyk i nigdy nie miały typowych dla epoki ozdób, które gdzieś do dziś zachowały się na innych kamienicach. To znak czasu. Fernquez podpadło i już nie było w stanie podnieść się z upadku. Klęski waliły się jedna za drugą. Legenda mówi, że były karą za grzechy ojców miasta. Próbuje dojść, cóż to mogły być za grzechy.

– Rozważania o grzechach bywają ciekawe – wtrąciłem. Nie podchwycił żartu. Prawdopodobnie nie zauważył go nawet porwany nurtem własnej elokwencji.

– Wszystko miało się rozpocząć tu, w tych murach podczas uczty weselnej ostatniego potomka rodu Atrtrox z córką burmistrza Fernquez. Pan wyobraża sobie jaki to musiał być skandal? Książę ze starego rodu i mieszczka. Pewnie stąd podanie o grzechach. Zresztą, co w tamtych czasach grzechem nie było? Podczas weselnej biesiady, odbywającej się w ratuszu, wybuchł pożar. Część biesiadników spłonęła żywcem. Podobno pan młody miał celowo podłożyć ogień z zemsty na kimś. Wcześniej pozarzynał pewną ilość gości. To właśnie ta legenda tak mnie zaciekawiła w dzieciństwie. Potem raził i intrygował mnie brak logiki. Gdyby w ratuszu odbywało się wesele jego rywala, to co innego. Wtedy podpalenie byłoby w pewnym sensie usprawiedliwione, umotywowane. Działanie w afekcie i tak dalej. A tak?...

– Budynek wypalił się od środka. Tylko mury ocalały. Zgorzało sporo kamienic. Specjalnie zaprosiłem pana na wieżę, bo z góry lepiej widać zmiany dokonane po pożarze.

– Ciekawe, dlaczego uczta odbywała się tu, a nie w zamku Atrtrox?

– Fakt urzędzenia wesela przez rodzinę panny młodej może być dyktowany tradycją gminną, której pan młody, choć arystokrata, postanowił być posłusznym. Panna młoda l

najprawdopodobniej miała na imię Eleonora. Jak wspomniałem była córką patrycjusza Fernqueza. W tej sytuacji ratusz miejski wydaje się miejscem odpowiednim. Co zaś do faktycznej przyczyny pożaru, to mogła ona być bardzo prosta: towarzystwo spiło się i ktoś zaproszył ogień.

Biesiadnicy nie byli w stanie opanować żywiołu. Legenda wspomina o udziale księcia d'Atrtrox w podpaleniu zawile, a zarazem skąpo. Przede wszystkim od tragedii upłynęło ponad sto lat, zanim ktoś zdecydował się ją opisać. Ten ktoś nie mógł już korzystać ze świadectwa współczesnych pożarowi mieszkańców Fernqueza. Nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że były to sprawy w jakiś sposób wstydlive, że nie wszystko wypadało mówić.

– Albo bardzo obawiano się głośno podnosić temat.

– Myśli pan?

– Taki książę, jego rodzina, potomkowie mogli bardzo wiele.

– Mało to prawdopodobne – pokręcił głową. – Akurat ten książę, któremu przypisuje się oprócz podpalenia jeszcze parę haniebnych wyczynów, miał być ostatnim z rodu. Nie był natomiast z pewnością ulubieńcem skryby spisującego dzieje miasta. W dokumentach archiwalnych przewija się nawet przydomek „szalony”. Nie mam jednak stuprocentowej pewności, czy dotyczy on tego właśnie pana.

Wiele wskazuje na to, że pewne fragmenty późniejszej kroniki usunięto celowo. Po prostu tam, gdzie tekst zaczyna się łączyć z osobą ostatniego, urywa się wątek albo brakuje karty, albo też akurat ten fragment jest kompletnie nieczytelny.

– Dziwne i intrygujące.

– No właśnie. W Fernqueza jest wiele intrygujących rzeczy. Urok pracy badacza polega między innymi na niespodziankach, które go spotykają, a ja wszędzie szukałem wszystkiego. Niemniej niektóre z tych – jak je nazwałem – niespodzianek, są bardzo osobliwe. Choćby taka na przykład, że w trakcie penetracji podziemi ratusza odkryliśmy niższy poziom korytarzy. Nikt przez stulecia nie podejrzewał nawet ich istnienia. Są częściowo pozawalane. Prowadziły prawdopodobnie poza obręb murów miejskich jako droga ucieczki mieszkańców na wypadek oblężenia miasta. Miałem nadzieję, że uda mi się tam odnaleźć archiwum miasta. Ale nic z tego. Odkryliśmy natomiast w jednym z nich, starannie ociosany i wygładzony blok kamienny o wymiarach 250 na 100 na 130 centymetrów. Pytanie brzmi: w jaki sposób i w jakim celu monolit o wadze dobrych kilku ton przeniesiono do podziemia przez schody, schodki i korytarze? Zważywszy, że szerokość korytarzy jest w dwóch miejscach mniejsza niż szerokość owego bloku i nie przekracza 85-ciu centymetrów, zagadka wydaje mi się trudna do rozwiązania. Mam na ten temat własną teorię, chyba jedyną sensowną. Przedstawię ją panu, ale jeszcze nie teraz. Nie potrafię natomiast wyjaśnić, dlaczego miejsce, w którym się znajduje ów blok, odgrodzono od reszty korytarzy mocnym murem. Odcięto je, że tak powiem, od świata około XVIII wieku. Na dodatek zablokowano dostęp gruzem.

– Czy moglibyśmy obejrzeć te podziemia?

– Oczywiście. Zamierzałem pokazać je panu jako curiosum. Dlatego o nich wspominałem. Przedtem jednak zajrzyjmy do muzeum. Jestem z niego bardzo dumny.

## VI

Doglądałem włości mych, codziennie w inne zapuszczając się strony. Dniami całymi z grzbietu końskiego nie złażąc, wzdłuż i wszerz zjeździłem okolicę po karczmach a zajazdach nocując, do dom wracając rzadko i na krótko. Wszędy wielkie znajdowałem nieporządki, a to pola zamienione w ugory, a to winnice martwe i przez robactwo toczone. Pojąłem, iż nie ma z czego ściągać należności i nie ma skąd spodziewać się intrat. Zamierzałem nawet sprzedać

wszystko za psie pieniądze i służbie bez reszty się poświęcić, coraz bardziej zdesperowanym będąc. Ale też budził się we mnie opór jakowyś i zaciekłość.

– Jakże to? – pytałem sam siebie coraz częściej w nocie bezsenne. – Toż od wiek wieka Atrtrox i okolica do ojców i dziadów należą. Jakże mi w obce puścić ręce ten skrawek, resztkę nieledwie, co przy nas pozostaje? Toż to bez walki poddać się – z innej beczki rozpatrywałem rzecz całą.

– Ale co czynić i jak czynić – pytałem i nie znajdowałem odpowiedzi. Tak frasując się pomyślałem o Marcelu, przyjacielu mym i druhu wiernym wojennych pochodów. Był Marcel kompanem dobrym do wypitki i do wybitki, do tańca i do różańca, z którymś my z jednej misy – bywało – jadali, z jednego dzbana pili, jedną derką okrywaliśmy ciała nasze w nocie słotne i jednych dziewczek zażywaliśmy niekiedy. Ale co najważniejsze, rozum miał Marcel nie od parady. On to przyczynę pomoru na konie odkrył w regimentach naszych, co wcale pomorem nie był, jeno podstępem wrażym. Oto kiedy konie padać poczęły, a nikt nie wiedział, przez co się tak dzieje, Marcel doszedł, że w obroku siano na równi z trzcina posiekana drobno się znajduje, która wąpiałom na kształt noży rżnie. Zaraz jednego dostawcę powieszono, na spytki wzięwszy pierwej. Wtenczas się i prawda cała pokazała, za czyje pieniądze tak czynił. Co najważniejsze, konie padać przestały.

Napisałem do niego pospiesznie, dylemat mój wiernie przedstawiając. Zaczem umyślnego w drogę wyprawivszy, na odpowiedź czekałem starając się sam to i owo ku poprawie czynić. Wierzyłem w obrotność i wesołość Marcela, potrafił on bowiem równie dobrze w bitwach, czy burdach pospolitych stawać, jak i zjednywać sobie ludzi. A śmiały był do wszystkiego.

Dość niktzemnego stanu był Marcel. Nie uczono go greki, ni łaciny, w walce zaś zarówno sztuką fechtów a męstwem, jak i siłą a chytrą wielce był sposobny.

Rodziciele jego mały jakiś folwark dzierżawili i stąd manieri miał Marcel jak chłopskie raczej, niżli pańskie dziecko. Ale świadom wsi i gospodarskich spraw był, dlatego pewnie na myśl mi przyszedł. Przybył też tak prędko, jakby jeno na moje wezwanie czekał. Wprowadziłem go w przedmiot i stać miał się moją prawą ręką, a i głową po prawdzie też. Zaraz sprawy ruszyły żwawiej, chociaż trudno było od razu spodziewać się poprawy. Tyle przecież osiągnął był, że opuścił ludzi marazm jakowyś, w którym grzęzli. Wychodzili tedy na pola gromadnie, pod okiem nadzorców. Tych Marcel spośród nich samych naznaczył, takich dobierając, którzy posłuch mieli, a z których wielu buntowało się i zachwiliło wcześniej.

– Poczekaj do zbiorów Jakubie, poczekaj – mawiał. – Późno zaczęliśmy, ale nie za późno i rok ten przeżyjemy, być może jeszcze w biedzie. Za to w przyszłym powetujemy sobie setnie. A Bóg da, może i ten nie będzie najgorszy? Jakby nie było, lepiej będzie niż było – zwykł mawiać poważnie i w tym pewnie miał rację, że gorzej już być nie mogło.

Tymczasem dno w mym mieszkaniu pokazało się szybciej niżli bym sobie tego zażyczył, a to za sprawą owego dachu nieszczęsnego, co go wichura zdarła. Bez wichury pewnie też niewiele by przetrwał, zębem czasu nadwerężony. Robota na murach stanęła i nic nie można było na to poradzić ani pieniędzy skąd wziąć, których akurat tyle było, byśmy do cna głodem nie przymierali.

Dziś wspominam mizериę ową z rozrzewnieniem, bo to widzę jasno, że szczęśliwym był wówczas, proste życie wiodąc, sen zdrowy i twardy miałem, a apetyt wilczy. Zaś przyszłość jawiła mi się dobrą, mimo wszystko. Bo mizeria, mizerią, ale coś się dziać zaczęło i poprawiło się pewnie, czego znakiem było, że włościanie czapkować mi zaczęli, co dawniej witali mnie niechętnie albo i odwracali się udając, że pana swego nie widzą. Nie bardzo krzyw był o to, gdyż rozumiałem ich nędzę, co i moją nędzą była. A choć inną jest nędza chłopska od pańskiej, to o tyle lepszą chłopska zda mi się, że przyrodzoną łatwiej przychodzi

znosić zapewne. Tą konkluzją kończąc wywód swój, to jeszcze powiem, że wielkie rzeczy darowane lub zbyt łatwo zdobyte, mniej dają radości niżli drobne nawet, które w trudzie się osiąga i znoju. Bo tak jest właśnie, że to, co przychodzi łatwo, mało bywa cenione.

– Przejść mi teraz wypada do rzeczy samej, to jest do Eleonory, którą na swojej spotkałem drodze, gdy do domu wracałem wieczorem wczesnym na przełaj przez winnice. Nie myślę, żeby przypadek to był, bo gdybym nie spotkał jej wówczas, to kiedy indziej stać by się to musiało. Koń mój młody, dość krnąbrny, nie całkiem ujeżdżony deresz Skoczkiem zwany, poniósł był przeląkły się czegoś. Próżno siląc się, by go poskromić, przesadziłem omal bezwiednie niski murek z polnych kamieni poskładany, winnicę okalający. Tam osadziłem wreszcie znarowionego wierzchowca tuż przed stojącą nieruchomie pośrodku ścieżki panną. Koń tańczył w miejscu, trwożnie kopytami o ziemię tłukąc i przerażonymi tocząc oczyma. Ale krzepko wodze dźwżył i klepiąc go po spotniałym karku, przemawiałem łagodnie w stulone nagłym przestraszeniem uszy.

– No, nooo, spokojnie, spokojnie – gruchałem pieszczotliwie do uspokajającego się dzianeta, kątem oka pannie wciąż bez ruchu stojącej się, przypatrując. Nieruchomość ową za objaw przestraszenia wzięwszy, sumitować się chciałem, lecz nim słowo jedno rzec zdążyłem, panna pierwsza odezwała się do mnie i nie z trwogą wcale, a z rozbawieniem, głosem zaś takim, że ciarki po grzbiecie mi przeszły, a przeprosiny w gardle uwięzły.

– Bawi się pan osobliwie, by nie rzec inaczej, panie Jakubie d’Atrtrox. Czy zawsze poczynasz sobie księżę podobnie z damami, czy raczej konik poniósł niewprawnego jeźdźcę?

– Nie wiedziałem, że jesteś tu pani – odparłem po prostu. – Wracałem do domu, tędy droga krótsza. Wybacz, że przestraszyłem cię, ale...

– Wcale nie przestraszyłeś mnie, młody panie – odrzekła nie zmieniając tonu, ni postawy. Mam zwyczaj spacerować o zmierzchu. To winnica mego ojca. Lubię ją za odludność i samotność. A ty wtargnąłeś tu, mącąc me myśli i zakłócając spokój. Czy to przystoi młodzieńcowi z bardzo dobrego domu? – drwiła ze mnie, ale nie tak, by było mi to niemiłe. Cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku, który nie mówił nic, gdyż nie było w nim spodziewanego przestraszenia ani zdumienia, ni gniewu. Ona patrzyła w jakiś nieznany mi dotąd sposób ni to chwając, ni ganiać, drażniąc i kojąc, patrzyła, nie patrząc jednocześnie.

Nie wiedziałem, co odrzec na takowe dictum, lecz mocno coś rzec chciałem. Myśli rozmaite po głowie mi latały, a żadna nie wydała się odpowiednią. Ponad wszystkie wybijała się jedna: – kim jest panna, sama paradująca pośród pustkowia, w czas jakby nie było niespokojny. Ona tymczasem z rąk rękawiczkę upuściła, którą się była wachlowała niedbale.

– Ściągnąłem wodze mocniej jeszcze, obróciłem drobiać w poprzek alejki i schyliłem się nisko. Powodując koniem zgrabnie, czułem na sobie jej spokojny z pozoru, lecz docierający do głębi wzrok. Szacowała każdy mój ruch z napięciem, którego nie widziałem, lecz całym czułem ciałem. Nazwałaś mnie niewprawnym jeźdźcą panienko – pomyślałem podnosząc z ziemi białą rękawiczkę, modląc się jednocześnie, by popręg, który wytrzymał poprzednie wyczyny i podskoki, wytrzymał jeszcze i tę próbę. Dopiero, gdy z gubę trzymał, zeskoczyłem z siodła i otrzepując z kurzu podałem na dłoni otwartej, patrząc prosto w oczy hardej dziewczyny. Nie opuściła wzroku, nie podziękowała, nie podała ręki do ucałowania, nie uczyniła nic z tego, co czynią damy upuszczające rękawiczki w obecności kawalerów.

Staliśmy przed sobą dobrą chwilę, aż nagle ona uśmiechnęła się tak, że nogi się pod mną ugięły i zrozumiałem, że nie możemy się rozstać ot zwyczajnie. W głowie mej kilka myśli powstało, których wcześniej nie bywało nigdy. A to o mym zubożeniu, ale też o nazwisku sławnym i rodzie wsławionym orężem i wierną od pokoleń służbą królom. Zarazem myślałem, że panna ta zamożną być musi, po sukni jej miarkując i po obejściu górnym. Nie wiem, dlaczego tak wszystko naraz przeszło mi przez głowę, ale w garść się wzięłam i służyłam

swe ofiarując, kim jest, spytałem. Ona zaś roześmiała się niegłęboko z mego zmieszania, wymieniła imię swe – Eleonora i proste nazwisko, które nic mi nie rzekło. Co widząc dodała: – córka burmistrza miasta Fernquez.

W czas rozmowy rozglądałem się za powozikiem jakowymś, słusznie mniemając, iż nie sama i nie piechotą tu przyszła. Ale niczego podobnego nie znalazłem. Pomyślałem tedy, że pewnie przybędzie po nią sługa, którego ją przywiózł pierwiej. Tymczasem wieczór już na dobre się zrobił jasny, bo gwiezdny i księżycowy, a nikt się nie zjawiał. Jużem myślał, że na siodle własnym i przed sobą dźwizgić mi ją przyjdzie w do dom drodze i myśl ta niecałkiem zła mi się zdała. Ale Eleonora usta złożonywszy, świst osobliwy wydała, zaczęła się ruszać w krzakach sumaku i tętent w alejce się rozległ. Zaraz też pokazał się oczom moim ogier kary, duży i nad wyraz foremny. Cwałem ku Eleonorze przypadłszy tuż przy niej stanął i chrapami włosów jej dotknąwszy, zarżał cicho.

– Przedstawiam panu sługę i przyjaciela mego wiernego – oznajmiła.

– Oto Szatanek. Po saraceńskim ogierze Szejtanim to rumak, po nim także imię swe bierze. Dlatego Szatanek go zwę, co mi z początku ojciec bronił, a do dziś ludzie za złe mają. Aleć ja o ludzi gadanie niewiele stoję.

Odrzekłem, że lepiej ułożonego wierzchowca nie widziałem, nie to mając na myśli, że na świstanie przybieżał, bo już widywał konie na sygnał przychodzące posłusznie, jeno to, że w krzakach długo wytrwał, znaku o sobie żadnego nie dając. Podszedłem też bliżej, dotknąć chcąc cuda owego. Panna wszakże dłoń mą już wyciągniętą powstrzymała, za przegub ją schwyciwszy, a krzepko.

– Uważaj panie – rzekła. – Koń to niezwykajny i obcym tykać się nie zezwala. Ukąsić może. Stajennego, co nowy był i ku niemu zbliżył się niebacznie, srodze poszarpał, a i to dobrze, iż w stajni, w przegrodzie stojący, zatem miejsca niewiele mając, stratować go nie był zdolny.

– Koń to dobry, co na oko widać. Ale żeby takim dzikim będąc, nosić cię chciał?

– To cię dziwi zapewne, że niewiastę nosi. Czy tak panie Jakubie d'Attrtrox? Tedy i to wiedz, że nikogo krom mnie nosić nie chce – dodała, na mój nie czekając respons. – Osiem lat mija, jak go ojciec mój z wyprawy jednej, dalekiej przywiózł. Wówczas się często wyprawiał z kupcami innymi, co dziś z rzadka czyni, obowiązki inne mając. Ja zaś miast pana ojca witać w podwórku, zaraz się konikiem tym zajęłam. Chudy wówczas był i zszerezeniały po drodze długiej, którą przebył do wozu uwiązany. Jam starunek o niego miała, więcej w stajni z nim, niżli na pokojach siedząc. Wydobrzeał i wyrósł prędko. Potem łąził za mną, gdzie się jeno obróciła. Teraz wiernością i oddaniem mi odpłaca. Mocny jest, wytrzymały na trudy i mądry.

– Już nie dziwno mi, że sama bez lęku chadzasz i po zmroku, w razie potrzeby odbiegać zawsze mogąc. Rączy to rumak zapewne.

– Rączy jest. Ale wierzę mi panie, nie biegałby on, gdyby z jednym, albo i z dwoma łotrzykami była sprawa. Nie biegałabym i ja, pistolety ze sobą mając i pacholców moich wiernych przy sobie dwójkę.

Wtenczas dopiero na siodło zwróciłem uwagę co wysokie i męskie było. U siodła zaś w istocie, dwa pistolety tkwiły długie, wielce kunsztowne, choć nieprzesadnie zdobnej roboty. Zbyt one mi się ciężkie zdały dla niewieściej dłoni, ale nie rzekłem nic.

– Pistolety widzę, gdzie zaś pacholce oni? – spytałem. Ona na to świsnęła znów, ale inaczej jako pierwiej. Na to ze krzów, w których wcześniej Szatanek zatajony był, psy dwa wypadły. W susach ogromnych sadząc przypadły do pani swej, zaczęły na zadach przysiadły i ziając szeroko, zębiska srogie ukazywały, to na nią, to znów na mnie popatrując. Całkiem jakby komendy czekałyby człeka obcego tymczasem, to jest mnie – na kawałki rozszarpać.

Psy owe wielkie były, maści ciemnej, podpalanej, jaśniejszej na brzuchu, do takich podobne, jakie trzód przed wilkami bronią\*, jeno omal dwójnasób od nich większe. Na karkach ich obroże żelazne były, ostrymi najeżone kolcami.

Jużem się tedy domyślił, czym się był Skoczek spłoszył, bestie takowe zwietrzywszy.

– To ci panna dopiero – pomyślałem. Zaraz też przez głowę mi przeszło jakże na siodło ona włązić będzie, prospektus z tego nielichy sobie obiecując.

Eleonora zaś skinęła od niechcienia dłonią, jakby powietrze gładząc. Na znak ów dzianet na kolana przyklękła i grzbiet swój jej poddała. Zaś ona suknię nieco bez wstydu żadnego uniosła i zgrabnie go dosiadła. Pod suknią buty miała wysokie, nogę za kolano skrywającą, wyżej zaś hajdawery, jak mi się zdało.

Ruszyliśmy razem, wnet się jednak okazało, że Skoczek mój za nic u boku ogiera karego i w onych psów kompanii iść nie chce. Także i rozmów prowadzić z Eleonorą nie było mi dane, trochę za nią, jej śladem jadącemu. Aleśmy bez słów wiedzieli, że jutrzejszego wieczoru w tym samym miejscu spotkać się nam przyjdzie. Tak się też stało.

## VII

Muzeum mieściło się w sporej salce widnej i odnowionej. Pod ścianami stały gabloty zawierające dokumenty pisane na papierze i na pergaminie, kilka pieczęci, trochę drobnych przedmiotów codziennego użytku, dwa kamienie o kształtach mogących sugerować ich celową obróbkę, jedno rzymskie, podobne do menzurki naczynie wykonane z grubego szkła i trochę ceramicznych skorup. Pośrodku sali zgromadzono większe znaleziska.

– Nie przypuszczałem, że miasto Fernquez miało własnego kata – wskazałem na spory pieniek z wbitym weń toporem. – Bardzo pomysłowa ekspozycja.

– Topór znaleźliśmy podczas remontu pod posadzką hollu. Zalegała tam gruba warstwa popiołu i zwęglonych belek. Prawdopodobnie po pożarze polaną wodą: gruz i popioły stworzyły niezwykle zwarte podłoże, którego nie uprzątnięto, lecz wyrównano i ubito. Następnie pokryto warstwą zaprawy i położono posadzkę. Podniesiono w ten sposób nieco poziom podłogi. Dziwna to trochę metoda, ale chyba nienajgorsza, jeśli wytrzymała bez mała trzysta lat. Właśnie tam w warstwie popiołu znaleziono między innymi ostrze topora. Nie sądzę, by był to topór katowski. Podejrzewam raczej, że rodzaj berdysza. Oryginalne stylisko dla tak masywnego topora musiałyby być dłuższe, jeśli miałyby się nim wygodnie władać. Tamto drzewce oczywiście spłonęło. Ekspozycja wszakże, jak pan sam zauważył, jest udana.

– Tak, pień z toporem wygląda bardzo sugestywnie. Brakuje już tylko jakiejś głowy.

– Zaskoczę pana – oczy przewodnika rozbłyły nagle. – Głowa też była, a raczej czaszka zmiażdżona oraz kości ręki. Znaleźliśmy je w tej samej sali co topór. Nie sądzimy, by w reprezentacyjnej sali ratusza dokonano jakowejś egzekucji. Raczej mamy do czynienia z ofiarą pożaru.

– Trochę dziwne pozostałości jak na pożar. Po pożarze powinien być zostać cały szkielet albo nic. To musiało być istne piekło.

– Długo głowiliśmy się nad tym. Wysuwaliśmy rozmaite hipotezy. Ale ani mnie samemu, ani mym kolegom z rady miejskiej nie udało się ustalić niczego sensownego zarówno w sprawie obecności ludzkich szczątków akurat w tym miejscu, jak i stanu owych szczątków. Wybraliśmy więc wersję najprostszą, wobec braku jakiegokolwiek lepszej. Nie jest ona całkowicie przekonująca. Cóż, lepsza taka niż żadna. – A’propos piekła: czy zwrócił pan uwagę na rdzeń Fern w nazwie miasta? Bardzo od niego blisko do Inferno. Nie chciałbym uchodzić za sensata proszę pana. Jednakże chwilami odnoszę wrażenie że tu działy się jakieś dziwne rzeczy jeszcze zanim nastąpiły wspomniane klęski.

## VIII

Miasto leżało w granicach mych włości, jednak wyłączone zostało spośród nich całkiem niedawno, bo już za ojca mego żywota, skutkiem rodów kilku zawiści, spór o nie wiodących zaciekły. Wrogowie nasi, których wcale nie ma było, wobec ojca mego bezsiły i niefaski, w jaką był popadł, a małości mojej ówczesnej, jak psy wściekłe rzucili się, by schedę mą przyszłą zagarnąć i na korzyść własną obrócić. Zaś najwięcej zajadłości okazywali ci, którzy przedtem przyjaciółmi się naszymi powiadali. Prawdę więc przysłowie stare rzecze, że uciekają świnię, gdy pada dąb stary, co żołądziami je swymi żywił. Od siebie zaś dodam, że wracają świnię pod dąb ów, gdy całkiem padnie, by go z resztek żołądzi do cna ogołocić.

To wszakże dobrym było, że żaden z nich przewagi nie zyskał i miasta nie dostał we władanie. Mogłoby się więc kiedyś i tak zdarzyć, już to Bożym zrządzeniem, już to staraniem własnym (choć za Bożym, oczywista, przyzwoleniem), że wróciłoby Fernquez w poczet włości rodu d'Atrtrox. Czasy wojenne wszakże nie sprzyjały dochodzeniu praw i tak Fernquez, leżące omal w ręki mej zasięgu i widoczne dobrze z okien mej siedziby, nie należało do nikogo, pod królewską tymczasem pozostając jurysdykcją. Król zaś daleko był i ważniejszymi sprawami zajęty niż jakaś tam miejscina daleko za górą. Burmistrz tedy nie byle jaką stawał się personą. Bo króla na niewielkim skrawku ziemi zastępując de jure, królem stawał się de facto i prawo stanowił. Ten zaś mąż, którego burmistrzem był akurat, to jest Eleonory ojciec, na dodatek majątnością najbiedniejszych przechodził.

Żył Fernquez handlem i żył dobrze. Mieszczanie w piórka porośli, wańczosem, winem, końmi i czym się dało kupcząc. Karku nadstawiać nie mieli potrzeby w czas wojenny, chyba żeby się pod mury same jako nieprzyjaciel zapuścił, co nie było możebne, bo się nigdy wróg żaden nie był zapuścił pod miasta mury. Dlatego też mieszczaństwo górnice patrzące było i spasionie. Kłuło mnie też w oczy nieraz Fernquez bogactwem swym i z zawiści myślałem o tym, że nieźle by było, jakby kto kiedy łykom sadła trochę upuścił. Ale i o tym myślał, że niezadługo podzwignę z upadku dobra moje i myśl ta ważniejszą od innych będąc sprawiała, że zazdrość i zawiść głupia ustępowała chybko. Tedy wysoko niosłem głowę, przejeżdżając rynkiem niekiedy i prawicę na rękojeści rapiera wsparłszy, dumnym wkoło toczyłem okiem.

Zapewne wówczas zoczyła mnie Eleonora z okien swej komnatki przedniej, przy samym rynku stojącej kamienicy. Stąd pewnie wiedziała ktom jest, gdy omal nie stratował jej podczas przejażdżki owej, co się wielce obfitą w skutki okazać miała.

Po pierwszej, niezamierzonej schadzce nastąpiły inne i stało się, że liczył godziny do każdego następnego z Eleonorą spotkania, pragnąc co prędzej przy niej się znaleźć. Liczyłem chwilę za chwilą, dzielące mnie od jej spokojnego, a tchnącego mocą utajoną głosu, od oczu głębokiego spojrzenia, co ciemnymi i jasnymi zarazem być mogły, od dłoni dotyku, od pocałunków, od całej, całej Eleonory mojej. Mojej – powtarzam, gdyż kiedyś dłoń jej ścisnąłem widno zbyt mocno, zbyt długo w swojej dzierząc, odsunęła się Eleonora ode mnie z wyrazem zaskoczenia prawdziwego lub udawanego – nie wiem. Wtedy nazwałem ją zbyt okrutnym aniołem. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, których wyraz inny był niż zazwyczaj i inny niż kiedykolwiek. Jużem się nie zastanawiał, czym jej nie uraził owym dłoni uściśnięciem, bom jej dopadł jak tygrys, na nic nie bacząc i znaleźliśmy się blisko siebie i jeszcze bliżej i osunęliśmy się niżej i niżej na ziemię, a potem był już tylko zapach włosów i trawy i chwila, co wieczną być nie mogąca, zbyt krótką się stała. A jeszcze potem otrzepywaliśmy szaty nasze z liści, gałązek i trawy źdźbeł i szliśmy przytuleni do siebie bez słowa, bo wszystko już zostało powiedziane.



Marcel widział zmiany we mnie zachodzące, lecz nie pytał o nic. Wiedział przecie o mych wieczornych wypraw przyczynie i pewnie mojej dziwił się dyskrekcji, jako że wcześniej nie miewaliśmy przed sobą sekretów. Ale ja nie dlatego milczałem, że chciałem przed nim się skryć. Jeno nie wiedziałem, co rzec mu o Eleonorze akurat. Bo nie była Eleonora podobną do żadnej z niewiast, czy dziewczek wcześniej obu nam znanych. Jakże miałem ją Marcelowi rekomendować? Jako kochankę mą? Toż Ona nie była kochanką tak, jak pojąłby to Marcel. Kim więc była i kim stała się dla mnie Eleonora? Jak miał się zakończyć romans, co romansem być przestał lub nie był nim nigdy? A jeśli nie był to romans, to czym była moja z Eleonorą znajomość? Nie potrafiłem słowem jednym określić tego, co połączyło mnie z córką burmistrza miasta Fernquez. Wiedzieli o tym i obcy, boć tak jest, że im mniej nas sprawy ludzi innych zajmują, tym bardziej my dla nich zajmującymi się stajemy i sprawy nasze. Zwiedzieli się więc ludziska o naszej z Eleonorą k' sobie skłonności i o spotkaniach naszych tajemnych, co wcale tajemnymi się nie pokazały. Nie wszystko bowiem daje się mrokiem nocy skryć przed oczyma ciekawymi ludzi rzadko kiedy życzliwych. Ale ja jeszcze o tym nie wiedział i tegom imaginować sobie nie był zdolny, że ktoś nas podgląda, a w moje sprawy patrzy. Płynął nam czas szybko na karesach lubych, wieczornych i dość długo trwało to, bo w szczęśliwości człek czasu nie liczy, tak czyniąc, jakby szczęśliwość na cały wiek posiadał.

## IX

Przyświecając sobie lampą naftową, zesłiliśmy do podziemi. Nikłe światełko z trudem rozpraszało gęsty, zbity, nasycony zapachem stęchlizny mrok. Oślizłe od wilgoci schody prowadziły stromo w dół, by po kilkunastu, a może kilkudziesięciu metrach przeistoczyć się w długi, wąski, omal równie spadzisty jak one korytarz. Tym korytarzem dotarliśmy do swego rodzaju krypty na tyle obszernej, że żółty płomyk oświetlał tylko niewielki jej fragment. Pośrodku podziemnej sali stał przedmiot nazwany przez mego przewodnika stołem. Był to potężny blok kamienny w tym właśnie miejscu kompletnie bezsensowny. Na jego górnej powierzchni widniały głębokie wyżłobienia rozchodzące się promieniście od środka ku brzegom.

– Co pan powie na to? – stary historyk miał minę, jakby pokazywał mi własne dzieło.

– Cóż – odrzekłem ostrożnie – wygląda niezwykle tajemniczo. Nie sądzę, bym potrafił naprędce wymyślić coś mądrego o jego pochodzeniu i przeznaczeniu, jeśli o to panu chodzi.

Przewodnik najwyraźniej tylko czekał na podobne wyznanie.

– Podejrzewam, że blok ten stał tutaj, zanim wybudowano ratusz – oznajmił. – Konkluzja ta kosztowała mnie sporo bezsennych nocy. Głowiłem się długo, aż w końcu wpadłem na rozwiązanie. Ściany krypty wyłożone są płaskimi kamieniami, a nie ociosanymi, regularnymi sześciobokami. Technika ta jest dość mało doskonała i pochodzi prawdopodobnie z czasów przedromańskich. Poza tym jednym pomieszczeniem wszystkie odnogi podziemi zbudowane są z ciosów. Sama zaś krypta znajduje się dokładnie pod główną salą ratusza. Sądzę więc, że ratusz zbudowano na miejscu starszej budowli, mniejszej, która częściowo posłużyła budowniczym za fundamenty nowej, a częściowo została po prostu wyburzona. Zaś blok ten jest jeszcze wcześniejszy. Został prawdopodobnie obudowany, wchłonięty przez budowlę poprzednią. Stoimy więc teraz pośrodku wysepki czasu prawdziwego, dawniejszego niż historia miasta. Tę kryptę wraz ze znajdującym się w niej stołem obudowano z kolei fundamentami ratusza. Niewykluczone, że ongiś istniał tu ośrodek jakowegoś kultu pogańskiego, zniszczony później, to znaczy z chwilą ostatecznego tryumfu nowej wiary. Jego pozostałością, jest prawdopodobnie ów kamienny stół. Widzi pan te rowki? Służyły do odprowadzania krwi! Tak, tak proszę pana. Jeśli teoria moja jest zgodna z prawdą, to składano tu ofiary ze zwierząt, a może i z ludzi. Chodźmy już stąd – wzdrygnął się

nagle, jakby przejęty chłodem. – Nie lubię tego miejsca i bardzo niechętnie schodzę tu sam. To wyobraźnia proszę pana – zachichotał nerwowo.

Po chwili wynurzyliśmy się na powierzchnię.

## X

Mieliśmy z Eleonorą miejsce jedno tajemne, wielce do schadzek naszych sposobne, choć dość od Atrtrox odległe, mniej zaś od Fernquez, bo po jego stronie rzeki leżące. Dolina to była całkiem płaska, za wzgórz wyniosłych pasmem. W dolinie tej pagór spory niespodziewanie wyrastał jako wyspa ze dna morskiego wydzwignięty. Pagór ten, cały roślinnością gęstą spowity był. Tam zawiodła mnie kiedyś Eleonora i chodnik tajemny wskroś krzów zbitych mi pokazała do środka owej niby góry prowadzący. Zaraz też ujrzałem, że pusty ów pagór jest, we wnętrzu zaś swoim przestrzeń gładką posiada, niby dziedziniec porosły trawą gęstą a wysoką. Nie góra to bowiem była, jeno pierścień jakby, z głazów ogromnych jeden na drugim ustawionych. Świadome lub wprawne oko mogłoby się w głazach onych śladów rozmysłu jakowegoś dopatrzeć, a to fortalicji prastarej szczątków. Jeno kto by warownię z głazów takowych, kiedy i przeciw komu stawiać miał?

Odludne i puste całkiem było to miejsce, gdzieśmy radzi przebywali, gdy czas i aura pozwalały. Konie rozkulbaczywszy, sobą zajmowaliśmy się tam pośród traw bujnych, jak na kobiercach polegując. Samotni we dwoje, poświstów wiatru jeno nasłuchując, niebo mając nad sobą, tym cieszyliśmy się, że choć na przestrzeni dość rozległej, spojrzeń niczyich obawiać nie musieliśmy się ptaki, jeno za świadków mając, wierzchowce nasze, a czasem i psy, które wszakże nie wadziły nam wcale, z dala od nas się trzymiać. Rzekła kiedyś Eleonora, żeśmy tam jakby na ołtarzu położeni pod okiem boskim, jam zaś trafnością tego się zdumiał, było bowiem w miejscu tym coś uroczystego i wzniosłego, co w świątyniach opuszczonych bywa, a co zrazu, na początku samym, nawet lękiem mnie przejęło. Alem poskromił lęk ów nie wiadomo przed kim i skąd się biorący.

Kryjówkę tę odkryła Eleonora przypadkiem, wiele koniem po okolicy się włócząc przed laty. Sekret też z tego miała, do którego mnie jeno dopuściła. Nikt inny wejścia tajemnego nie znał i nikt tam inny nie chadzał, co łatwo poznać było po śladów jakichkolwiek braku. Polegując wśród traw, dnie całe spędzaliśmy tam niekiedy, na amorach wymyślnych i rozmowach do innych rozmów niepodobnych. Potrafiła Eleonora prawić historie takie i takim sposobem, zem zasłuchany nie wiedział już we śnie – li, czy na jawie się znajduję, z głową na jej łonie wspartą. Ona zaś o tych mówiła, którzy mury te olbrzymie wzniesli przed wiekami i gniazdo swoje tu mieli.

Ośmnastu ich pono wszystkich było, na korabiu jakowymś ognistym z niebios przybyłych. Z imienia Eleonora każdego wymienić potrafiła, imiona owe zaś tak cudaczne mieli, zem ich wypowiedzieć nie był zdolny, choć powtarzała mi je po wielokroć. Bowiem do tego trza było tak gardłem robić, jako ptacy czynią, jeno grubiej. Dość będzie rzec, że nie imiona to były prawdziwe, a dźwięki ni to świergotliwe, ni gruchające, a niby nie wiadomo jakie i żadną miarą takowych wydać nie mogłem. Czyny zaś mężów tych, o ile mężami zwać ich można, całkiem niepojęte były. No bo jakże pojąć coś, co do boskich nie zaś innych spraw należy? Oto mogli oni tworzyć istoty sobie podobne i niepodobne do niczego zgoła, sami w wielu postaciach się pojawiać i w miejscach wielu naraz. O innych sztukach też mi Eleonora prawiła, aleć o tych i pisać się nie godzi dziś, choć mi to akurat podówczas nie wadziło wcale, gdy mi je wyraźnie, omal jako obrazy mową swą pokazywała. I zdawało mi się wówczas, że oczami duszy mojej wyraźnie wszystko to widzę.

Osiedli tedy przybysze tu, a nie gdzie indziej, gdyż widziało im się, że przepiecznymi pozostają na pustkowiu. Przedtem przez wieki całe wędrowali po niebiesiach na korabiu swym, przed gniewem Pana pomykając. Przez czas jakiś cicho siedzieli w warowni, w

miejscu tym głuchym i dalekim od wszystkiego, dziwnymi i jako już rzekłem, niepojętymi eksperymenty się trudnią. A mocni byli, aż strach.

– Cóż więc się stało z nimi? Dokąd poszli? Czy wygnał ich kto, czy pokonał, jeśli tak potężnymi byli? – spytałem.

– Pan ich odnalazł i nocy pewnej ogień wielki z niebios puścił na nich, gdyż zbyt potężni mu się zdali. W mękach konali ogniem boskim smagani, przed którym i mury te na nic były. Co do jednego ich wytracił, a gniazdo zniszczył.

– Zaraz wszakże śmiać się zaczęła. Niewłaściwym mi się jej śmiech zdał po opowieści tej okrutnej dosyć. Spytałem tedy, z czego się bierze.

– Z ciebie – odparła – boś jako dziecko wiarę dał w bajkę niesłychaną jakby prawdą najprawdziwszą była. Słyszana to rzecz korab latający i ognisty na dodatek? A i reszta cała?

Urażonym po trosze się czułem, że sobie ze mnie krotochwile czyni. Ona wszakże udobruchała mnie wnet łatwo, żem zaraz burczeć przestał.

– A mury te kto by postawił? – spytałem jeszcze.

– Tego nie wiem, bo tego nie wie nikt. Żyli wszakże mocarze w czasach dawnych, mocniejsi niżli dzisiejsi są ludzie. Wiele jest potężniejszych w świecie od tej budowli, które przed wiekami nieogarniętymi wzniesiono, a które po dziś dzień stoją, nic sobie z upływem czasu nie robiąc.

– Prawda jest – odrzekłem na to. Potem zaś prawiła dalej:

– Zawszy, gdym jeszcze dzieckiem była, łatwo mi przychodziło opowieści snuć takie, że się pan ojciec dziwowali i inni, skąd mi się toto w głowie bierze. Teraz wszakże bajdę gminną powiedziałam, jeno tu i tam swoje, dodając. Wiem ja aż za dobrze, co o rodzinie mojej lud prostaczy plecie.

– Co zaś plecie?

– A to, że się od owych niby aniołów wywodzim. Wiem też, że ci o mnie samej rozmaici głupcy, głupstw rozmaitych w uszy albo już nakładli, albo dopiero kłaść będą. I nie tylko takich jak te, coś je ode mnie właśnie słyszał, ale i gorszych zapewne. Przeczyć im, zbędny trud, przeto czynić tego nie mam zamiaru.

Prawdę sam najłatwiej osądzić możesz. Pomnij przy tym, co święty Tomasz z Akwinu rzekł, że z grzechów największym i najbardziej niebezpiecznym głupota jest. On to rzekł, człek uczony, co sam wielce mądrym był, a nie byle jaki, pierwszy, lepszy święty z kościelnej kruchty.

Powiaśniała też mi wiele o dziecięctwie swym i młodości, co z tego podobnymi do moich były, że i ją matka wcześniej odumarała. Odesłał wtenczas był ojciec Eleonorę do krewnej zamożnej, dalekiej dość, aleć stamtąd lat trzynaście mając uszła.

Stało się tak za sprawą młodzieńca pewnego jurnego, co obces próbował sobie z nią poczynać za krewnej onej cichym przyzwoleniem. Aż raz nocą do komnatki jej się wdarł i co chciał wziął przemocą, gwałt jej zadawszy. Niedługo z tego się cieszył, bowiem we dni parę Eleonora warem go oblała, wprzód do kuchni zwabiwszy. Srogiej doświadczył za postępek swój boleści i na urodzie szwanku przez poparzenia rozległe na ciele całym. Eleonora zaś podjezdka zaraz ze stajni porwała i przez dni kilka, w męskie przebrana szatki do Fernquez bez spoczynku gnała. Mil ostatnich kilka piechotą po nocy szła. Konik padł, bowiem trudów nie wytrzymał. Nie posyłał jej potem ojciec nigdzie i tak chowała się samopas. A gdy Szatanka jej przywiózł z wyprawy dalekiej, całkiem już rzadko w domu bywała. Mówiła mi o tym wszystkim, niczego nie skrywając, jam zaś to na niegodziwość kawalera owego się wściekał, to nad jej męstwem się rozwodził i fantazją całkiem nie niewieścią zachwycał.

– Dlatego też Jakubie mnie od innych wolisz, bom ja nie jest niewiasta a kochanka jeno – rzekła raz – i to ci się we mnie widzi, bowiem ty nie tylko kochanki potrzebujesz.

– Czego zaś jeszcze? – spytałem.

– Wszystkiego – po swojemu odparła – ja zaś wszystkim ci być potrafię.

I prawdę rzekła Eleonora, choć nie wiem, czy świadomie to uczyniła, czy też nie. Pojąłem bowiem, że wszystkim jest dla mnie i że bez niej żywot dalszy nie bardzo możebnym mi się widzi.

Tak przeszła nam wiosna i lata kawałek. Dziś, kiedy czas ten wspominam, myślę, że dobrze jest, iż przyszłość przed człkiem zatajoną pozostaje, bo gdyby ją znał, nie przedsiębrałby nic, wiedząc zawczasu, iż się uczynki jego w niwecz obróca.

Kiedyś, pod wieczór, napotkaliśmy z Eleonorą Marcela człapiącego powoli. Ucieszyłem się, że oto trafia się okazja prezentacji wzajemnej i nader dwornie dokonałem tejże.

Ruszyliśmy potem razem w kierunku Fernquez, ale nijak było we trójkę na wąskim trakcie się pomieścić. Mój Skoczek do ogiera Eleonory już był przywykł, ale Marcelo wykonik na zadzie jeno przysiadał i kopytami bił, gdyśmy strzemień w strzemień trójką iść próbowali. Bał się karego, choć mu ten żadnych wstrętów nie czynił. Przeto do rozmowy i sposobności nie było.

Przed samym Fernquez zostawił nas Marcel, ukłon Eleonorze złożywszy, zaś ona ukłon z równą oddała mu kurtuazją. Jam zaś i z tego był rad, że pierwszy między nimi krok uczynionym został. Przy wieczerzy zagadnąłem Marcela jako się mu Eleonora widzi, gdy się jej przypatrzył z bliższa. Na co odrzekł, że gładką jest w istocie, choć płeć ma jak na jego gusta za smagłą.

– Możem po ciemku nie rozeznał dobrze – dodał zaraz. – Koniem powoduje zgrabnie, aleć to i foryś potrafi. Bez urazy Jakubie, nie pytaj więcej, bo co o panie mogę rzec, zamieniwszy z nią jeno słów układnych parę. Wiem ja iżbyś chciał usłyszeć więcej i samych komplementów, ale to miej na uwadze, że z przyjacielem sprawa, nie zaś z pochlebcą. Gładką jest, toć rzekłem. Milkliwą mi się zdaje i nieprzystępną dosyć. Aleć nie to waży czy mnie się widzi, jeno czy tobie. W parantelę sobie z pannami nie wejdziemy w żadnym razie, bo ja jaśniejsze, krągłejsze i bardziej mowne wołę. To cieszyć cię winno raczej niż martwić, jako że znasz mnie dobrze i moją na płeć niewieścią zajadłość. – Śmiał się to mówiący.

Zaśmiałem się i ja z przymusem niejakiem.

Nie pytałem już Eleonory jak Marcela znajduje, bom pomyślał, iż to mi samo odpowie co on, to jest, że za mało go zna, by cokolwiek o nim rzec.

Aż we dni potem kilka, zagadnął mnie Marcel, chcąc wiedzieć, co po prawdzie sprawiło, iż tak długo jednej panie wiernym pozostaję. Nie potrafiłem zrazu odpowiedzieć nic, krom tego, że piękną Eleonora jest.

– Gładsześ znał – rzekł na to. Zaraz przypomniał panien kilka i dziewczek, które nie tak dawno zdarzało nam się pospołu, a na wypródki uszczęśliwiać. Mnie zaś stanęła przed oczyma pani von Schwerz z jej alabastrowymi dłońmi i ramionami, z piersią krągłą i szyją wciąż jeszcze dość gładką, na której wszakże pierwsze swe znaki czas odciskać zaczął. Pomyślałem też o jednej dziewczce kraśnej, która dość długo posługę mi czyniła, jam zaś przywiązał się do niej, mimo iż falbanki u sukni jej często ubłoconymi były.

Tak się złożyło, że dwóch tych jakże różnych niewiast nie znał Marcel, jam zaś je obie akurat zapamiętał dobrze spośród wszystkich, których pamiętać i warto nie było. Przez chwilę rozmyślałem, dlaczego akurat te dwie wspominam, gdym nagle pewnego oświecenia doznał wspomniawszy Eleonory słowa.

– Ona wszystkim jest i wszystkim być potrafi – rzekłem, Marcel zaś dziwnie na mnie spojrział. – Potrafi panna owa być i damą i dziewczką – to rzec chciałem – dodałem zaraz. – Nie uczono jej jak dygać, jak siadać, komu i jak dłoń podawać, z kim do łoża iść, z kim nie, jak omdlewać udatnie a z wdziękiem. Inna jest tedy od dworskich małpeczek, ku zabawie jeno

hodowanych. Aleć i inna jest od dziewuch pospolitych, których i ty i ja znamy trochę. Sameś rzekł, że wyniosłą i nieprzystępną ci się zdała. Dobrze mi z nią i nie tylko tak, jak sobie imaginujesz Marcel, aleć i zwyczajnie... – nagłe skrępowanie poczułem, którego wcześniej nigdy przy nim nie doświadczałem. Nijak mi było o Eleonorze, choćby i z przyjacielem gadać. Spozrzegł to.

– Nie służy ci z panną tą konfidencja – rzekł śmiało. – Znałem cię jako żywego i wesolego kompana, a tu jako kawaler wzdychający mi się objawiasz, czego wcześniej nie bywało. Nie myśl, że amatorów ci ganię, choć to czas po ojcu twym żałoby. I on nie ganiłby, bo krew młoda gorącą jest. Nie chcę ja kazań wielkich prawić o tym, żeś rzeczy ważniejszych odbiegał, za dzierlatką w hopki się puściwszy. Na domu sprawy sam mam baczenie i tak czynię, by nie ze szkoda twoją szły. Aleć jest coś, co sen mi z oczu spędza... – uśmiechnął się, że winem się dławili, któreśmy do wieczerzy sączyli i gestem wymownym prosił, bym go po karku zdzielił, com uczynił z ochotą, a mocno. Jam jednak komedii tej zwieść się nie dał. Widząc, że w zanadrzu coś skrywa.

– Coś rzec chciał więcej? – spytałem, gdy kaszleć i charkać przestał

– Nie dla ciebie to panna – rzekł i głębszy łyk pociągnął.

– Czy to wszystko? – spytałem znów tonem takim, jakbym uprzejmości wielkie prawił, spodziewając się, że na stanu różnicę wskaże.

– Nie, nie wszystko. Źle ludzie o pannie tej gadają.

– A co gadają? – rozciekawiałem się prawdziwie, czy to samo mi rzeknie, com już od Eleonory wiedział.

– Ona nieszczęście z sobą niesie każdemu, z kim się zada. Trzech galantów jej śmiercią nagłą zmarło, z których jeden dość zacnego był rodu. Tego powieszzonego znaleźli, zaś o dwóch mniej możnych nic pewnego nie wiadomo. Ot zniknęli, jakby się pod ziemię zapadli albo jakby ich nigdy nie było. Tobie zaś rozum na poły zmaćnia, co widzę dnia każdego, kiedy jako błędny chadzasz, ludzi nie poznajesz, nie gadasz z nikim jeno z sobą samym, nawet mnie unikając. Nie chcę ja, byś do trójki owej doszłusował. Powiadają też, że skroś niej zarazy nastały i na bydło pomór. Spagirycką pono sztuką się para, która wyklętą jest i z czarnym trzyma, przez co zwierzę jej boi wszelaki i ludzie takż. Źle się to skończyć może.

Pojałem już wcześniej, że się obawia Marcel o mnie, toteż nie przerywałem mu gdy prawił żywo, winem, wymową własną, a milczeniem moim ośmielon. Aleć teraz uznał, że pora wkroczyć, bom już wiedział ku czemu zmierza, zaś argumenta jego niebezpiecznymi mi się zdały.

– Basta – warknąłem krótko. On zaś zamilkł z gębą otwartą, zapewne nagłą mą odmianą zaskoczony.

– Po kolei ci dopowiem na wszystko coś tu rzekł, intencje twe dobre na uwadze mając. Od trzech kawalerów zacznę. Koperczaki sadzili do niej, bo gładka to panna i posażna jak żadna.

Jeden obwiesił się, bo mu swej odmówiła ręki. Aleć jej winy w tym nie widzę. Nie musiała chyba za niego się wydawać dlatego tylko, że głupi był, nie sądzisz? Dwaj zaś inni precz odeszli, gdy ich odpaliła. Nie chciała za męża iść, jej to wola.

– Aleć trzy skony trzech młodych kawalerów jednej panny, niecodzienna to rzecz, przyznasz.

– Sameś rzekł, że o jednym wiadomo, bo się obwiesił, a dwaj znikli, jakby ich nie było. O jednym więc skonie mówimy, nie o trzech.

– Prawda jest – przyznał niechętnie.

– Co się zaż spagiryckiej sztuki tyczy, nie sądzę, by prawda to była.

Wszystko się stąd bierze, że dużo, wśród prostactwa bywasz i gminnych gadek słuchasz. Zamożną bardzo Eleonory familia jest, aleć nie od razu taką była, jeno przemyślnością w kupiectwie bogactw, a znaczenia doszła i rozumem. Gmin zaś praktyk niecnych w tym upatruje, sam bezrozumnym będąc. Sztuki spagiryckiej, dzięki której i złoto pono z kruszców pospolitych pozyskiwać się daje, nie trzeba Eleonorze ni familii jej, by żyć dostatnio – tłumaczyłem cierpliwość sobie nakazawszy. – Są na to sposoby inne. W nich oni mistrzostwo posiadli. O czarnoksięstwie zaś wiem jeno tyle, że prostactwo czarów i diabelstwa wszędy tam szuka, gdzie odmienność widzi. Jeśli zaś odmienność z bogactwem w parze idą, tedy już całkiem pewnym jest ono że z czartem sprawa. Zawiść bowiem i głupota siostrami są. Ty zaś głupców słuchasz niepotrzebnie. Inna Eleonora od panien ci znanych, com już rzekł. Niezwykłą jest – prawda, aleć nie masz w tym złego nic. Powiedziałem mu z dzieciństwa i młodości jej przypadków kilka. On zaś słuchał i głową jeno kręcił.

– Mądrą i piękną Eleonora jest – rzekłem na koniec, co więcej rzec – nie wiedząc.

– Lubczykiem cię napoić musiała albo czego innego zadać – odrzekł na to jeno i zaraz wstał od stołu, choć dzban jeszcze nie był opróżnień ni do połowy. Zaraz też na spoczynek się udał. Poszedłem i ja, cóż robić było? Markotny byłem. Chciałem bowiem, by polubił Marcel Eleonorę, a ona jego. Byli mi bowiem bliscy obydwójce, choć każde – oczywista – w innym rzeczy sposobie. Bo był mi Marcel jako brat z wyboru, zaś o Eleonorze to mogę rzec jeno, że nie miał nigdy nikogo, kto by mi jako ona był. Umyśliłem, że biesiadę urządę z obojga udziałem, by się poznać lepiej mogli. O tym też nazajutrz mu rzekłem. Aleć on nie bardzo się ku temu kwapił, choć się zwykle lubił w kielichy bawić. Częściej go wszakże spotykać odtąd poczęliśmy to tu, to tam i nie myślę ja, by to przypadkiem się działo. Razu jednego przyłączył się do nas, hen aż za wzgórzem potrójnym, co się Trzy Dziewice zowie. Co tam robił – nie pytałem. Daleko to od domu było, a po drodze oberża stała, gdzieśmy na popas się zatrzymali, honor oberżycie czyniąc.

Gdyśmy wieczerali, Cygan tam przybył, z niedźwiedziem na łańcuchu wiedzionym.

Na jarmark on do Fernquez szedł. Gdy wszelako zwierza chciał pokazać w tańcu i sztukach innych biegłego, ten wprowadzony do izby ryknął jeno i tył podał. Gdy zaś dźwierz zamknięte za sobą poczuł, chować się począł po kątach i pod stoły włązić próbował, przez co jeden połamał ze szczętem. Niebezpiecznie się robić zaczęło, bowiem niedźwiedź łańcuch z rąk wypuścił i bestią nie władał, która z rykiem po karczmie się tłukła, stoły i ławy przewracając.

Pistolety u siodła zostawione mając, za sztylet chwyciłem gotów Eleonorę osłonić, gdyby to się okazało potrzebnym. Marcel wszakże przytomnie dźwierz zaraz otworzył na roścież. Niedźwiedź w nie nura dał chyba, za nim zaś niedźwiedźnik pomykał, próżno się siląc, by go schwytać. Potem śmieliśmy się trochę z tego, ale krótko. Marcel bowiem spytał – to na mnie to na Eleonorę popatrując – czego by się bestia tak sroga przerazić mogła. Domyśliłem się, o co mu idzie. Nim jednak respons godny wykoncypowałem, Eleonora w takie ozwała się słowa, że całkiem z tropu go zbiła a i mnie słów brakło.

– Silniejszego od się poczuł – rzekła.

– Niby kogo? – Marcel nie tym zaskoczony był, co usłyszał, lecz tym, że się to od razu stało, bez chytrych podchodów, które widno planował, by swego dociec.

– Niby mnie, panie Marcełku.

– Nie przecyzysz zatem, że zwierz ten przed tobą umykał? – Że boi się ciebie żywina wszelka? Toż potwór ten w jednej łapie zgniółby cię, gdyby zechciał!

Pytaniem swym niegrzecznym i napastliwym odsłonił Marcel całkiem to, co dotychczas w głębi duszy skrywał.

– Zapewne – odparła Eleonora spokojnie – ale mu to do łba nie przyszło. Mógłby tak samo z niedźwiednikiem swym uczynić, człkiem dość marnym.

– On go od maleńkości pewnie hodował, a teraz na łańcuchu dzierżył.

– Pożarłby go niedźwiedź razem z łańcuchem, gdyby nie to, że wolę silniejszą ów nieborak posiada od niedźwiedziej. Ja za się silniejszą ją mam od niedźwiedziego pana, czy też raczej pachołka. Nie widzi mi się byś waćpan od razu pojąć to był zdolen. Próbuje wszakże waćpan, próbuj. Może z czasem się uda. Tegoć zabronić nie mogę – prawiła dalej łaskawie, a z pańska. – Jeno to jeszcze krótko ci rzeknę, że nie wszystka żywina i nie wszyscy ludzie obawiają się mnie. Dzianet mój Szatankiem przez przekorę nazwany oraz psy moje, miłością i wiernością mnie darzą. Zaś druh twój za równie dobre exemplum pośród ludzi stanąć może. Takoz i służba ma i ci wszyscy, co znają mnie dobrze, a którym nie wadzi, że niewiasta więcej od nich rozumu posiada – przymówiła mu szpetnie. Więcej ze sobą tego wieczora wcale nie gadali.

## XI

– Chciałbym teraz zaprowadzić pana do ruin zamku Atrtrox. Skorzystamy z pańskiego wozu. W linii prostej do Atrtrox nie jest, co prawda, daleko, ale droga wije się wzdłuż rzeki i omija winnice. Ja sam nie mam auta.

Wyłożony tłuczniem dukt okazał się niesamowicie dziurawy.

– Tędy jeździmy tylko w pole – tłumaczył przewodnik. Jedną ręką kurczowo zacisnął na uchwycie, drugą przytrzymał swój melonik.

– Zazwyczaj korzystają z niej tylko wózki zaprzężone w osły.

– Może trzeba było wziąć osły?

– Myślałem o tym, ale osły moglibyśmy wypożyczyć tylko wieczorem. Poza tym wyprawa nimi trwałaby bardzo długo.

– Żartuję. Nigdy nie jeździłem na osle. Myślę, że byłoby to nowe, lecz bardzo niewygodne doświadczenie. Pan wyobraża sobie dwóch dostojnych mężów, to jest pana i mnie na osłach?

Nie odpowiedział, tylko mocniej nacisnął melonik. U stóp wzniesienia zatrzymałem wóz. Nad nami piętrzył się masyw kaplicy, wyglądającej z dołu jak ciemna skała.

Nie sądziłem, że jest taka wielka. Zaczęliśmy wspinać się na wzgórze.

– Jak pan widzi Atrtrox znajduje się, mniej więcej, na tym samym poziomie, co Fernquez. Rzeka niekiedy zalewa całą, rozciągającą się pomiędzy miastem a zamkiem pradolinę i podchodzi wysoko, pod same jej brzegi.

Kilka razy w dziejach, przybór wód był tak wielki, że rynek miasta i – jak sądzę – dziedziniec znikły się pod wodą. Pamiątką po jednym z takich wydarzeń są osobliwości funeralne, które zaraz panu przedstawię. W tej oto kaplicy znajdują się grobowce członków rodu Atrtrox, a przynajmniej większości z nich. Dwa z sarkofagów wybudowano w zupełnie niepraktykowany sposób, wznosząc je wyjątkowo wysoko. Przypuszczam, że przyczyną takiego rozwiązania była jedna z wielkich powodzi, w czasie której woda zalała grobowce wcześniejszych antenatów rodu. W związku z tym, kolejni poszli po rozum do głowy i kazali dla siebie wybudować takie oto wysokie podesty, na których dopiero miały stanąć sarkofagi.

Legenda tłumaczy konstrukcję grobowców po swojemu. Miało ponoć chodzić o to, by nie chować grzeszników w poświęconej ziemi. Moim zdaniem to kompletnie nielogiczne, gdyż kaplica jest miejscem poświęconym w całości. Tym samym nie ma znaczenia, przynajmniej ze względów doktrynalnych to, czy grób umiejscowiony jest pod posadzką, czy nad nią. Niemniej ludzie w dawnych wiekach mogli rozumować inaczej. Ja sam uważam, że gro-

bowce wybudowano w taki, a nie inny sposób, po to tylko, by szanownym nieboszczykom nie było mokro w czas powodzi. Te grobowce są ostatnimi wybudowanymi w Atrtrox. Muszą więc spoczywać w nich ostatni członkowie rodu. Niestety, nie potrafię z całą pewnością wskazać, kto gdzie leży. Napisy są kompletnie zatarte. Zaraz sam pan zobaczy.

Ciężkie wrota, trzymające się na potężnych, pokrytych rdzą zawiasach, ustąpiły pod naporem naszych ramion.

– Tu nigdy nikt nie chodzi – przewodnik zniżył głos do szeptu.

Stanęliśmy w przedsionku kaplicy, przytłoczeni ciszą i pustką. Nagle wydaliśmy się sobie mali i nic nie znaczący wobec otwierającej się przed nami wysokiej sali, wspartej na strzelistych, gotyckich kolumnach. Światło dnia, wpadając z góry przez wąskie, pozbawione witraży okna, przebijało przyczajony półmrok niby ostrza szpad. Pojedyncze smugi krzyżowały się nisko, sprawiając, że ciemność poza nimi wydawała się bardziej gęsta, one zaś same – nieodparte i bezlitosne. Odgłos naszych kroków i szmer naszych słów odbijały się echem pod ostrołukowym sklepieniem, a w zawiesinie wznoszonego przez nasze stopy kurzu zdawały się przemykać duchy tych, którzy od stuleci spoczywali w grubych murach kaplicy, śniąc sen wieczny.

– Oto grobowce – przewodnik zatrzymał się i chusteczką ocierał z czoła krople potu. – Proszę wspiać się na cokół. Zobaczy pan wtedy płytę nagrobną. Jest zupełnie gładka, co pozwala wnioskować, że zmarły nie pozostawił żadnych bliskich, pragnących godnie uwiecznić jego imię za pomocą stosownego epitafium. Kolejny to dowód na potwierdzenie tezy, że spoczywający tu jest ostatnim z rodu d’Atrtrox.

– A kto spoczywa w tym sarkofagu? – spytałem, opierając dłoń o chłodny, chropowaty kamień stojącego obok grobowca.

– Według mnie Eleonora, żona Jakuba Szalonego. Mieszczka, która przez małżeństwo została księżną d’Atrtrox. Z pewnością była bardzo piękna i mądra, jeśli potrafiła młodego księcia doprowadzić do ołtarza. Na jej grobowcu również nie ma żadnych inskrypcji. Czasami odnoszę wrażenie, że napisy z grobów usunięto celowo. Może zresztą nigdy ich nie ryto? W ogóle sarkofagi są obrobione dość grubo, niestarannie. Sztuka kamieniarska stała wówczas bardzo wysoko, a one są jakieś toporne, niedokończone. Natomiast u podnóża interesującego pana sarkofagu odkryłem kilka liter. Proszę spojrzeć: – L, E, R, i A. Skojarzenie nasuwa się samo. To musi być Ona, Eleonora. Inna sprawa, że całe rozumowanie ma sens tylko wtedy, jeśli w sarkofagu obok rzeczywiście pochowany jest Jakub d’Atrtrox. Rodzice jego leżą o tam – wskazał głową na wnękę w ścianie. – Co do tego akurat nie ma wątpliwości. Zachował się wzruszający wiersz na nagrobku matki Jakuba. Z tego wiersza wynika, że zmarła młodo, tuż po urodzeniu syna. Cóż, kobiety często umierały wówczas na gorączkę połogową, proszę pana. Jego ojca sławi nieco pompatyczne epitafium. Takie były wymogi, moda jak byśmy to dzisiaj nazwali. Wspomniane teksty były dla mnie ważnym źródłem informacji. Szczególnie w pierwszym okresie moich poszukiwań. Gdyby nie wzmianka o urodzeniu męskiego potomka przez pochowaną tu niewiastę, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle istniał ktoś taki. Myślałbym, że tylko fantazja ludzka stworzyła szalonego księcia podpalającego miasto. A teraz proszę spojrzeć w górę. Nad nami wisi dzwon. Istnieje przesąd, ba nawet przekaz pisany, że dzwon ten bije samodzielnie, bez ingerencji ludzkiej, gdy ma się wydarzyć jakieś nieszczęście. Nie wiem, czy ma nieszczęścia przepowiadać, czy wywoływać. W czasie ostatniej wojny, miała tu miejsce jedna z nielicznych bitew, w której nasza waleczna armia zmusiła wroga do odwrotu. Fernquez było już zajęte przez Niemców, którzy wycofując się podpalili szpital z własnymi rannymi, by ci nie dostali się w nasze ręce. To niepojęte, prawda? A jednak tak było. Ostatnio wybiela się Niemców, a nawet gloryfikuje ich sposób prowadzenia wojny, bo to podobno cywilizowany naród. Polityka, proszę pana, Unia



Europejska, zgoda, porozumienie, omal braterstwo. Ale ja wiem swoje, bo o takich łotrzech, jakie oni wyczyniali, o takim bandytyzmie nie powinno się zapominać nigdy!

W każdym razie nasi ich przegnali, a potem i tak musieli się wycofać, więc Niemcy wrócili i rozstrzelali wszystkich mężczyzn, jakich schwytali w miasteczku. Z pogromu uszli tylko zupełni starcy i całkiem małe dzieci. No i ci, których wcześniej zmobilizowano, rzecz oczywista. Kilku młodzieńcom – wśród nich mnie – udało się ukryć w dolinie potoku. Siedzieliśmy tam przez trzy dni o głodzie i chłódzie, ale ocaliliśmy. Wracając zaś do legendy na temat paskudnych właściwości dzwonu, to wydaje mi się, że w tamten czas miał on wiele sposobności do tego, by dzwonić, a nie uczynił tego. Nie odezwał się a powinien był. Nie sądzi pan?

– Pewnie tak.

– Według przepowiedni, dzwon ten rozpadnie się po tym, jak zadzwoni ostatni raz. Ma to nastąpić, gdy zbudzi się bestia. Lub też jego dźwięk ma obudzić bestię.

– Jaką bestię?

– Nie wiem – bezradnie rozłożył ręce. – Przekazu nie udało mi się do końca odszyfrować. Jest bardzo archaiczny i jak prawie wszystkie materiały – niepefny. Stanowi jednak kolejny niezbity dowód na to, że dawni mieszkańcy Fernquez i okolic mieli katastroficzną wyobraźnię.

– Ciekawe, dlaczego dzwonu nie przeniesiono w bardziej eksponowane miejsce? Tu jest po prostu niepotrzebny.

– Zdecydował – jak sądzę – szereg czynników, w tym względy etyczne.

Wszak dzwon ten wraz z kaplicą należał przez wieki do rodu d'Attrtox. Zabranie go z miejsca wiecznego spoczynku właścicieli mogłoby być poczytane za świętokradztwo. Tutaj żyją bardzo religijni ludzie proszę pana. I bardzo przywiązani do tradycji.

Nad naszymi głowami coś zaszeleściło raptownie. Wzdrygnęliśmy się obaj.

Wysoko pod stropem, krążyła sowa, łopocząc szerokimi skrzydłami.

– Zły znak – szepnął przewodnik.

– Ptak ma tam swoje gniazdo. Obudziliśmy go po prostu.

– Tak, oczywiście. Nagłość zjawiska często powoduje zaskoczenie, przestrasz – starał się usprawiedliwić. – To też wina tego miejsca, proszę pana. Ono zawsze robiło na mnie silne wrażenie. Chyba już o tym wspominałem?

– Istotnie.

– O czym to ja mówiłem wcześniej? Na czym skończyłem? – opanował się.

– Rozmawialiśmy o dzwonie, o zbrodniach wojennych, o uczciwości mieszkańców Fernquez i okolicy oraz o tym, że dzwon w pewnym sensie pozostaje własnością, jeśli niewygasłego rodu Attrtox, to tego miejsca, tej świątyni – odpowiedziałem.

– Aaa, prawda, prawda. Pomijając aspekty etyczne – moralne przeniesienie dzwonu wiązałoby się z kłopotami natury technicznej. Nikomu nie chce się tego robić. W kościele miejskim mamy już dzwon starszy i większy od tego. Zresztą, kto by chciał mieć u siebie przedmiot mogący przynieść nieszczęście?

Wracając zaś do grobowców, wygląda na to, że zbudowano je jednocześnie. Przypuszczam, że nastąpiło to jeszcze za życia zainteresowanych, bo przecież nie umarli razem. Jest to kolejna sprzeczność i brak logiki w całej tej sprawie. Bowiem podpalenie ratusza w dniu własnego ślubu, spalenie biesiadników i pogrom ogólny, kolidują w jaskrawy sposób ze zgodnym pożyciem później, zakończonym pochówkiem w położonych obok siebie grobowcach. Tu coś straszliwie nie pasuje.

– Mogło być i tak, że ktoś z nich pochowało wcześniej swego małżonka, wybudowało mu sarkofag, a sobie obstałowało podobny? Przecież i za naszych czasów wielu ludzi buduje dla siebie takie domki wiecznego spoczynku.

– Ha, zapewne. Całej prawdy już raczej nigdy się nie dowiemy. Choć z drugiej strony to wcale nie jest tak całkiem wykluczone. Bo przecież nieustannie staramy się do niej zbliżyć. W najbliższym czasie zamierzamy otworzyć te sarkofagi. Chcemy połączyć renowację z pracami badawczo – inwentaryzacyjnymi. Powołaliśmy specjalną komisję złożoną z członków rady miejskiej, lekarza i prawnika. Zebraliśmy na ten cel pewną kwotę. Sam pan rozumie, że to kosztowna operacja. Wynajęcie robotników, sprzęt materiały na uzupełnienie szczerb i ubytków. Wszystko kosztuje i to sporo. Proszę wierzyć, wiele wysiłku i zabiegów dyplomatycznych kosztowało mnie jej przeforsowanie. Dopiero po tym, jak poparł mnie miejscowy lekarz, uzyskałem zgodę pozostałych członków rady. A i to tylko i dzięki temu, że przed naszym doktorem przedstawiłem ponętną możliwość zapoznania się ze schorzeniami reumatycznymi na podstawie szkieletów oraz zbadania zawartości ołowiu w kościach przedstawicieli wyższych warstw społecznych tamtej epoki. Gmin, proszę pana, jadał na miskach glinianych, pijał z glinianych kubków, używał glinianych garnków, glinianych lub drewnianych łyżek. Warstwy wyższe stosowały srebro, cynę, ołów. Teraz, jak mi się zdaje, pan doktor ma nadzieję na pobrania próbek z ich włosów, jeśli oczywiście ostały się takowe i z kości. Jest patologiem, ale tu leczy ludzi z ich przyziemnych, prowincjonalnych przypadłości.

Uzyskanie zezwolenia od władz kościelnych też nie było łatwe. Kuria musiała wydać stosowny dokument – odpowiedział na moje zdziwione spojrzenie. – To kosztowało. Przedsięwzięcie nie zapowiada się jako łatwe i nie będzie tanie, proszę pana. Trzeba będzie wynająć kilku ludzi, a tutejsi są niechętni całej sprawie. Jednak dla poznania, dla wiedzy – przybrał ton cokolwiek patetyczny – gotów jestem do największych poświęceń. Pracuję nad tym zagadnieniem przez znaczny kawałek swego życia. Wiele już wiem, wiele zamierzam się jeszcze dowiedzieć. Te grobowce...

– Pan pozwoli – wsunąłem mu w dłoń zwitek banknotów. – Proszę traktować mój niewielki datek jako wspomnienie pańskiego funduszu.

## XII

Lato miało się ku końcowi, kiedy w domu Eleonory po raz pierwszy na nocostałem. Bywałem w nim już wcześniej, gdy po nią przyjeżdżał niekiedy, jakeśmy się wybierali gdzie razem. I nie dawała mi Eleonora na się czekać ponad miarę. Tedy przybywszy, na pokoje bez potrzeby nie lażłem. Tak żeśmy zresztą z Eleonorą samą na początku ułożyli. Sługa jeden i ten sam, za każdym razem kielich mi przynosił, który wychylałem za ten czas ochotnie, na wybrankę mą czekając. Zaczem strzemiennego już razem z nią spełniwszy, ruszaliśmy w drogę ku warowni naszej, albo gdzie indziej, byle od ludzi z dala. Aleć tego dnia inaczej stać się miało. Ojciec jej bowiem wyjechał był na dni kilkanaście. Służba zaś cała porozłażała się gdzieś, z nieobecności pana swego korzystając, tak że całe domostwo wydawało się pustym, jakoby wymarłym. Jako dziś pamiętam, że leniwe to było i senne popołudnie. Jedno z takich, co to nic się nie dzieje a spokój wielki ogarnia ludzi i zwierzęta. My zaś, Eleonora i ja, pędząc jakby nas kto gonił na podwórzec wpadliśmy. Tam koni nawet nie przywiązawszy, zaraz do domu wnętrza żeśmy wbiegli. Szatki z siebie zrzucając, które się dało i po drodze je gubiąc, do komnaty jednej na piętrze wlecieliśmy, gdzie łoże szerokie pod baldachimem stało. Na łożu onym zapasom oddaliśmy się srogim, resztę szat z siebie zdarłszy. Eleonora jeno w lejbiku krótkim została, co górną część postaci jej kryjąc, dolnej pięknością sycić się pozwalał.

– Przez co i tego nie zdejmiesz? – niecierpliwiłem się koszulkę ową szarpiąc.

– Bliznę tam mam dość szpetną po znamieniu, które chirurg usunął lat temu będzie kilka. Znamię wyróżnął, aleć ślad po nim pozostał, który nie wiem, czy nie szpetniejszym od znamienia jest.

– Nic co twoim jest, szpetnym być nie może. Byłóż ono i przedtem, nic ni tobie, ni mnie nie szkodząc.

Zdjęła wówczas Eleonora lejbik ów. W istocie pod piersią lewą, ku środkowi bliżej, miała wgłębienie dość głębokie, stare widno, bo jednakiego z resztą skóry koloru. Nie wydało mi się też ono szpetnym, com jej zaraz powiedział.

– Musiał głęboko ciąć – zauważyłem. – Rzeźnik to był nie chirurg.

– Z początku wcale się tykać tego nie chciał, niebezpieczeństwem dla życia się tłumacząc. Ale ja potrafiła na swoim postawić. Pierwej na ojcu mym zgodę wyjednałam, co niełatwo poszło. Przyczyną wielkich alteracji mych znamię owo od dzieciństwa wczesnego było. Gdy zaś z dziecka w pannę przedzierzgać się zaczęłam, strapieniem prawdziwym się stało. Dlatego za jedno mi było, co się stanie, byle pozbyć się paskudztwa, z którym na świat przyszłam. Przez to być może i blizna większym niżli tobie mankamentem mi się zdaje.

Ostaliśmy tedy nadzy całkiem jako nas Pan stworzył. Wcześniej nie bywaliśmy tak, ku temu nie mając sposobności. Dopieroż przekonałem się, co to za amory być mogą, jakieśmy ich bez jakiegokolwiek krępacji pokosztować mogli. I niczym mi się zdały nasze wcześniejsze potyczki wobec onej bitwy, którą długo w noc toczyliśmy, kole południa zacząwszy. Nie jedząc nic i nie pijąc, sobą jeno zajęci, nie uważaliśmy na nic i na nikogo i wonczas pierwszy raz pomyślałem, iżem nie żył wcale Eleonory nie, znając, a inne panny przy niej jako ogarki przy pochodni, albo lepiej powiem – jako próchno wobec klejnotów – mi się zdały. Do rana w jednym łożu przespaliśmy, śpiąc po prawdzie dość mało. Rankiem dopiero o Skoczku swym wspomniałem, iżem go swemu losowi na noc nie rozkulbaczonego ostawił. Wstać szybko zamierzałem, wszelako Eleonory budzić ze snu nie chcąc, leżałem cicho. Ona zaś oczy jeno otworzywszy, w łożu mnie przytrzymała i zaraz też się pokazało, że niecałe swe soki w czas nocnych naszych zapasów utracił. Rzekła mi też bym się o konia nie i kłopotał, bo już się tam nim słudzy jej zajęli. Potem odziliśmy się w szaty, które ktoś pozbierał i do łożnicy przyniósł, kiedyśmy spali, zasłony baldachimu na dół spuściwszy. Zaraz do stołu zasiedliśmy, obfitego jadłem przednim. Kto szatki porzucone zebrał i stół nakrył – nie wiem. Dość, że cicho to czynił i nader przemyślnie, iżem jego krzątania nie słyszał i nie przebudził się, choć sen mam czujny, co mi jeszcze z wojennych przygód zostało. Gwarząc to o tym to o owym, spytałem Eleonorę czy się brzemienną zostać nie obawia, wielokroć i tak śmieje ze mną poczynając.

– Wcześniej sam baczenie na to miałem, aleś wczoraj rzekła, żebym do końca bez obaw żadnych czynił i o nic się nie kłopotał.

– Wiele jest sposobów rozmaitych, którymi niewiasty przed potomstwem niewczesnym się chronią – odparła. – Znam i ja ich parę. Aleć wczoraj żaden potrzebnym nie był. W noc wczorajszą nic się z amatorów naszych załęgnać nie mogło.

– Toż Bóg tym rządzi – zauważyłem. Wydeła nieco usta, jakby się naiwności mej dziwiąc.

– Arkana to żadne nie są dla niewiasty dość mądrej – rzekła. – Gdyby zaś dobry Bóg takimi drobiazgami zajmować się chciał, jak to, co się pod suknią niewieścią kryje, a co ty myszeczka, muszelką, bawidełkiem, kosmatką i innymi jeszcze uciesznymi nazywasz imi-ony, mało by mu czasu na co inne stało – zaśmiała się na koniec. – Rozum człowiek po to ma, by się nim od zwierząt różnił i o losie swym decydować mógł. Prawdą inną zaś jest to, że nie po równo rozum między ludzi podzielono. Z drugiej zaś strony na sprawę patrząc,

najsprawiedliwiej jest to rzecz ludziom dana. Każdy bowiem uważa, że dość rozumu ma, a najczęściej że więcej go od innych posiada.

Uspokojony, a i rozbawiony argumentami takowymi, za bardzo wygodne je uznałem. Spytałem jeno jeszcze, czy się ojca swego nie boi, gdy temu służy wyjawia, cośmy razem nocą czynili.

– Nie – odrzekła – gdyż nic się papa nie dowie od służby bardzo mi oddanej. A nawet jakby się dowiedział, za jedno mi. Ta z kolei odpowiedź zdziwiła mnie niemało, alem nic nie rzekł na to. Zaczem Skoczka mego przy żłobie pełnym znalazłszy wielce ochędożonego, do Atrtrox pojechałem, czując się raczej jakobym fruwał wysoko, a nie na końskim trząśnięciu grzbiecie.

## XIII

Z kaplicy wyszliśmy na dawny dziedziniec zamkowy. Dziś jego powierzchnia, pełna nierówności i wądołów porośnięta była krzakami.

– Zostańmy jeszcze przez chwilę – poprosiłem.

– Tu nie ma już nic do obejrzenia. – Starszy pan energicznie wywijał laseczką, szykując się do zejścia stronią ścieżką prowadzącą w poprzek zbocza.

– Zostańmy – powtórzyłem. – Tu jest pięknie.

– Cóż, oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Zamilkł. Omijając kępy bujnie krzewiących się zarośli oraz doły po zapadłych w ziemię fundamentach zabudowań, kręciłem się niespiesznie tu i tam po wzgórzu Atrtrox, doznając uczucia nierealnego oddalenia i dziwnie intensywnej samotności. Starłem się wyobrazić sobie dawne życie na zamku, życie mieszkających w nim ludzi. Usiłowałem odgrzebać, przywołać do życia coś, co umarło już dawno.

– Zamek miał cztery wieże – przewodnik niepotrzebnie przypomniał sobie o swych obowiązkach. – Jedna z nich była jednocześnie bramą. Wiódł do niej trakt, zakończony zwodzonym mostem. Droga ta nie istnieje. Została doszczętnie rozmyta. Nasyp, na którym ją poprowadzono, nie był – jak sądzę – należycie utwardzony. Dlatego dziś do ruin prowadzi tylko tak wąska i niewygodna ścieżka.

Jego słowa docierały do mnie jakby z daleka, mniej więcej tak samo ważne i wyraźne, jak dobiegające z odległego kąta pokoju brzęczenie muchy zaplątanej w sieć pajęczą. Pewnie był już zmęczony. Cień katedry wydłużył się znacznie. Słońce powoli wyciekało z Atrtrox. Pomimo to na wzgórzu, w osłoniętym od wiatru ziomkami murów czworokacie dziedzińca wciąż panował upał. Rozgrzane powietrze wypełniała odurzająca woń kwitnących krzewów.

– Mam do pana prośbę – odezwałem się niespodziewanie dla siebie samego.

W mej głowie dojrzywał jakiś zamiar, jakaś decyzja. Jeszcze nie potrafiłem jej wyartykułować, ale ona była, działa się właśnie. Starszy pan pomrukiwał oczami niezbyt przytomnie. Zapewne zasłuchany we własne słowa, znajdował się przez moment, podobnie jak ja, w zupełnie innej rzeczywistości. Teraz powracał z niej. Powracaliśmy obaj. Tyle że inne to były powroty, tak jak inne były obszary, sfery i przyczyny chwilowej nieobecności każdego z nas na wzgórzu Atrtrox.

– O co chodzi, czym mogę służyć?

– Proszę zezwolić mi na uczestniczenie w pracach przy otwieraniu grobowców.

– Dlaczego panu na tym zależy? – był bardzo zaskoczony i przyglądał mi się podejrzliwie.

– Rozbudził pan we mnie instynkt badacza. Ci ludzie dzięki pańskiej opowieści, dzięki urokowi i magii tego miejsca stali mi się bliscy – mówiłem szybko, jakbym recytował wyuczony tekst, obawiając się, że mogę zapomnieć lub pominąć jakieś słowo. – Chętnie poczekam

parę dni. Mogę też specjalnie przyjechać w określonym terminie. Wszak wspomniał pan, że otwarcie nastąpi wkrótce.

– Tak. Gdy tylko uda nam się zwerbować odpowiednią ilość robotników.

Nie mamy chętnych do tej pracy. W okolicy ludzie są przesądni. Wierzą w rzeczy i sprawy, które dla pana, czy dla mnie są tylko zabobonem lub zagadką, tajemnicą, dającą się przecież rozwikłać wcale nie nadprzyrodzonymi sposobami. Miejscowi boją się uczestniczyć w pracach tego rodzaju, proszę pana.

– Ilu ludzi panu jeszcze brakuje?

– Prawdę powiedziawszy nie mam nikogo.

– W knajpie wieczorami spotyka się zapewne grupka mężczyzn lubiących się napić, a cierpiąca na chroniczny brak gotówki. Niech im pan obieca taką stawkę, jakiej zażądata. Zobowiązuję się pokryć wszelkie koszty. W ten sposób, jeśli dobrze pójdzie, będziemy mogli sprawę sfinalizować już jutro.

Mój guide ważył decyzję. Pomyślałem, że ofiarowana mu już kwota nie powinna stanąć na przeszkodzie w spełnieniu prośby zdziwaczałego przybysza. Zaś zapowiedź dalszego finansowania eksperymentu może być tylko pomocna. On zapewne pomyślał podobnie, gdyż wsadził rękę w kieszeń.

– Postaram się przekonać pozostałych członków komisji – obiecał.

## XIV

Zapusciliśmy się razu pewnego wraz z Marcelem daleko, bo na sam kraniec włości moich, pomiędzy góry wysokie i aż za górami trochę, gdzie nie był nigdy jeszcze. Niepotrzebnym trud wyprawy naszej się okazał, bo nie było tam i po co jechać. Ale o tym wiedzieć nie mogłem, nie ujrawszy na własne oczy mizerii łąki skalnych, płonych a jałowych nad wszelaki wyraz. Chałup trochę, w znacznej części pustych całkiem napotkaliśmy i ludzi nędznych, bardziej powietrzem i łaską Boską niżli strawą żyjących. Nie uprawiali oni bowiem roli nijakiej wobec całkowitego braku tejże, kozy jeno i owce na spłachetkach trawy lichej wypasając. Objął mi wszakże Marcel, że nie tak nędznymi są ludzie ci i dobytek ich, jakim mi się pierwwej zdało. Bowiem podług niego, wyżej znacznie, w górach łąki niebosiężnych, łąki się znajdować mają rozległe, choć trudno dostępne. Trawa na nich bujną jest nad podziw, wilgoci dość mając z chmur, którymi gór owych szczyty przez roku większą część bywają spowite. Stada swe tam właśnie ludzie ci wiodą na wiosnę zaraz, w doliny schodząc dopiero pod jesień. Chałupy ich przez roku połowę albo i dłużej jeszcze pustkami świecą. Nikomu wszakże nawet do głowy nie przyjdzie, by z domostwa takiego bez dozoru pozostawionego a otwartego, albo jeno na kołek zamkniętego ukraść cokolwiek. Podług mnie, temu tak się dzieje, że nic do wzięcia w domu takim nie ma. Marcel wszakże odmiennego był zdania, na uczciwość owych ludzi górskich wskazując, jako i na prawa surowe, którymi pomiędzy sobą się rządzą, innych nie znając. Wiele on się też nad prostotą ludzi tych rozwodził, którym nieznane pono kłamstwo jest. Takż prawil o zepsucia wśród nich jakiegokolwiek braku, wskazując, że bez grzechu ludzie ci żyją, grzechu nie znając i co słowo to oznacza, nie wiedząc. Ciekawie gadał, aleć nie całkiem prawdziwa mi się wydawała owa niewinność łąki arkadyjska pasterzów onych.

– Latem mało kto doma pozostaje, krom starych, a i z żywniny tyle jeno, co by pozostający do cna z głodu nie pomarli – rzekł jeszcze Marcel. Jam się nad pustkami i bezludnością, jako i marnością ziemi tej dziwić przestał, bo dziwić się już nie było czemu.

Powrotna droga nasza przez Fernquez wiodła. Gdyśmy tedy do miasta kole południa przybyli, Marcela'm do Atrtrox przodem wyprawił, zapowiedziawszy, że sam na pod wieczór wróć. Chciałem bowiem Eleonorę choć krótko zobaczyć i byle słów kilka z nią zamienić. Do tego Marcel wcale mi nie był potrzebny, zważywszy, iż nadal pałał do niej bez-

zasadną niechęcią, skrywaną wszakże starannie, tedy większą może nawet niżli wprzód. Ja zaś przez ostatnich dni parę zatęsknić za Eleonorą zdążyłem i widzieć ją zaraz mocno zapragnąłem, jakeśmy tylko w mury wjechali. Spodziewałem się, że strój podróżny sfatygowany i niezbyt czysty, któren na sobie miałem, wybaczonem mi będzie.

Upał był wielki i żar się istny z nieba lał. Toteż po prawdzie nie tylko o Eleonorze samej i spotkaniu z nią pomyślałem, ale i o napitku jakim chłodnym, którym niechybnie uraczyć mnie zechce. Wiedziałem ja już przecie dobrze o tym, że w studni głębokiej zawždy gąsiorek jaki jeden albo i dwa trzymie, przeznaczone na czas gorący. A daleko chłodniejszymi były trunki z onej studni wyciągnione niżli z beczki utoczone i przyniesione z piwnicy. Tedy oskoma mnie opadła nie jeno na wybranki mej wspomnienie. Wrota domu, co dwór obronny więcej niżli kamienicę przypominał, otwartymi stały jako zazwyczaj w dzień biały. Przed nocą je dopiero zawierano, zamczyste ryglując wrzeciądze. Na dziedziniec tedy śmiało wjechałem. W cień Skoczka mego odprowadziwszy, pod opiekę sługi jednego, co niemową był go oddałem. Ówże sługa rykliwymi dźwięki silił się rzec mi coś, czegom wszakże zrozumieć za nic nie potrafił, choć się on i mocno wyteżał. Wreszcie z gestów jego, a nie z mowy, co mową nie była, pojąłem, że nie ma pani doma.

– Gdzie tedy poszła? – spytałem zawiedziony, a on na ogrody wskazał. Ogrody te rzległe bardzo były, za murami ku rzece opadające. Zaraz też drugi sługa z sieni wylazł i domysły me potwierdził, że w ogrody się Eleonora udała, nie chcąc widno w dusznej komnatce pozostawać. Koniem się moim oba gorliwie zajęli, jam zaś na piechotę przez furtkę wąską, okutą mocno, do ogrodów tych się pokwapił.

Nie byłem w owych ogrodach dotąd nigdy, toteż stanąłem w zadziwieniu jak się jeno pośród nich znalazłem. Nie urodą cudną wszakże mnie zadziwiły. Bo nie były one ogrody do żadnych innych ogrodów podobne. Nie rosły w nich bowiem ni jabłonie, ni śliwy, ni drzewa żadne, co by z nich frukta jakowe brać można. Nie było prawdę rzekłszy nic, co by na myśl ogród uprawny przywozić mogło. Jeno gęstwa zbita drzew wielkich i chaszczów, pomiędzy którymi ścieżek kilka słabo widnych wydeptano. Więcej nic. Nie wiedziałem tedy, w którą zrazu obrócić się stronę, alem koniec końców tę ścieżkę wybrał, którą najmniej niewyraźną znalazłem. Nią to najpierw prosto w dół, później trochę w bok, później znów w dół poszedłem. Nie była chyba właściwą dróżka ona, bo miast do Eleonory, wprost mnie do rzeki zawiodła, gdzie chłód wilgotny panował i cień miły od drzew i krzów, co się nad samą wodą zwieszały. O pragnieniu swym przypominałem sobie, co jeszcze bardziej dotkliwym niżli wprzód się stało. Sług bowiem o panią pytając, kazać sobie do picia co przynieść powinienem był, alem z prędkości zapomniał. Teraz zaś rzeka o wodzie zielonej, bo pomiędzy zarosłami wolno płynąca, z opresji wybawić mnie miała. Uklęknąłem na brzegu, kapelus z zdjąłem i głowę całą w nurt wsadziłem z rozkoszą niewysłowioną, nie bacząc na to, że odzienie moczę. Do woli się napiwszy, buty z trudem nie miałym zzułem. Zaczem kaftan, koszulę i resztę przyodziewku zdjąwszy, dalej trochę w nurt pobrodziłem. Po ramionach, piersi i grzbiecie pluskając się zrazu, a i pływając trochę, uciechę z tego i ulgę miałem wielką. Gdym tak beztrosko się pławił, ujrzałem we wodzie odbicie, całkiem jakoby kto za mną stanął, cichcem się zakradłszy i z brzegu przyglądał się onej kąpieli mojej. Nie odwracałem się, rozeznać próbując, czyje by to odbicie być mogło i zamiary jakie ma właściciel jego, jeśli bez słowa, ni bez znaku jednego za plecyma mi stoi. Nie chciałem, by się ostrzeżonym poczuł, że o obecności jego wiem. Gołym bowiem i bezbronnym będąc, nie wiedziałem, co czynić mi wypada. Postać ta wszakże znikła zaraz. Wtenczas dopiero ja na brzeg wróciłem. Nie znalazłszy na mokrym piasku śladów żadnych, za przywidzenie z wody drgań i światła, odbicie rzekome wziąłem. Odzież ma wyschła chyba, bo jako się rzekło, upał stale panował niezgorszy. Rześko się czułem i raźniej dużo niżli przed chwilą. Postanowiłem tedy nie szukać więcej, jeno zawrócić licząc, że Eleonorę, która by się już z ogrodów wrócić powinna, w

domu zastanę. A jeśli bym jej tam nie znalazł, dopiero tu raz jeszcze przyjść i poszukać lepiej. Wolno, bo pod górę idąc ścieżką wąską, wśród gałęzi niskich i krzów wszelakich, dostrzegłem ścieżynkę jedną, od mojej w bok odchodzącą. W nią to skręciłem, zamiar poprzedni porzucając. Ścieżynka ta najpierw w gąszcz prawdziwy wiodła, by przezeń się przedarłszy, polanką słoneczną i kwietną, śliczną prawdziwie się zakończyć. Z gęstwy na polankę ową wynurzyłem się nagle, przed blaskiem osłaniając oczy. W kącie polanki altana stała zmyślnym wielce zbudowana sposobem. Przy altanie tej Eleonorę ujrzałem, obok niej zaś młodzieńca jakowegoś nieznanego mi wcześniej. Tyłem oni do mnie stali, widzieć mnie nie mogąc. Razem do altany owej weszli, a pulsa moje jako młotem bić zaczęły. Kroki swe wstrzymałem i cofnąłem się za krzak ostatni, by serce uspokoić i myśli, co wiadomo jakimi były. Postąłem tak chwilkę nie za wielką, medytując co dalej czynić. Nagle zdało mi się, że młodzieńca owego odbicie przed chwilą we wodzie widział. Nie zwykłem ja podkradać się i czaić. Nie o to mi też szło, by ich niespodziewanie najść, cokolwiek by czynić razem mieli. Myśлом a sercu spokój nakazałem i głośno pogwizdując melodię swawolnej żołnierskiej piosnki, bytność swą jawną uczyniłem. Niespiesznie, od niechcienia jakby podszedłem pod altanę i zastukałem śmiało trzy razy. Nikt mi nie odpowiedział, ani żaden głos ze środka nie dobiegł. Mocniej tedy i nie palcem, a pięścią w ścianę się ozwałem. Dalej nic się nie działo. Cierpliwość straciłem, dźwierze pchnąłem i bystro do środka wpadłem. Aliści w altance nikogo nie było. Jeno półmrok, cisza, pustka. Ni Eleonory, ni młodzieńca nijakiego. Skryć się tam i gdzie nie było, toteż głupio się poczułem i nieswojo prawdę rzekłszy. Pomyślałem zaraz, że od upału i od nagłego w wodzie ochłodnięcia rozum mój figle mi takowe czyni. Do domu Eleonory prędko poszedłem, tym się pocieszając, że o mej z altaną przygodzie nigdy się ona nie dowie.

Zastałem ją wreszcie i wnet się pokazało, żeśmy się rozminęli wtedy, kiedym ja ku rzece samej, miast skręcić się opuścił. Alem się i zdumiał nie niepomału, jak mi młodzieńca przedstawiła, kuzyna swego co do Fernquez dnia poprzedniego przybył. Nie pokazałem wszakże, że go wcześniej był poznał nad rzeką i na polance zanim razem do altany weszli. Nic im nie rzekłem o tym, com imaginacji zapewne oczyma wondrous widział. Sam zaś nic wymyśleć nie zdołałem później, choć się głowy mocno nałamał nad tym, skąd by się takowe widzenie wziąć miało. Dałem tedy spokój myślom, co się tylko jałowymi i bezpotrzebnymi okazać mogły, nie prowadząc do niczego. Jeszcze zaś później do głowy mi przyszło, że coś pomieszał i że nie wtedy, com tu spisał, a kiedy indziej i dużo potem Eleonorę widział na polanie, w podległość altany wraz z kuzynem jej.

Dziś wszakże w dziurze żałosnej, ponurej i zimnej zamknięty, czasu na myślenie więcej mam niżli bym go potrzebował. Tak i myślę, a rachuję, że jednak wtedy to było a nie kiedy indziej i że wtenczas to zobaczył, co i później dużo widzieć mi się zdarzyło, gdy mi Eleonora stryjca swego przedstawiła w okolicznościach raczej niezwykłych. Zaś razem wszystko, w całej swej okropności zbyt późno objawionym mi zostało, bo w dzień zaślubinnych, podczas uczy weselnej. Napiszę ja i o tym, aleć nie teraz, jeno wtedy, kiedy trza będzie, aby kolejności wydarzeń i prawdzie ich nie uchybić.

\* \* \*

Jakoś niezadługo potem wyjechał Marcel do rodziców swych. Z dnia na dzień to uczynił, bez przygotowań wielkich. Podkowy dwie do sakwy wrzucił, pistoletów podsypał, macherzynę godną napełnił i tyłem go widział. Obiecał wrócić z wiosną, aleć nie był pewien czy wróci. Podejrzewać mi wypada iż rachował, że przeminie mi do Eleonory skłonność, jako do innych wielu. Nie wiedząc, czyli ludzkiemu wierzyć gadaniu, czyli raczej argumentem rozumnym, bał się jej po prostu. Tak dziś myślę.

Pytać wszakże już o to, nie mam sposobu, chyba żebyśmy się kiedy na drugim spotkali świecie. Wtenczas zaś o tym nie myślałem wcale i do głowy nie przyszłoby mi pytać o nie-dorzeczność tak wielką.

## XV

Marcel, jako się już rzekło, wyjechał był do rodziny, my zaś z Eleonorą dnię całe spędzaliśmy razem, a to na wyprawach niekiedy dość dalekich, częściej zaś w łożu, niechętnie z niego wyłażąc. Bo po pierwszej w jej domu mojej nocnej bytności, zaczęła mnie Eleonora w Atrtrox nawiedzać, gdzie po Marcela wyjeździe całkiem pustki były, bom służby nie trzymał prawie, nie mając z czego jej płacić. Ale i intraty jakieś nadchodzić zaczęły i jakby lepiej się zaczynało dziać, niżlim wprzód mógł się spodziewać. Nie było jeszcze z czym się szastać i to co przyszło lepiej na gorszą było zachować godzinę. Nająłem wszakże kilku cieślów i mularzy, bom chciał przed zimą najgorsze dziury połatać. Widziało mi się, że ku poprawie sprawy idą. Tak i było zapewne. Pewnego dnia, gdyśmy z Eleonorą w obłapkach się pograżyli, o całym świecie zapomniawszy, działo się wszakże to i owo na świecie bożym. Przekonać się wnet miałem o tym, gdy po amorach wyczerpanym zmysłem folgę dając, spoczywaliśmy krzynę, do następnych zapasów się gotując. Naraz rumor jakowyś z podwórca dał się słyszeć. Wyjrzałem przez okno i nieswojom się poczuł. Oto bowiem pojazd dość foremny na mój dziedziniec tarabaniący się ujrzałem. Wsiadł z niego mąż śniady, postury tęgiej, a nie grubej. Rysów twarzy jego z oddalenia i przez kapelusz z szeroką kresą rozpoznać nie mogłem, przeczucie jednak podpowiedziało mi, kto zaczął i dziwną czczość we wąpiach odczułem, jak przed bitwą.

– A toż to papa – ozwała się Eleonora z za moich pleców. – Widno wrócił i w domu mnie nie zastawszy, ludzi gdzieś jest pytał. Oni już mu powiedzieli, gdzie mnie znaleźć może, bom tego im nie broniła. Mógł też nikogo nie pytając, swego dojść. Bystry jest bowiem i dociekliwy ogromnie. – Mówiła to z lekkim jeno przelęknieniem w głosie, a z większą pewnie ciekawością.

– Co robimy Jakubie? Może by ukryć się gdzie?

– Nie – odrzekłem. – Nie zwykłem ja kryć się ani uciekać, choćbym i wobec niebezpieczeństwa się znalazł. A ono w ojca twego osobie nie wydaje mi się wielkie. Zejdziem zaraz ku niemu, zaczem o twoją poproszę go rękę. Jeśli zechcesz mi być żoną – dodałem, bom wcale tego pewny nie był.

– Zechcę – odparła krótko po swojemu. Poczem szaty wrzucone na się w międzyczasie poprawiwszy, zeszlśmy ku panu ojcu, co pośrodku podwórca stał, ciekawie się wkoło rozglądając. Dziwiła go pewnie pustka i to, że nikt gościa nie wita, a na pokoje nie wie. Ale Wincent spał pewnie smaczno, co coraz pilniej ostatnio był czynił, pacholek zaś zbędnych, jakom już pisał, nie trzymałem.

Zbiegliśmy po schodach pospiesznie i zmieszanie uśmiechem szerokim starając się ukryć, ku mężowi nieruchomie stojącemu podeszliśmy. Ów zaś nieodgadnionym iście mierzył nas wzrokiem.

– Witam w progach zamku Atrtrox – powitałem go, kapeluszem ziemię dwa razy przed nim zamiótłszy, choć nie ze szlachcicem była sprawa. On swój także ściągnął i ukłon mi oddał.

– Wysokie to progi – rzekł głosem głębokim, nie wiem czy nie z drwiną. Z głosu onego i z wejrzenia do Eleonory podobnym mi się zdał albo raczej ona do niego i była w nim jakaś wola nieugięta, której widno część wybranka moja przejęła.

– Wybaczyc zechciej panie, zem nie witał cię pierwszy, alem nie był o wizycie uprzedzon – sumitowałem się zgrabnie. – Spotkałem córkę waszmości pana z pola wracając i wobec



ulewy, która jak nam się zdało spaść zaraz miała, do domu swego córkę waszmości pana prosiłem. Zaczem gwarzyliśmy dobrą chwilę. W chwili onej dom mój zechciałeś nawiedzić, przeto witam cię panie i na pokoje proszę.

On zaś w niebo spojrział całkiem pogodnie i skrzywił się, widno na wzmiankę mą o ulewie. Jam stał jak i wprzód w pozie uszanowania pełnej, ramieniem kierunek wskazując.

Poszliśmy. Eleonora zaraz opuściła nas po krótkich kilku z ojcem swym słów wymianie, co i przywitaniem i pożegnaniem z nim były. Wnet przybyliśmy we dwóch do komnatki drewnem ongiś szlachetnym wybitej, nadal pozory świetności mającej. Rozmową starałem się gościa mego bawić. Ale on zbywał mnie półsłówkami, myśl jakby czym innym zajęta mając. Wreszcie Wincenta się dodzwoniwszy, wina przynieść kazałem. Stary sługa pojął, że nie błaża rzecz się dzieje i przyniósł trunek najprzedniejszy, wraz z kielichy dwoma cennymi. Aleć nie wartość ich ważną była, a herby na ściankach rżnięte, com łącno po wzroku gościa mego odgadł. Przez chwilę ni długą, ni krótką smakowaliśmy wino, milcząc. On zaś gdy już oczy napasał widokiem mu miłym, to jest herbów onych, na mnie ciężkie obrócił spojrzenie, co jakby do wnętrza docierać się zdawało.

– Nie przysłała góra do Mahometa, pofatygował się do góry Mahomet – rzekł wolno.

– Cięty dowcip panie macie – roześmiałem się udając, że za koncept słowa te poczytałem. On jednak nie śmiał się wcale.

– Jakie zamiary masz panie względem córki mej jedynaczki? – spytał wprost.

– Poślubić ją pragnę, jeśli ty panie, nie odmówisz mi jej ręki – równie prosto odparłem poznając, że na nic się zda po krzaczach go wodzić.

– Byłbym już wcześniej przybył do ciebie panie, aleś w rozjazdach często bywał, przez co sposobności ku temu nie miałem.

– Sposobność by się znalazła, jeno chęci pewnie nie stało? – Racz więc teraz oświadczy przyjąć od tego, co w przyszłości twoim pragnie mienić się synem – ciągnąłem niezrażony. Przychylniejszym jakby okiem na mnie zerknął i wina łyk upił.

– Eleonory zasię nie trza już o nic pytać, hę? – ton zmienił na łaskawszy znacznie.

– Tak jest – odetchnąłem nie kryjąc, zem ciężar wielki zrzucił. – Radziliśmy o tym dziś właśnie i także samo zdanie w tej materii mamy, to jest córka waszmość pana i ja. Jeśli zechcesz, w sposobnym czasie do domu twego się udam i z obyczajem w zgodzie o rękę jej raz jeszcze poproszę jawnie całkiem.

– Tymczasem nie trzeba – odrzekł całkiem już łaskawie. – Niniejszym oświadczy two przyjmuję. Zrękowiny a wraz z nimi zaślubin termin ogłosimy po ustaniu żałoby, której skracać nie widzę przyczyny, bo co się odwlecze, to nie uciecze. Na wiosnę roku przyszłego termin ten wypadnie?

Przytaknąłem. On zaraz na poczet posagu taką deklarował sumę, zem omal z krzesła nie spadł, choć ono z poręczami było.

– Pieniądze te przydadzą się wam, moje dzieci choćby na siedziby swej odnowę – prawil dalej bez krępacji nijakiej, braku ogłady, bądź trzeźwości wielkiej dając dowód, com o nim pomyśleć wołał. Uśmiechał się przy tym półgębkiem, zadowolony widno z wrażenia, jakie wywołał.

– A przydadzą się, przydadzą – w słowo mu wpadłem. – Zamierzałem zapożyczyć się i oddać po zbiorach. On zaś tylko głową trochę pokiwał, a z pobłażaniem zapewne na wzmiankę o zbiorach, co się mało zapowiadały obficie. Wiedzieliśmy bowiem aż za dobrze oba, że ani po tych, ani po następnych nie starczy na cel ten gotowizny, choćby urodzaj nie wiadomo jak wielki nastał. Gawędziliśmy potem dość długo, w kielichy bawiąc się dzielnie. Gdy powiedział, co zresztą prawdą było, że mi się od pierwszego wejrzenia podobnym do Eleonory zdał, a w rozmowie z nim i ją po części odnajduję, całkiem lody wcześniej nadwątlone

puścić. Wyznał mi wtedy, że nie od dziś wiedział o schadzках naszych, aleć im wstrętów czynić nie zamierzał.

– Ma już Eleonora swoje lata – prawil. – Nie jest zaś we zwyczaju mym bronić jej czegokolwiek, ni nakazywać niczego. Z dawna już bowiem spostrzegłem, iż rozkazując jej, na niewykonanie rozkazów jeno się narażam, przez co na szwank wystawiam swą powagę ojcowską. Jednakże udając się do ciebie dziś panie, chciałem bieg spraw nieco przyspieszyć i na właściwsze skierować je tory, jeśli wiesz, co na myśli mam – zaśmiał się rubasznie nieco. Potem śmialiśmy się oba serdecznie i z konceptu i z tego żeśmy sprawę ważną ułatwili, trochę zaś z tego, żeśmy oba przynapici byli. Pożegnaliśmy się wieczorem późnym, o przyjaźni wzajemnej zapewniając się wielokroć. Do powozu jeszcze pomogłem mu wleźć, no i pojechał.

Ja zaś kładąc się na spoczynek nie myślałem, że zostanę jako w sak schwytan podstępem, ani o tym że kupiono mnie, bo posag – posagiem a panna – panną. Bo także samo drogą Eleonora byłaby mi i bez posagu, a i także samą bez posagu bym ją brał z ochotą dla niej samej. Ale po prawdzie wolał, że tak nie było i prawiem za dziecko szczęścia, a Fortuny ulubienca uważać się był bliski. Nie mogłem zaś przypuścić, że pani ta, co kołem się toczy, w sposób tak osobliwy i straszliwy zadrwić ze mnie sobie umyśliła.

Bywałem potem w Eleonory domu wielokroć, jakeśmy ustalili, to jest jawnie całkiem, zawsze przezeń wraz z służbą i domownikami w progach witany. Podejmowali mnie tam wdzięcznie, uczyły małe na każdą wizytę mą czyniąc. Poznałem antenatów familii jej, z malowideł mniej i bardziej udatnych, w jednej z komnat wiszących. O każdym słów parę dowiedzieć się miałem okazję, konstatuując, że nie byle to jaka familia i stara. Jeden wszakże portret osobliwie pięknym był, tak że widząc go po raz pierwszy omal oczom nie wierzyłem. Była na nim pani o twarzy cudnej, wielce do Eleonory podobna. Domyśliłem się był głośno, że to matka jej jest. Jednocześnie dzieła kunszt pochwaliłem, słów wyszukanych nie żałując. Pokazało się zaraz, że nie matka to Eleonory, lecz siostra matki, która po śmierci jej przez jakiś czas w Fernquez żyła, dzieciną, osieroconą się zajmując.

Ją to Eleonory ojciec uprosił, by w nieboszczki szaty i klejnoty się przebrała, wcześniej malarza biegłego sprowadziwszy za pieniądze duże. Malarz ten długo dość w Fernquez bawił. Mogłem za to dokładnie widzieć podobieństwo Eleonory do ciotki jej, a tym samym do matki, jako że bliźnią jej pani z portretu była. Po klejnotach odmalowanych udatnie poznałem też, że mistrzem był malarz ów. Klejnoty te bowiem u Eleonory widziałem kiedyś i niepospolite. Była bowiem pośród nich kolia z diamentów czarnych wartości do oszacowania trudnej. Oczywistym wobec tego zdało mi się, że jeśli z klejnotami utrafił, to i fizjonomię malując, niewiele się z prawdą rozminął. I było w konterfekcie coś jeszcze, ale nie wiedział co. Bom stanąwszy przed nim, stał i patrzył długo, na nic więcej nie bacząc. Aż się śmiała po trosze Eleonora, że własną ciotkę zazdrośną się stanie.

– Toż i na ciebie wieczność całą spoglądać bym mógł i jeszcze mało by mi było – odparłem.

– Czy tylko patrzeć? – spytała iskierki w oczach mając, co za jedno anielskimi i diabelskimi mogły być światełkami. Zaraz mnie od obrazu tego odciągnęła do wieczerzy sutej, którą wraz z ojcem jej spożyliśmy, weseląc się i żartując.

A że nie były wizyty takie przeszkodą do spotkań naszych tajemnych niby, cośmy je po dawnemu wiedli, myślałem, że dobrze zrobił, iż wybrał się Eleonory ojciec do Atrtrox dnia pamiętnego. Bo sam bym może i zwlekał ze sprawą długo, wykrętów ku temu mając moc wielką. A tak wszystko się jasnym i oczywistym stało. Czekaliśmy jeno, aż żałoby mej termin wygaśnie, co się za miesiący ośm i jeszcze trochę stać miało. Potem z oświadczeniami wystąpić głośnymi umyśliłem.

Co do ojca zaś Eleonory, godzi się i to rzec, że nie zawždy i nie dla każdego dobrotliwym on był i łaskawym. Nieustępliwość i srogość jego poznałem, kiedy jednego kosterę z trupą kuglarzy wędrującego ułapiono z fałszowanymi kośćmi i kubkiem, co dziurę miał we dnie taką, iżby kości weń wsadzone, niepostrzeżenie mógł podmienić. Ludzi on pocziwych najsamprzód do gry zanęciwszy, razy kilka wygrać im pozwalał, by potem do cna kabzę naiwnym wysuszyć. Onże koster ułapion został w szynku, gdzie się parał łądactwem swym. Wnet go ceklarze na odwach zawiedli i w kuny zakuli. Temu sprawę tę powiadam, że akurat w Eleonory domu bawił, u stoła jako zwykle wraz z rodzicem jej biesiadując. Zaraz też gospodarz mój człeka posłał, by się ten wywiedział, co to się tam w rynku wyczynia. Kiedy zaś mu doniesiono przez co tumult jest, wielkim a nagłym zapałał gniewem. Rozkazał kosterę nieszczęsnego batogami osmagać, zaczem kołem łamać, a ćwiartować potem.

Na to wstawiłem się za nim i spytałem, czy by nie starczyło obatożyć hultaja i dłoni mu odjąć lewej. Albo lepiej jeszcze, osmagawszy jeno, do lochu na niedziel kilka zamknąć. Zbyt surowym i nie całkiem sprawiedliwym werdykt ów znalazłem. Pomyślałem też, że pochopnie został, on wydany i w złości za biesiady przerwanie. Nie rzekł nic z początku mąż srogi, alem widział, że hamuje się mocno, by tego nie rzec, czego żałować by mu przyszło potem. Głębszym jeszcze niżli zazwyczaj głosem widno przez gniew tłumionym, ozwał się wreszcie we słowa takie:

– Nasze to sprawy są, a moje przede wszystkim. Bowiem ja tu na straży obyczajów i praw stoję, których i ojce nasze i dziadowie trzymali się, za ostoję przezpieczności, spokoju, a dostatku mając. Ty zaś mości książę, z wielkiego świata przybywszy, nie znasz ni spraw, ni praw, ni obyczajów naszych, od niedawna pośród nas żyjąc. Poćwiartowanym zostanie łątrzyk ów, jak razu pewnego uczynić kazałem jednemu, co wina fałszował. A z okolicy był człek, nie zaś obcy. Podobniem ukarał kilku innych za sprawki rozmaite, których nie pomnę. Dlaczegoż więc kosterze i obcemu miałbym folgować? Aleć miłosierdzie twoje mając na względzie, takoz zażyłość naszą mości P książę, tyle ci ustąpię, że kołem łamany nie będzie, jeno najpierw ścięty, a poćwiartowany dopiero potem oszukaniec ten. Uczciwym miastem Fernquez było zawždy i takim pozostanie. Gdybym raz jeno pofolgował wydrwigraszowi jednemu, wnet by się ich kupa cała do nas złała. Od jednego owocu nadpsutego beczka cała popsować się musi, jeśli się onego, co prędzej spomiędzy dobrych nie zabierze i precz nie ciśnie. Tak i z ludźmi jest, że jeden zły, całą gromadę ku złemu poprowadzić może. Nie jest ten bowiem zły i okrutny, kto za zło sprawiedliwie, choć okrutnie karze, jeno ten, kto się złu rozplenić zezwala, dobrym a uczciwym ludziom na ztratę.

– Tak prawil Eleonory ojciec. Ja zaś, krom tego, że racji odmówić mu nie mógł, tak się czułem, jakbym przez mistrza mego, mentora bądź przez rodzica prawdziwego zganionym został. Po prawdzie tak się czułem, jak dziecko małe i głupie. Ot co.

Alem tego starał się po sobie nie pokazać, głową kiwając i mądre, a pełne powagi strojąc miny. Nie wstawiałem się więcej za nieszczęsnym człekiem tym, bom krwi ni gospodarzowi memu, ni sobie psuć nie chciał, wiedząc, że i tak nic nie wskóram.

Prosili też za nim kuglarze, kompani jego i niewiasta młoda z dziecięciem przy piersi, a ze łzami, co mu żoną była. Wszystko na nic. Stracili też kosterę wkrótce, poćwiartawwszy potem, czemu się gapiów mnogość z miasta i okolicy przyglądała ciekawie.

\* \* \*

Pod jesień wyjechała Eleonora, przed chłodami i pluchami w przychylniejsze strony uciekając. Miał ojciec jej w Darbonne dom wygodny, w którym zimy część najgorszą

spędzał, a do którego przed dniami kilkoma sam się udał. Eleonora jeszcze trochę ostała w Femquez, ale na krótko.

– Wkrótce już razem będziemy stale – mówiła, gdy prosił, by ostała ze mną. – Jeszcze ci zbrzydnę, gdy uroda, młodość i krwi upały przeminą – droczyła się. Jam odpowiadał, że nigdy to się nie stanie i wierzyłem w to, co mówię święcie. Tyłem zyskał wszakże, że powóz z czeladzi kilkorgiem dla ochrony, przodem wysłała. Sama zaś ze mną pożegnanie wyprawiła długie i czułe nad wyraz.

Po pożegnaniu owym, wcale nie łatwiej rozstać mi się z nią było niżli pierwej, bom nie jeno ciałem jej pożądał.

Odprowadziłem ją tam, gdzie już ją czekali długo a z niepokojem. Eleonora zaraz z grzbietu końskiego do powozu się przesiadła, jako statecznej pannie przystało. Namawiali mnie służyć jej, bym dalej z nimi podążył w zajeździe nie bardzo odległym przenocował, ale Eleonora ni słowa o tym nie rzekła. Dlatego nie chciałem przedłużać oczekiwania na rozstanie, co się i tak stać musiało. Przesłała mi jeszcze Eleonora pięcioma palcami dłoni prawej pozdrowienie pięćdziesięciu pięciu aniołów\* ruszyli. Patrzyłem za nimi trochę, na środku pustej drogi stojący. Zaczem zawróciłem, gdy z oczu mi znikli i nie oglądając się więcej, do Atrtrox pogałem.

Pędziłem potem Skoczka litości żadnej dłań nie mając, smutek czując i pustkę i żal, i złość. Zaciąłem konia szpicrutą i ostrogami bodłem częściej, niżli to potrzebnym było.

Nocą jadąc, do dom o świtanie przybyłem. Konia wiehcieami z piany otarłszy i derkami okrywszy jak się dało, upiłem się dnia tego rzetelnie.

## XVI

Przebyliśmy już dolinę i wolno wjechaliśmy do miasta, po naszej wyprawie na wzgórze Atrtrox.

Postawiłem auto w podwórku gospody, wysiadłem i pomogłem wygramolić się memu pasażerowi. Zapachy dolatujące z kuchni przy pomniały mi, że ostatni posiłek zjadłem rano. A teraz dochodziła piąta.

– Zapraszani pana na spóźniony obiad – zaproponowałem.

– Nie wiem czy to wypada, nie chciałbym sprawiać kłopotu – staruszek krygował się mocno i chyba szczerze.

– Ja nalegam – ująłem go pod ramię. – Obiad w pańskim towarzystwie będzie dla mnie przyjemnością i zaszczytem.

Pewnie był równie głodny jak ja, bo ustąpił bez dalszych ceregieli. Ochoczo wkroczyliśmy w gościnne podwoje „Księżnej Atrtrox”, ale zaraz stanęliśmy zaskoczeni. Spodziewałem się pustki i ciszy. Tymczasem w niewielkiej salce wszystkie stoliki były zajęte, a w powietrzu snuły się kłęby tytoniowego dymu.

Właściciel dostrzegł nas ponad głowami biesiadników.

– Witam, witam – zawołał. Przerzucił sobie przez ramię ściereczkę i właśnie ku nam zmierzał.

– Witam – powtórzył – taki rzadki gość jak pan profesor, co za niespodzianka – cieszył się. – Uprzedzałem, uprzedzałem, że popołudniami miewam liczną klientelę. Ale restaurator musi o wszystkim pamiętać i umieć przewidywać. Pozwoliłem sobie wobec tego specjalnie dla panów zarezerwować stolik w bocznej salce. Proszę tutaj – wskazał nam wnękę po lewej stronie. – To miejsce przeznaczone jest tylko dla najlepszych gości – zaznaczył, poufale zniżając głos. – Spodziewałem się, że panowie wrócą razem i dlatego nakryłem dla dwóch osób. Wszystko jest już gotowe. Zaraz podaję do stołu, tymczasem proszę, oto aperitif. Mam

nadzieję, że pieczone nie stwardniało zbyt, czekając na panów – dodał z żartobliwą troską w głosie, strzepnął ściereczką wyimaginowane pyłki z obrusa, zakręcił się jak fryga i przepadł za kotarą przesłaniającą naszą wnękę. Zaraz na stole pojawił się rozłożysty półmisek z apetycznie wyglądającą zawartością. Nie tracąc czasu, zabraliśmy się do jedzenia. Pochłanieliśmy posiłek w milczeniu, szybko, spłukując wielkie kęsy, równie wielkimi łykami wina. Głód odebrał nam chęć delektowania się smakiem potraw. Dopiero pod koniec zwolniliśmy tempo. Stary historyk sprawiał wrażenie rozleniwionego i sennego.

– Poproszę jeszcze wina – powiedział głosem rozmarzonym. – Dawno już nie jadłem takich dobrych rzeczy i w takiej ilości – wyznał. – Dziękuję panu. Od czasu jak mieszkam sam, miewam w domu tylko najbardziej potrzebne produkty. Staremu człowiekowi niewiele trzeba do utrzymania się przy życiu. Ale przecież miło odświeżyć wspomnienia, choćby i odległe. Niech pan teraz upiecz swoją drugą pieczeń – ożywił się.

– Nie rozumiem?

– Pierwszą właśnieśmy zjedli – pomrukiwał na mnie.

– A druga?

– Niech pan idzie do gości i ogłosi rekrutację.

– Jak to?

– Potrzeba nam ludzi do naszego przedsięwzięcia, nieprawdaż?

Istotnie. Prawdę mówiąc, myślałem, że to raczej pan powinien...

Młody człowieku, niech pan się nie wyręcza starcem, Nie chciałem się panem wyręczać. Ale pan zna tu ludzi i pan jest organizatorem całości. Dlatego wydawało mi się, że to pan powinien wystąpić z tą sprawą.

– Niech pan się ruszy młodzieńcze. Więcej ducha wrzasnął w przypiływie nagłego animsu. – I proszę mi jeszcze nalać wina. Jak szaleć, to szaleć.

Pomyślałem, że wypił za dużo, ale nie przeszkadzało mi to wcale, gdyż był wystarczająco zabawny. Nalałem mu jeszcze kieliszek, zamówiłem następną butelkę na wszelki wypadek i poszedłem spełnić narzuconą mi misję. Układając sobie w głowie swego rodzaju przemowę, podszedłem do barmana.

– Proszę pana – zacząłem poufnie ściszonego głosem. Mam do wykonania pewne zadanie i pan mógłby mi być w tym pomocny.

O co chodzi? – usłużnie przechylił głowę w moją stronę.

– O ludzi. O kilku silnych, zdrowych mężczyzn chcących dobrze zarobić w krótkim czasie.

– To jest do zrobienia tu i teraz – rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem amatorów szybkiego zarobku.

Niech pan zaczeka. Sprawa jest szczególnego rodzaju, chodzi o specyficzny rodzaj pracy – powstrzymałem go.

– Specyficzny? – ciekawie nastawił ucha.

– Tak. Profesor zamierza przeprowadzić pewne badania na wzgórzu Atrtrox.

– Chodzi o grobowce? – spojrzął bystro. – Tak.

– Chcecie je otwierać? – użył liczby mnogiej.

– Skąd pan wie?

– Ja wiem dużo różnych rzeczy. Zresztą, to nie jest wielka tajemnica.

– Profesor parę razy próbował już namawiać ludzi do współpracy w tej kwestii. Bez skutku.

– Istotnie profesor od dawna nosi się z zamiarem otwarcia sarkofagów celem ich wyremontowania, zinwentaryzowania zawartości, dokonania pomiarów i badań. Ma nadzieję poznania czegoś nowego, dowiedzenia się nieznanych szczegółów z dziejów miasta.

– A co pan ma do tego?

– Ja nic do tego nie mam i niczego się nie spodziewam. Przynajmniej nie od razu. Ale ja mam pieniądze, a profesor zainteresował mnie swymi badaniami. Zawsze ceniłem upór i konsekwencję. Dlatego pomyślałem, że powinienem go wspomóc. To niezwykły człowiek. Pan też mógłby zyskać.

– Niby jak i co?

– Jeśli odkrycia będą ciekawe, wokół Fernquez zrobi się szum. Przyjedzie telewizja, sporo ludzi. Nakręci się koniunkturę, a pan zarobi najwięcej.

– Myśli pan?

– Jestem prawie pewien. Sam też bardzo dobrze zapłacę tym, którzy pójną tam z nami.

– Chyba trzeba będzie zapłacić jeszcze lepiej. Tu ludzie są przesądni, zabobonni. Poza wszystkim mają teraz dużo roboty.

– To samo mówił profesor. Dlatego właśnie proszę pana o pomoc. Profesor sam nie chce, nie potrafi i właściwie w tej chwili nie może przekonywać ludzi. Jest na to zbyt nieśmiały, a poza tym troszkę sobie wypił. No niech pan nie odmawia – położyłem przed nim banknot.

– Hohoho, duży pieniądz – barman poślinił palec i przejechał nim po powierzchni przekonywującego papierka. Potem podniósł go i obejrzał pod światło.

– Widać bardzo panu na tym zależy – rzucił mimochodem.

– Robię to wyłącznie dla profesora – udałem umiarkowane oburzenie.

– No dobrze już, dobrze – mruknął i uderzył w niewielki gong umieszczony nad kontuarem. Gwar przycichł nieco. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę baru. Wszyscy Upatrzyli na nas z oczekiwaniem.

– Szukamy mocnych facetów, chcących szybko zarobić w krótkim czasie. Kto chętny, niech podniesie rękę.

– Rozległ się ochoczy ryk, a znad stolików podniósł się i las rąk.

– Dobra, dobra. Widzę, że jesteście bardzo pracowici. Następną kolejka na koszt firmy.

– Tym razem ryk był jeszcze głośniejszy. Gdy umilkł, od jednego ze stolików podniósł się postawny mężczyzna o czerwonej twarzy.

– Bardzo to ładnie – zawołał. – Ale co trzeba zrobić? Powiedz, o co biega? Potem się zobaczy, czy możemy wypić na twój koszt.

– Nasz profesor wraz z tym oto panem pragną otworzyć grobowce na Atrtrox – powiedział barman powoli i dobitnie.

– W ciszy, która zapadła po tych słowach, dał się słyszeć szcęk sztućców mytych w kuchni. Ta cisza była ciężka i nie wróżyła nic dobrego.

– Profesor od lat prowadzi badania – uznałem, że powinienem się włączyć. – Ostatnio doszedł do wniosku, że klucz do rozwiązania pewnej zagadki może spoczywać w grobowcach. Nie dosłownie oczywiście, a w przenośni...

– Kim jest ten gość? – czerwonozęby spoglądał na mnie ze złością.

– To przyjaciel i pełnomocnik profesora, a zarazem jego sponsor.

– Panie sponsor posłuchaj pan, co ja panu powiem. Tu jest spokojna okolica. Łapy z daleka od nas i od naszych spraw też – rozpedzał się. Wtórował mu zgodny pomruk pijących.

– Z przyjezdnymi zawsze kłopot – wyszedł zza stołu. Kilku mężczyzn podniosło się z krzeseł. Awantura wisiała w powietrzu. Sytuację uratował profesor. Jakoś niepostrzeżenie znalazł się pomiędzy mną a gniewnymi mężczyznami o zaciętych twarzach.

– Obywatele Fernquez – wrzasnął, wywijając laseczką jak szablą. – Zbliża się wielki moment w dziejach naszego miasta. Do wrót naszego grodu puka historia. Ta historia, która zapomniła o nas i o której myśmy zapomnieli. Naprzód panowie. Odkryjmy tę historię, bo warta jest tego. Przypomnijmy wspomniała historię dumnego miasta Fernquez – bełkotał trochę. Ale jego pompatyczny zapał śmieszny i porywający zarazem, trafiał celnie w zmienne, pijane umysły skłonne do alkoholowej egzaltacji. Agresja biesiadników przygasła, zanim zdążyła rozgorzeć na dobre. Darmowa kolejka zapowiedziana przez barmana dokonała reszty. W ciągu kilku minut pozyskaliśmy dziesięciu silnych mężczyzn. Akurat tylu nam było trzeba.

## XVII

Pędziłem żywot smętny, samotny i nudny dosyć, do roboty nic nie mając. Jesień się już na dobre zaczęła. Deszcze i wiatry zimne sprawiały, że mało co z domu ruszało. Niekiedy, przy pogodzie lepszej bywałem w miejscach, któreśmy byli radzi z Eleonorą nawiedzali. Szukałem tam bytności naszej śladów, ale mało ich znajdowałem, a to jeno po ognisku tu i ówdzie węgle. Rychło dałem spokój temu, bo miejsc tych widok jeszcze bardziej smętnym mnie czynił. Źle mi było bez Eleonory i nudno. Ot co.

Dnia wszakże jednego, kiedy śnieg padał mokry, przypomniałem sobie z nagłą, co mi Wincent o ojcu mym powiedział. Oto pisał pono ojciec mój dużo przed śmiercią swą. Aliści zniknęły kiedyś pisma owe. Wincenta tedy wezwałem i raz jeszcze o wszystko wypytałem dokładnie. Niewiele mi rzekł sługa stary, krom tego, com już wiedział.

– Może w ogień je cisnął, śmierć bliską czując? – dociekałem. Wincent wszakże zapewnił, że nigdy w popiele śladu po papierach nijakich nie znalazł.

– Ruszyłem tedy głową, słusznie mniemając, iż nie po to pisał, by przesłanie jego na wieki nieznanym pozostało.

– Ukrył je gdzieś – myślałem na głos. – Ale gdzie mógł ukryć człek, co z łoża ni wstaje?

– Wstawał pan niekiedy i po komnacie próbował chadzać ścian się trzymając. Aleć z dawna tego nie czynił. Poza komnatę zaś odkąd go przywiozłem nie ruszył się, to pewna. Łoże ja sam słałem, ale niczego w nim nie odkryłem. Prawda, że przed śmiercią ze trzy miesiące kazał je bliżej ognia postawić. Pewnie chłód już czuł śmiertelny. Zaraz ściany i podłogi opukiwać począłem, ale na skrytkę tajemną nie natrafiłem. Siedliśmy pośrodku komnatki zniechęceni cokolwiek. Gdyśmy tak radzili, a w kółko to samo, promień słońca przez chmury się przedarłszy, łoże szerokie liznął. A miało łoże to słupki cztery, kulami zdobnymi zakończone. Wielkość pięści dobrej każda z kul tych miała. Jedna nich, mianowicie u wezgłowia słupek wieńcząca, jaśniejszą, czyli też bardziej połyskliwą mi się zdała. Zaraz też w nią stuknąć i pukać zacząłem a potem kręcić, co całkiem łatwym było. Zdjąłem w końcu kulę ową z słupka, którego okazał się być wydrążonym. W nim zaś rulon znalazłem, różańcem okręcony i sznurkiem grubym, z którego pieczęć powisała.

– Oto i ojca mego testament – rzekłem, pieczęć złamawszy i rozwijając go ostrożnie.

– A co tam stoi – Wincent ciekawie szyję wyciągnął. Jam zaś pojął, że jeśli czytania nieświadom, tedy nie przed nim ojciec mój nieboszczyk papiery zataił. Obiecałem mu, że co się jego osoby tyczyć będzie, to mu wszystko powiem. Tymczasem po wino i światło go posłałem, zamierzając tak długo siedzieć, choćby i w noc nad papierami tymi, póki ze wszystkim treści ich nie poznam. Gdy zaś przyniósł co trzeba, lulkę zapaliwszy, czytaniem się zająłem przez koślawość liter utrudnionym. Pojąłem z jakim trudem ojciec mój litery

stawiał, jasnym mi się więc zaraz stało, że niebłaha sprawy przekazać mi się silił. Tak i było w istocie. W treść testamentu się zagłębiwszy to smutek, to żal, to złość, to litość dla ojca mego czułem, poznając go jako człeka, nieszczęśliwego, cierpiącego i nie jeno przez cielesną niemoc pogiębionego. List ów zapamiętałem dobrze. Nie mogąc dziś gwoli świadectwa go przedstawić, to spiszę dokładnie com w nim sam znalazł, a co niech miarą niedowiarstwa mego będzie i dla innych przestrogą.

– Synu mój kochany i drogi Jakubie – list się ów zaczynał.

– Piszę do ciebie słowa dyktowane miłością i troską. Będąc całkowicie przy zdrowych zmysłach, proszę cię ja, twój nieszczęsny ojciec o wzięcie pod rozwagę mych rad i wskazówek, nawet tych, które by ci się niedorzecznymi wydać miały. Przykuty do łoża starałem się przewidzieć rozwój wypadków zanim one nastąpią i porwą cię swym nurtem. Wiedz, że wraz z narodzinami twymi spełniły się marzenia me najgorętsze o posiadaniu męskiego potomka. Długom na ciebie czekał, gdyż Matka twa ni razu donosić nie mogła. A przez lat dziesięć cośmy w małżeńskim stadle trwali trzy razy brzemienną była. Nie pomagały ni leki, ni modły. Radość ma tedy, aczkolwiek zmacona przez Matki twej skon i kalectwo własne – wielką była. Znów miałem dla kogo żyć. Ja, który wcześniej modliłem się o śmierć dla siebie, a wobec modłów mych niewysłuchania, sam się na żywot własny targnąć zamierzałem. Pojąłem teraz, że nie jeno własnym żywot mój się stał.

Chciałem uczyć cię stawiać pierwsze kroki, konno jeździć, fechtować, gdy czas przyjdzie na to. Nadzieję wciąż miałem, że czas i medycy, na których nie skąpiłem, cudu dokonają. Że jeszcze będziemy hasać razem wśród pól i winnic... Ech dawne to czasy wiary wielkiej na płonym budowanej piasku.

Nie dał mi Bóg szczęścia tego, więc zgorzkniały, surowością i chłodem ból swój okrywszy, powierzyłem cię opiece Wincenta i żony jego. Później zaś na dwór cię posłałem. Panu bowiem naszemu poprzedniemu, nieboszczykowi, wielkie ongiś oddałem usługi nie ramieniem jeno i męstwem bitewnym – wierząc – a głową i radą. Dlatego ośmielał się prosić, iżby fawor ten uczynionym mi został, to jest – by cię tam przyjęto życzliwie. Tak się i stało.

Czuwałem ja nad tobą, choć z daleka. Znałem omal krok twój każdy, radości twe i smutki. Porażki – jeśliś takie ponosił – bolały mnie srodze. Żałowałem cię nieraz, boś chłopiec był mały. Alem myślał: w ogniu złoto się oczyszcza, a hartuje stal.

Tryumfy zaś twe, choćby i najmniejsze – radowały mnie ogromnie. Wiem wszystkie twoje sprawy i późniejsze, z panią von Schwerz takż. Tego za złe mi nie weźmiesz zapewne, na intencje me bacząc. Chwali ci się roztropność, która kazała ci zniknąć z oczu pani tej, poznać nie dając, żeś się wdziękami jej znudził.

Nie masz bowiem gorszego wroga nad kobitę lubieżną, która za porzuconą przez kochanka się uważa. Tak długo ona wrzeszczeć będzie, na wdzięków i honoru przez niego zbrukanie narzekając, że swego dopnie i terminy srogie na człeka sprowadzi. Aleć nie o tym prawić chciałem. Jesteś synu w pełni przygotowany do życia właściwego twemu stanowi i urodzeniu. Brak majątku wielkiego, nie może ci być przeszkodą w znalezieniu godnej ciebie, pięknej i bogatej panny, którą zechcesz swą uczynić małżonką i dzieci swych matką, do czego nie powinno zabraknąć ci sił ni ochoty.

Osobiście zalecam ci córkę pana de Mantur, krewnego naszego dalekiego. Gadaliśmy o tym raz, gdy przybył do mnie lat temu kilka. Panna ta wówczas w jedenastej wiośnie była, sześć zaś lat młodszą od ciebie jest. Posagiem weźmie ona dobra znaczne, z naszymi od południa się stykające. Nie masz tam też u niej, ani u przodków jej nie było, żadnych na ciebie i umyśle skaz, które k' zamęściu obstrukcją by być mogły. Bierz ją tedy, o ile panną ją zasta-



niesz, gdy słowa me czytał będziesz. Uczynisz jednak jako zechcesz. Bacz, że nie nakazuję a zalecam.

Na dwór nie wracaj. Łaska pańska, w tym i królewska, na pstrym koniu jeździ, czegom sam doświadczył, gdy młody król nastał, którego złych doradców słucha, rody stare za nic ma i wietrznik jest. Odsunął on od siebie tych przede wszystkim, co poprzedniemu Panu najwierniejsi byli. Ostań tu Jakubie. Ostań na swoim – powtarzam. Ciężko ci będzie z początku, boś do innego życia przywykł. Ale wytrwaj. Wiem ja, żeś zdolny wydzwignąć dobra nasze z ruiny, od sąsiadów odebrać, co nam wydarli wobec bezsilności mojej. Powtarzam jednak: pierwszej dźwignij to, co w naszym nadal pozostaje ręką. Do wojny bowiem pieniędzy trza, jakkolwiek by była. Tych nie masz. Tymczasem tedy w zgodzie ze wszystkimi żyj, a jak na nogi staniesz, pokażesz im kim jesteś. Teraz wszakże o najważniejszym powiem, to jest do walki innej, a to ze złem, które się w okolicy pleni od dawien dawna. Nie wiedziałem ja o nim nic, stale daleko będąc. Dopiero kiedy Matkę twą w Atrtrox osadził, bywać w domu częściej zacząłem. Gdym zaś się pojawiał na krótko, nic mnie nie zajmowało, prócz Matki twej Jakubie, którą Jasnym Aniołem zwałem, gdyż z urody i z dobroci serca Aniołom była podobna. Zresztą, sprawy nasze dobrze stały, sąsiedzi respekt mieli, siłę moją o łaskę królewską wspartą dobrze czując. Trapić się tedy nie miałem czym. Nie miał mi też kto rzecz pierwszej o tym, co się w okolicy dzieje. Dlatego, gdym zło poznał na własnej skórze, tym dotkliwszym mi było. Oto dnia jednego los na drodze mej niewiastę postawił piękną a złą, o czym ci powiedzieć chcę, niczego nie tając. Spotkałem bowiem, gdym już od lat wielu żonaty z Matką twą Jakubie był niewiastę z miasta Fernquez, która ku sobie mię skłoniła. Matkę twą kochałem szczerze. Zarówno na dworze, jak i w pochodach wojennych wiele miał rozmaitych okazji. Za nic mi one były i żadna z nich serca mego nie zajęła, choć z ciałem rozmaicie bywało, acz na krótko. Ta jednak niewiasta inną od wszystkich mi się zdała, choć na czym inność ta polegała, dalibóg w onczas nie wiedziałem. Ciemniejsza była od innych, aleć tak się zdarza gdzieś, osobliwie pośród gminu, chociaż nie w naszych stronach. Nie jeno na tym inność jej polegała, co się później pokazać miało. Dziś myślę, że poniekąd ułatwioną ze mną sprawę miała przez to, że Matka twa odkąd przy nadziei się stała, nie bardzo do amatorów zdatną była, poronić znów się obawiając.

Wiesz jak to jest z mężem, choćby i statecznym, gdy mu niewiasta piękna awanse jawne czyni. On jako paw albo lepiej jako kogut wówczas dumny chodzi, choć to do dumy powód żaden, mieć rozum nie w głowie, a nie przymierzając w kroku.

Aliści często jest tak, że dumnymi jesteśmy z tego, co żadnej po prawdzie do dumy nie daje przyczyny. Głupi jest człek i tyle. Jam też był głupi, alem się za bardzo mądrego uważał. Dziś wszakże taką pociechę z tego mam, że ciebie mogę przed tym ochronić, przed czym mnie przestrzec nie było komu.

Stało się tedy, co się stać miało. Myślałem – ot jedna więcej, jedna mniej dzierlatka, ale się inaczej pokazało. Poczułem bowiem, że coraz mi trudniej bez panny owej, coraz nudniej żyć i sposobu jeno szukałem, by się z Atrtrox wyrwać i do kochanki lecieć. Jednocześnie wstyd mi było, wyrzuty sumienia czułem wielkie, które jednakowoż, gdym już z panną ową był, ustawały chybko. Eleonory imię nosiła niewiasta owa wszeteczna. Krewną kupca zamoznego się powiadała. Gryzłem się w sobie, bom panny owej pragnął, a Matkę twą miłował szczerze, jakom już rzekł. Pojąłem, że nie żyć mi tak dłużej, pomiędzy dwiema się szarpiąc. Wybierać i co nie było, bom Matki twej przy nadziei będącej porzucić nie chciałem, choć i do tego mię namawiała kochanka ma. Rzekłem jej tedy razu pewnego, że skończyć nam wypada, cośmy zaczęli bezpotrzebnie. Ona zaś usta piękne przygryzła.

– Uczynisz, co zechcesz – rzekła jeno. – Bacz, byś nie żałował.

Odwróciła się i odeszła. Rad byłem, że słów zbędnych nie miota a gniewnych, komedii głupich a hałaśliwych nie czyni, jako niewiasty zwykły. Aleć nic takiego. Ot, jakby niewiele ją to obeszło.

Wróciłem do Atrtrox z sercem lżejszym, żem się kłopotu pozbył. Poprawę zaraz przysiągłem sobie i pokutę uczynić. Przedwcześnie się cieszył, bo w domu posłaniec czekał, którego pismo mi przywiózł. Pilnie mię Pan nasz do się wzywał i na pomoc słał, bym komendę objął nad regimentami nowo zaciężnymi, których w potrzebie bratankowi swemu odstąpił. Nie w smak mi była decyzja taka, bo dość że nad jurgielnikami przewodzić niełatwa rzecz jest, to na dodatek w obcego monarchy sprawie. A tu jeszcze niewiastę brzemienną i nie całkiem zdrową ostawić przyjdzie. Dalej się wszakże doczytałem, że nie na więcej, jak niedziel parę to potrzeba. Że zaś droga w obie strony około czterech niedziel mi zajmie, wyliczyłem, że się na twoje narodziny w sam czas zjawię, albo i wcześniej jak Bóg da. Tyś zaś miał się w niedziel od czternastu do szesnastu na świecie pojawić. Z ciężkim wszakże jechałem sercem. Gdyśmy na miejsce przybyli prędzej niżlim wyliczył, bo pochodem nad wyraz forsownym, wnet się pokazało, że sprawy całkiem inaczej niż mnie uwiadomiono stoją, a gorzej znacznie niżbym w najgorszych swych imaginacjach, imaginować sobie potrafił. Oto komendę młokosowi powierzono, moją osobę jeno ku asyście dodając. Słowem – bezpotrzebnie mię wezwano i jak się pokazało na nieszczęście moje. Gdym plan kampanii całej i bitwy zoczył na kartach przedstawień, włosy z głowy rwać chciałem, czego dla powagi czynić nie mogłem. Alem wręcz rzekł, że nie plan to żaden, ale zabawka dziecinna. Ot, jak się chłopce małe w wojnę niekiedy bawią, a każdego z nich marszałkiem wielkim jest. Za zniewagę uznał to młokos ów bratanek królewski i całkiem mię słuchać nie chciał, na opak wszystko czyniąc. Nie wiem, czyli i z radami mymi wictorię wobec stanu rzeczy odnieść by nam wypadło, ale chociaż uratować można by trochę. Sprawdziło się porzekadło stare, że co nagle, to po diable. Krótka kampanię naszą planowano, krótką ona sama być miała i dla postrachu raczej, niżli dla wojny wielkiej. Stała się zaś krótszą jeszcze. Jurgielnicy moi bowiem, których sprawdzić co warci i w karby wziąć nie miałem kiedy, do nieprzyjaciela jak jeden mąż przeszli. Wódz nasz smarkaty zaraz na początku bitwy pierwszej, do której i po co dążyć nie było – tył poddał. Jam został z garścią wojska, co próżno się siliła opór stawiać. Zginać wolałem niżli hańbę ucieczki znieść. Rozkaz też miałem, by chronić królewską krew, com czynił, swojej nie szcędząc. Tyleśmy wszakże działali, że pierzchnął bezpiecznie. Ranionego ciężko Wincent do dom mnie przywiózł. Matka twa bez zmysłów zaraz padła, w takiej kondycji mnie widząc. Zaczem ciebie na świat wydawszy, sama opuściła padół ten łez i zgryzoty.

Nie ma przyczyny ran dawnych więcej rozgrzebywać. Na nic to nikomu przydatnym być nie może, ni zmienić niczego. Powrócę tedy opowieścią swą do panny owej, com o niej był już wspomniał. Wnet się pokaże, iżem nie bez kozery pisał.

Nawiedziła mnie bowiem ona w Atrtrox dnia pewnego, niezadługo, bo miesiący będzie ze dwa, lub trzy po Matki twej skonie. Rankiem przybyła i o nic nikogo nie pytając, do komnaty mej przyszła. Flakonik dość spory przyniosła, w którym kordiał był z alg pono morskich uczyniony, którego w boleściach wszelakich ulgę miał dawać. Rzekła mi ona, że urazę dawną wobec zdrowia mego stanu precz odrzuciła i jako dobra chrześcijanka pomoc nieść umyśliła. Nie bardzom jaw skuteczność leku owego wierzył, bom już wielu driakwi, balsamów i smarowideł próbował. Ona jednak nalegała, bym choć kropli kilka pokosztował. Trochę z ciekawości, trochę z przekonania, a trochę dlatego, żem i tak do stracenia nic nie miał krom żywota nędznego, pokosztowałem kordiału owego, z winem go pijąc. Gdym pił, ona wpatrywała się we mnie, na brzegu łoża mego usiadłszy. Wnet poczułem, że prawdę rzekła. Ból srogi, który cały czas mię trapił, przeszedł był i Ona zaś po oczach mych poznała, na to widno czekając, gdyż jakby nigdy nic suknie zakasawszy do łoża mi wlała i tak czyniła, żem

się całkiem zdatnym pokazał. Tego nie spodziewałem się już nigdy doświadczyć, okrutnie połamany będąc. Dosiadła mię, wielką okazując delikatność, ale wprawę i zaciekłość w jeździe owej.

– Rozważ raz jeszcze mój panie, czybyś nie pragnął za dnia i w nocy mieć przy sobie oddanej ci ciałem i duszą niewiasty – szepnęła mi, kiedy już po wszystkim było. Co rzekłszy w półśnie mnie ostawiła, który się zaraz w sen zdrowy przemienił.

Ciała niewiast. Ileż to razy podczas przepełnionych bólem nocy imaginacją przywoływałem przed oczy obrazki lubieżne. To ulgę w cierpieniu przynosiło krótką. Ale potem i gorzej jeszcze bywało. Bom nie spodziewał się, żebym jeszcze kiedykolwiek pokosztować niewiasty miał. Aż tu przyszła do mnie sama niewiasta piękna, młoda i nad podziw gorąca. Niosła mi ulgę w cierpieniu, zapomnienie i nadzieję, że może nie całkiem trup żywy za życia jako w grobie pogrzebion.

Myślałem potem, że to sen był. Nawet chciałem Wincenta pytać, czyli była u mnie panna jaka, czyli nie, alem dał spokój. Flakonik leku bowiem po niej został, co dowodnie wskazywał, że nie w imaginacji jeno ją widział. Mógłby tedy pomyśleć Wincent, że i na umyśle sfiksował, gdybym pytał o rzecz tak oczywistą. On sam, gdy przyszedł do mnie posługę czynić, ciekaw był, czego panna chciała i co tak długo siedziała. Odrzekłem mu, że z chrześcijańską pomocą przybyła, co nieprawdą całkiem nie było. Przeżegnał się Wincent ukradkiem i splunął nieznacznie w kąt, na com wówczas nie zwrócił uwagi.

Za niebios dar pannę ową uznałem i przemysliwać począłem, czyby jej nie wezwać.

– Toć sama się ofiarowała – dumę swą starałem się zagłuszyć, mając w pamięci jej słowa. We flakoniku zaś, z którego, gdy tylko ból czułem, zaraz kropel parę pociągałem – dno się po dniach paru pojawiło. Pokusa tedy silniejszą jeszcze się stała. Jednego z wieczorów kazałem sobie piór przynieść, papieru a inkaustu, by list do niej pisać i z rana, nie mieszcząc do Fernquez go słać. Ale przy pisaniu sen mnie niespodziewanie zmógł. We śnie zaś Matka Twa Jakubie mię nawiedziła. Stała u wezgłowia łoża mego białe ręce załamawszy, z obliczem smutku i trwogi pełnym. Wpatrywała się we mnie oczmi rozwartymi szeroko, w których pytanie nieme było albo prośba – nie wiem. Coś mi pewnikiem rzecz chciała, ale nie mówiła nic. Jeno stała długo, długo i patrzyła na mnie, jam zaś patrzył na nią i słowa wypowiedzieć nie byłem zdolny, choć pytać mocno chciałem i miałem o co.

Długom potem myślał, przez co sen ów był i doszedłem, że przestrozę zawierał. W liście mym bowiem do panny pisać zamierzałem, że ją o zrozumienie proszę, przebaczenie win wcześniejszych i powrót. Na koniec, acz nie wprost o ożenku z nią napomknąłem w przyszłości, którego wykluczyć nie mogłem, bieg spraw przewidując. Gdym rozmyślał wszystkie za i przeciw rozpatrując, to gorączkując się, to znów ostudzając, Wincent mi się przypomniał ze swym żegnaniem i spluwaniem. Spytałem go tedy wprost, przez co to czynił. On zaś równie wprost odparł, że diabelstwo panny owej wszystkim krom mnie znanym jest. Rozciekawiony pytałem dalej. Ośmielon wnet się rozgadał i o takich sprawach, że się już wcale nie dziwił iż Matka twa, a Żona ma nieboszczka z niebios na ziemski się padół fatygowała ku przestrodze.

Oto panny tej familia znaczenia doszła i majątności wielkiej za czarta sprawą. Ma ona bowiem na swe usługi moce, o jakich gadać się nie godzi, jeśli się nie chce warg imieniem przeklętym kalać.

Wincent prostaczkiem będąc, nader nieskładnie i rozwlekle rzecz całą mi przedstawił, bajdami rozmaitymi ją barwiąc. Twierdził on bowiem, że się familia ta z aniołów upadłych wzięła, których Pan za wszeteczeństwa ich na padół ziemski cisnął. Pono w okolicy siedzibę swą przed wiekami mieli, zanim jeszcze ludzie na świecie tym się pojawili. Potem zasię z ludźmi się parząc, do ludzi stali się podobni. Z ich to potomstwa Eleonory familia początek

swój wzięła. Tak prawił Wincent. Gminu bajdą to było – rzecz oczywista – aleć rozciekawilo mnie mocno, skąd by się bajda takowa wziąć mogła. Tedy nie na nim jeno polegając, więcej coś dowiedzieć się postanowiłem. Czasu wiele zbieranie wieści mi zajęło, alem czasu miał dość, a do roboty nic zgoła. Sprowadzał mi Wincent ludzi, co gadali. Jam za się do kupy wszystko składał, głupstwa jako plewy od ziarna odrzucając. Każdy z nich osobno okruchy jeno znał tego, com ja sobie w głowie układał, pomiędzy sprawami z pozoru odległymi związki zbierając. Nie jeno od nich wieści – rzecz oczywista – miałem. Wiedziałem sprzęcie z ksiąg rozmaitych, więcej znacznie, niżli prostaczkowie dniem dzisiejszym żyjący.

Czytałem niegdyś o ludzie, co z morza przybył przed lat tysiãcem albo więcej. Pogański był a potężny wielce, w magii i czarodziejstwie wszelakim bardzo biegły. Lud ów przepadł, zaginął, jako wiele przed nim i po nim\*. Pomyślałem pierwiej, że by się z niego familia Eleonory wywodzić mogła i ona sama ze swoją urodą do innych niepodobną.

Potem za się o czym innym pomyślałem, co bardziej prawdą być może i tego raczej się trzymaj.

Zdarzyło się bowiem kiedyś – też dawno, ale naszych czasów bliżej, że szatan umyśły pomieszał ludziom na południu\*. Tedy Boga Prawdziwego i Kościół odrzuciwszy, bożka wyznawali dwoistego Rex Mundi go zowiąc i ofiary krwawe mu czyniąc. Nie zgłębiając się w istotę herezji tej, rzec ci jeno chcę, iż wielu możnych rodów poparcie mając, tym śmielej dysgusta Bogu Prawdziwemu czynili odmieńcy.

Aliści wyczerpała się miara cierpliwości Niebios i pokarał Najwyższy plugawców rękami Namiestnika Piotrowego na ziemi, to jest Papieża Innocentego III-go, który wojska liczne przeciw bluźniercom wyprawił. Lat wiele wojna trwała, bronili się bowiem twardo, po zamkach licznych i w polu takóž, czarta protekcję za sobą czując. Aleć w końcu wszyscy omal wybici zostali. Jeno garść uszła, wśród nich zaś jeden, co go „doskonałym” zwali. Gromada ta, jako wilków stado umykała, aż się w Fernquez oparła, co miastem wówczas takim jako dziś nie było. Do wilków ich przyrównałem przez to, że szli niszcząc, a mordując po drodze i dobra ludziom spokojnym grabiąc. Obyczajem takóž iście wilcze mieli, każdy z każdym żyjąc jak się im podobało i sakramentów żadnych nie uznając. Ostali zaś tu z tej przyczyny, że za górami bezpiecznymi się czuli. Jednocześnie nie bardzo oddaleni od siedzib dawnych swych będąc, powrócić do nich przy sposobności chcieli. Sposobności wszakże tej próżno wyglądali. Czas długi cicho siedzieli i w zapomnienie popadli. Aleć znów głową podnoszą. Nigdy bowiem nie rezygnuje zło z tego, co się mu raz uda w swe pochwycić w szpony. Skarby wielkie mają z dawnych jeszcze czasów, a i nowych przyczynili. Prawdę bowiem jest, że wiedzę i mądrość wielką choć grzeszną posiadli. Z niej to długowieczność się ich bierze, omal nieśmiertelności równa.

Bowiem tajemnice życia i śmierci poznali, swoje życie innych życiem i krwią żywiąc. Piszę „oni”, gdyż wielu ich w rozprószeniu żyje. W skrytości przy błędach swych trwają, praktyki wstrętne niebu odprawując. Z pozoru dobrymi chrześcijanami są, dobrodziejami nawet kościołów niekiedy. Wszystko to dla niepoznaki czynią. Gdy uznają, że czas ich nadszedł, wówczas uderzą.

Teraz atoli silić się będą, by do znaczenia dawnego powoli dojść. Cierpliwymi są i cel swój znają. Próbowali ze mnie służyć i wykonawcę zakusów swych czynić, gdym jeszcze wysoko stał. Tož wiedzieli dobrze, że się u Najjaśniejszego Pana głos mój liczył i posłuchanie mi zawždy król nasz nieboszczyk dawał, może przez to, że m uszu o dla własnej prywaty nie nadweręzał. Złotem mnie kusić nie mogli i nie tylko przez to, że m wówczas jeszcze dość swego miał. Dlatego przez niewiastę działali, co dziś najwyższą kapłanką Rex Mundi jest, a ostatniego „doskonałego” córką. Omal dobrym się to okazało sposobem by znaczenia dojść, a po mym grzbiecie wyższej jeszcze plamki chwycić. Zważ bowiem, że przez związek ze

mną znaczenie familii jej wzrosłoby ogromnie. A z nim bezkarność. Któżby bowiem przypuścił, że księżna na Atrtrox czarną się magią para i wstręty Niebu czyni? Toż za mniejsze rzeczy Trybunał Święty, stos, albo Dziewica Norymberska przed nim, tortur innych nie licząc. Nas zaś jeno król sądzić może, a król daleko. Wierzaj mi synu, że pieniądze wiele mogą, aleć są rzeczy od pieniędzy cenniejsze, w tym urodzenie, klejnot, nazwisko stare i godne. Powiesz, że kupić można godności. Wiem ja to aż za dobrze. Aleć herby nowe, a tytuły jak młode wino są i w małym poszanowaniu. Toż jako wino uleżeć się muszą, w czyny szlachetne i przodków sławnych obrócić, poloru nabrać. Wtedy prawdziwie cennymi się stają. Tak i z nami jest. Przez to śmy cenni, że stary nasz ród i nieskalany. Honor bowiem, to honor jest, a ten zawsześmy za cenniejszy od życia mieli. Dlatego mnie za cel zabiegów swych nikczemnych obrała diaboliczna ta.

Że zaś się niemożliwym okazało, co zamierzyła, ukarali mnie okrutnie nieszczęścia kolejne zsyłając. Wszystko się tu zgadza i inaczej być nie może. Pojąłem to, gdy głową ruszył. Pojąłem też, że zjawi się jeszcze u mnie panna ta i bez wezwania mojego. Na to wszakże ubezpieczyłem się, doszedłszy z kim sprawa. Wrota zaparte trzymać kazałem zawsze, co dawniej otwartymi stały na roścież, bo zamykać ich nie było przed kim. Króćcę nabita u wezłowania miałem, w której kula na krzyż rżnięta była i poświęcona. Dookoła zaś łoża egzorcyzmów słowa kredą napisać kazałem. Tak przysposobień czekałem na nią. Bóle srozsze jeszcze niżli wprzódy czułem, a to przez kordiał, com go już cały wypił i teraz bez niego męki cierpiał niewysłowione, osobliwie na pod wieczerz i nocami. Aleć wytrwał to wiedząc, że nie dla pomocy kordiał ów mi dała, lecz by mnie k' sobie lepiej przywiązać. Na to rachowała, że jak nie ciała jej, to kordiału owego zapragnę i wnet po nią poślę. Dlatego też teraz ciebie usidlić się postara, co tym łatwiejsze się jej wyda, że za młodego i niedoświadczonego cię ma. Aleć się omyli, bo ty uprzedzeń o wszystkim będziesz. Temu wszakże przeszkodzić się siliła, dowód jednocześnie dając na to, iż wszystko, co wiem o niej, prawdą jest. Oto bowiem zjawiła się u mnie z nagłą i niespodzianie. Kazała mi papiery owe sobie oddać. Skądże wiedziała, że piszę i co? Nie jest li to jawny z czartem komitywy dowód? A jakże się na zamek i do mnie dostała przez wrota zamknięte?

Dobyłem króćcy i czym nabita jest – ostrzegłem. Nie chciałem ja palby bezpotrzebnej. Nie chciałem – prawdę rzekłszy – palić do niej wcale kimkolwiek by była. Ot co. A ona dłonie wyciągnęła, co się wraz w szpony jak u harpii zmieniły. Lico zaś piękne w paszczę się przedziegło obmierzła, a zębatą wielce. Lufę tedy obniżywszy, ognia dałem tam mierząc, kędy się serce znajdować powinno. Wraz z wystrzałem wrzask się rozległ niesłychany. Do ryku zwierza był podobny i do rżenia koguta zarzynanego zajędo. A tak przeraźliwy, że się mury od niego chwiać zdały. Wincent z pacholkiem jednym wpadli zaraz hukiem i wrzaskiem owym zwabieni. Dym się po izbie mej snuł i nic prócz niego nie było. Nie było też nigdzie po kuli śladu. Jeno mazi trochę do krwi podobnej na podłodze. Znaczyło to, że była u mnie potwora ta, nie żaden fantom, a co ważniejsze, że mocno ją poszczerbił. Bogu dziękując, że się nie dał zwieść ni wdziękami, ni pomocy samarytańskiej pozorami, w strapieniu żyłem, bom się spodziewał, że po śmierci mej tobą zawładnąć zechce zło obmierzłe. Dlatego papiery ukrył, przestrożę zawierające. Nie chciałem ja pisać o wszystkim i trudno mi było, aleć to dla ciebie i ku twemu bezpieczeństwu czynił. Papiery zaś pieczęcią poświęconą opatrzyłem, by złym mocom do nich drogę utrudnić. Klątwa też ich strzeże, która wszelako tobie dostępu nie wzbrania. Kto zaś inny sięgnąć by próbował po papiery te, padłby trupem na miejscu zaraz albo trochę potem.

Jeśli więc spotkasz Jakubie pannę urodziwą, bogatą i od wszystkich coś je spotkał inną a z miasta Fernquez wiedz, że Eleonora to być może, co wieczną jest. Imię ona inne nosić będzie zapewne albo i nie. Dlatego ostrożny z pannami bądź i strzeż się takich, których ród i

pochodzenie niepewnymi są. Nie mówię tu o dziewczkach prostych, którym fawor zechcesz uczynić z nimi się lusztykując, ale o tych, co matrymonialne intencje w Tobie wzbudzić mogą.

Gdy zaś spotkasz ją, znaczy się Eleonorę, wiedz, że walka cię czeka, której mnie nie było dane ukończyć.

Walka nie o żywot jeno, ale o zbawienie wieczne. Słałem ja po dwakroć listy do Trybunałów Świętych i do Kanclerza, jaki i do Jego Eminencji Kardynała de Foissy. Aleć pewnie nie trafił żaden do rąk właściwych, jako że posłańcy nie wracali. Sądzić mi przeto wypada, że albo przejęło listy plemię przekłete, posłańców zaś ubiło, albo grasantów łupem padli, których się po wojnach namnożyło jak robactwa. Ty zaś takóž lepiej nie własnymi rękami czyn. Przede wszystkim zaś usidlić się nie pozwól diablancy tej wcielonej, bo zatracisz rozum i jej jeno staniesz się powolny. Wtenczas zaś nie będzie nic, na co byś się dla niej nie ważył. Za nic ci będzie wszystko inne, bo staniesz się jako oni i zbawienia nigdy nie dostąpisz, a dusza twa błąkać się będzie po wsze czasy, spoczynku nie mając. Straszliwa to cena za amory i za żywot ziemski, choćby najdluższy. Wspomnij przestrogi me synu i zawsze w pamięci miej. Ja zaś czując, że się śmierć kędyś koło łóża mego skrada, nie lękam się, gdyż ona wybawieniem mi będzie, a mąk ustaniem. Z radością jej tedy wyglądam, gdyż na tamtym świecie Matkę Twą spotkać się spodziewam, co znając dobroć jej anielską, niewierność mą wybaczy mi, za którą jako tuszę, dość już pokaran byłem. O ciebie jeno niepokój wielki czuję, aleć na to nie poradzę nic, to uczyniwszy, com uczynić mógł. Błogosławię Ci tedy synu, do końca w trosce o ciebie pozostający, a miłujący cię wielce ojciec twój Horatio Maria d'Attrrox.

\* \* \*

Jako już rzekłem, czytając list od ojca mego mieszanymi uczuciami byłem targany. Żal czułem i wzruszenie, i złość z litością pomieszaną. Żal, bo nie było mi dane z nim ani słów parę zamienić. Tym samym nie znałem ojca mego prawie wcale. Teraz zaś jako kochający rodzic mi się objawiał. Jakże więc mogłem żalu spóźnionego i wzruszenia nie odczuć? Litość zaś, bom pojął, jak dalece nieszczęsnym ojciec mój był boleści srogiej doświadczać. I była to za jedno litość dla cielesnych boleści jego, więcej zaś dla duszecznych trwóg i mąk z nimi związanych. Nie miałem bowiem wątpliwości, że ojciec mój przy zdrowego umysłu pozorach, szaleństwu był niebezpiecznemu uległ. Dużo i sprawnie nad wyraz spisał, dając dowód za jedno biegłości wielkiej jak i umysłu choroby.

Napotkałem ja raz człeka, z którym rozmowa omal rozkoszą była do czasu. W pewnej bowiem chwili człek ten o dziecku swym zmarłym przed laty ponad dwudziestu prawie zaczął a tak, jakby dziecina owa żyła stale. Coraz też natarczywiej to czynił w miarę, jak się mu posłuch dawało. Zaskoczony niemile się czułem, gdym z nim raz pierwszy gwarzył. Potem zaś żadnej na niego nie zwracałem uwagi. Uwiadomili mię bowiem po nie w czasie ludzie, że się mu od nieszczęścia przed laty rozum popsował. Pomyślałem tedy, że się z ojcem moim podobnie stać musiało. Poznał był ojciec mój, według wszelkiego prawdopodobieństwa, matki Eleonory siostrę bliźnią, po której wybranka moja imię wzięła – rozmowałem. – Co tam i jak tam między nimi było, nie wnikałem. Romans z nią pewnikiem miał, czegom mu ganić nie chciał. Potem zaś skutkiem nieszczęść nawału mieszać mu się w głowie poczęło, iż nie wiedział już, co prawdą, a co nieprawdą jest. Świata nie widując, na Wincenta jeno zdany, żył jakby nie żyjąc i to jeno wiedział, co mu Wincent znosił. Gdy zaś niewiasta – com pewnym był, że Eleonory ciotką być musiała – wróciła pomoc swą przynosząc i dalszą ofiarując, przeląkł się może stary sługa, iż się bezpotrzebnym stanie. Wtenc-

zas taki konterfekt niewiasty i całej jej rodziny odmalował, że do cna sfiksował nieszczęsny ojciec mój. Dlatego na koniec złość i gniew poczułem po pisma wiadomego przeczytaniu. Chciałem też zaraz Wincenta skarcić ostro, ale się go dowołać nie mogłem. Potem złość mi przeszła, gdy papiery owe w ogień cisnął i patrzył jako się zwijają bezsilnie, swego nie sprawiwszy. Wincentowi ani słowa nie rzekł, uznając, że sensu w tym nijakiego nie ma i niczego zmienić nie może. On zaś zapomniał widno o papierach, bo wcale nie pytał o nie, choć się pierwwej mocno treścią ich zdawał ciekawić. Coraz bardziej i częściej zapominał ostatnimi czasy Wincent. Niedostyszał też i tak dożywał swoich dni o łaskawym chlebie, niezbyt po prawdzie sytym, aleć to mu już pewnie obojętnym było.

## XVIII

Obudził mnie jakiś hałas. Przypominając powoli, zastanawiałem się jeszcze, czy dźwięk który słyszę jest pierwszym sygnałem nadchodzącej jawy, czy raczej ostatnim – wypuszczającego mnie ze swych objęć snu.

A sen miałem dziwny. Inny niż te, które śniłem do tej pory, a jednocześnie w jakiś nieuchwytny sposób podobny do nich wszystkich. Bowiem zazwyczaj moje sny były kompletnie alogiczne. Zaś ostatni, dzisiejszy miał chyba jakiś sens, gdyż jego fragmenty łączyły się z sobą w pewien – jak mi się wydawało – ciąg przyczynowo – skutkowy. Toteż odcisnęły się w mym umyśle i przetrwały na tyle silne, bym teraz, leżąc na wznak z rękami pod głową, wpatrzony w mrok, potrafił je odtworzyć. W tym śnie byłem wysokim blondynem o smukłej sylwetce. Wchodziłem właśnie do budynku, w którym rozpoznałem ratusz miasta Fernquez. A właściwie nie rozpoznałem. Wiedziałem, że to ratusz. Z jego wnętrza dobiegały niezbyt składowe dźwięki skocznej muzyki. Korytarzem, na którego ścianach płonęły pochodnie umieszczone w żelaznych kagańcach doszedłem do dużej i widnej sali. Wokół mnie tłoczyli się jacyś ludzie. Nie dbałem o nich. W mym śnie nie znaczyli nic. Byli tłem, mierzwą. Gardziłem nimi, i obawiałem się ich, choć przecież nie potrafiłem znaleźć przyczyny zarówno pogardy, jak i obawy. Oni byli mi obcy. Nie nieznani mi, lecz obcy w jakiś nieuchwytny, trudny do określenia sposób. Przeciskając się przez ciżbę spotniałych, oślizgłych ciał, czułem wstręt. Zmierzałem ku długiemu, stołowi. Ten stół umieszczono zdaje się na jakimś podwyższeniu, gdyż osoby siedzące za nim górowały nad otoczeniem. Wyglądały trochę tak, jakby lewito wały. Widziałem wyraźnie osobę najważniejszą, siedzącą pośrodku innych i pośrodku stołu. Miejsce po jej prawej ręce pozostawało wolne. Ta postać była młodą, ale z pewnością nie bardzo młodą panią w białej sukni. Wiedziałem, że spotkaliśmy się już kiedyś, ale nie pamiętałem gdzie ani kiedy. Myślę, że mogła mieć zarówno dwadzieścia, jak i dwadzieścia pięć lat. Na jej szyi połyskiwała kolia, z oprawnych w złoto czarnych kamieni, a na jej twarzy o niezwykle regularnych, jakby celowo cyzelowanych rysach widniał wyraz, którego nie potrafię nazwać ani określić. Szedłem ku temu stołowi, szedłem ku niej, lecz nie zbliżałem się. Odległość pomiędzy nami pozostawała niezmienna. A ona uśmiechała się i nie uśmiechała jednocześnie. Jej oczy patrzyły i nie patrzyły, utkwione gdzieś w niebotycznym oddaleniu, w niewyobrażalnie bezkresnej przestrzeni. Jej wyniosła sylwetka emanowała światłem i ciemnością. Ta postać wabiła i odpychała zarazem. Ale wabiła mocniej, dużo mocniej. Dlatego zmierzałem ku niej, przeciskając się przez gęstniejący tłum wstrętnych mi postaci, które usiłowały mnie powstrzymać i o których nie byłem w stanie myśleć inaczej niż myślałbym o odrażających, lepkich i śliskich robakach. Naraz Ona spojrzała wprost na mnie i spojrzenia nasze zwały się z sobą.

Patrzyłem i choć bardzo chciałem odwrócić oczy, nie mogłem tego uczynić i nie tylko dlatego, że była piękna. A potem nie chciałem już odwracać wzroku. Chciałem tylko być przy niej, z nią jak najbliżej, wszystko zrobić dla niej, dla niej żyć i dla niej umrzeć, gdyby

zaistniała taka potrzeba. Lub gdyby tylko Ona miała taki kaprys. Gotów byłem łasić się i skowytac o jedno jej skinienie o dowód jakiegokolwiek łaski, czy choćby tylko życzliwości i uwagi. Gotów byłem upodlić się dla niej i zrobić wszystko, Wszystko, WSZYSTKO.

Nie zaznałem wcześniej tak dziwnego uczucia. Ono było straszne i wszechwładne, ale w tym śnie chciałem, by trwało długo. Jak najdłużej. Bo jednocześnie było piękne w swoim okrucieństwie i zaborczości.

Wtedy kobieta w bieli powiedziała do mnie: – „Pójdź, znajdziesz swą duszę. Jam jest zmartwychwstanie i żywot wiekuisty”. Nie słyszałem jej głosu. To tylko jej zmysłowe, nieco wzgardliwie wydęte usta układały się, bezgłośnie wypowiadając przedziwne wezwanie. Jednak ja rozumiałem dobrze to wezwanie, niby rozsadzający mą głowę wewnętrznym nakazem.

– Pójdź, pójdź – przyzywały usta.

W niezrozumiały sposób i niespodziewanie dla siebie samego zostałem przeniesiony i znalazłem się przy niej, u jej boku. Ogarnęła mnie ogromna fala szczęścia. Czułem też dumę i satysfakcję nieporównywalną z żadnym dotychczasowym doznaniem. Bo to ja byłem przy niej. Ja. Nie ktokolwiek inny. Ona należała do mnie lub ja należałem do niej. Albo i jedno i drugie równocześnie.

Nagle zdarzyło się coś strasznego. Znow walczyłem z napierającym na mnie tłumem. Czułem ich z wszystkich stron. Dusili uciskiem swych oślizgłych, cuchnących ciał. To nie byli ludzie. Zabijałem ich, a oni odradzali się i było ich coraz więcej, i więcej. Potem nastął ogień i był już tylko ogień, dużo, dużo ognia, który obudził mnie i wymagowanym, wysnionym żarem przywrócił rzeczywistości.

Rozszalałej pożodze towarzyszyło powolne bicie dzwonu. To nad tym właśnie dźwiękiem medytowałem przez dłuższą chwilę. Nie budząc się całkowicie, zasnąłem ponownie, obiecując sobie rozwiązać nurtujący mnie dylemat zaraz z rana. Z tym postanowieniem zapadłem w mocny sen bez snów.

## XIX

Zima ustępowała już powoli z dolin, na górach wszakże trzymając się krzepko. W czas taki Eleonory ojciec do Fernquez zjechał, nie mogąc go zbyt długo bez osoby swej zostawić. Bo choć żyło zimą miasto gnuśnie i powoli, były przecie sprawy, które bez burmistrza żadną miarą ni zaczętymi, ni zakończonymi być nie mogły. Zaraz też w moim Atrtrox mnie nawiedził, jam zaś przyjął go godnie i sam we dni parę oddałem mu wizytę. Takeśmy razy kilka honorowali się wzajem. Przyznam, że chętnie go znosił. Na pogwarkach, biesiadach i rozprawach całych czas nam płynął. Dysputy, które wiedliśmy niekiedy, utwierdzały mnie w przekonaniu, że mądrym jest człek ten niepospolicie i rzadko się zdarzyło, żebym mu na argumenta pola dotrzymał. Były tedy rozmowy nasze z korzyścią dla mnie o tyle, że się w szermierce słownej wprawiał, która nieraz trudniejszą i skuteczniejszą od orężnej bywa. Doświadczeniem swym ze mną dzielił się w ich trakcie, a tak to czynił, iżem pouczanym się nie czułem, czego nikt przesadnie nie lubi. W arkana wiedzy swojej niemałej mnie wprowadzał, innej całkiem od wszystkiego, com poznał dotychczas. A mądrość we wiedzy onej była głęboka. Rad mi przy tym udzielał, aleć nie w nadmiarze, we sprawach rozmaitych, o których akurat rozmawiać nam przyszło. Rady owe przewrotne bywały niekiedy, a chytne niezmiernie, bo choć proste z pozoru, do innego zazwyczaj prowadziły celi niżli się to z początku widziało. Gdy wszakże skutek swój odkrywały, sprawiały, że zdumiewałem się nad nimi prawdziwie wcale tego nie tając, bom wiedział, że przejrzy mnie i tak mąż ów niezwyčajny. Aleć i to się zdarzyło w dysputach naszych ze dwa albo i trzy razy, że mu jego argumenta jako oręż z dłoni potrafił wytrącić. I nigdy się to urazy przyczyną nie stało. Nawet zadowolonego sprawiał wrażenie, gdy m swego obronić potrafił i skutecznie go zażyć. Raz mi



wyznał nawet, że zawsze syna mieć chciał, który by do mnie podobnym był. Za poufałość zbyt wielką uznałbym słowa takie, w kogo innego ustach. Aleć jemu krzyw o to być nie mogłem i nie jeno przez to, że sam onegdaj rzekłem, iż w przyszłości jego zamierzam się mienić synem. Skonfudowanym się cokolwiek czułem wówczas i ugłaskać go chciałem, kiedy na schadzce z córką swą, jedynaczką mnie przydybał. Aleć nie jeno przez to tak rzekłem. A gdym go lepiej poznał, bliskim dziwnie stał mi się, prawdę powiedziawszy. Nigdy też, co ciekawe, wieku różnicy pomiędzy nami nie czułem, choć ona była, rzecz oczywista i niemała przecie. Dzięki spotkaniom naszym czas znacznie szybciej, biegł, któren wcześniej włókł się niemożliwie i jak ślimak powoli. Zadowolony tedy byłem, że kompana godnego w przyszłym teściu mym znalazł. Nie masz bowiem gorszego nic krom teścia i zięcia wzajemnej niechęci. O ile bowiem niewiasty te dwie, to jest świekra i synowa zwykle się nie cierpią, aleć nie ma z tego szkody więcej niżli z kurzego gdakania, o tyle znałem przypadek jeden, w którym nie znosili się wzajem zięć z teściem i wiele z tego zła wynikło. Nie spodziewając się tedy, by mi złość wybranki mej ojca szkodzić mogła, wolałem że, przychylnym mi jest i że przyjaźni przyszłej załążek jakoby się pomiędzy nami pojawił.

Wincent za to smętny i gniewny bywał ostatnimi czasy, raz po raz w niebo chmurami gęstymi zakryte spoglądając i mrużąc coś pod nosem. Myślałem, że słońce się trafi długotrwałą, która się mogła przeszkoda do zbiorów dobrych stać, tym samym kolejny nieurodzajny rok zwiastując. Łaził tedy sługa mój stary zły bardzo, alem go nie pytał powstałych nic, uznawszy, że pytać nie ma o co. Dopiero jakem raz przyuważył, że pięścią w kierunku Fernquez grozi, zagadnąłem przez co to czyni.

Odrzekł mi na to niechętnie, że źle się „przez nich dzieje się”, a stanie się gorzej jeszcze, jak „oni” zaczną. Spytałem go jacyż to „oni” są i co zacząć mają. Nic wszakże więcej gadać Wincent nie chciał, jeno usta swe zapadnięte na amen zatrzasnął. Jam zaś, znając go dość dobrze, nie nagabywałem więcej, nie chcąc go całkiem zniechęcić. Wiedziałem, już bowiem, że sam mi wszystko wyjawi, jak udam, że mało mnie rzecz cała zajmuje. Tak się stało dnia pewnego, o ile to możliwe słońca bardziej jeszcze niżli ostatnio bywało. Wiatr chmur tabuny całe wyjąc i świszcząc przeraźliwie przeganiał po niebie i nic nie zapowiadało, że się mu zabawa taka znudzi. Przyczłapał tedy do mnie Wincent, jam mu bez słów zbędnych kielich podsunął, iżby go ośmielić i do gadania zachęcić. Kielich on najpierw jednym tchem spełnił, zaczętem siadł na krzesła brzeżku, czego mu nigdy nie bronii i chwilę jeszcze głową kiwał jako często starcy czynią, nim opowieść swą zaczął. Potem prawił rzeczy niesłychane, a jam słuchał nie przerywając, bom ciekaw był, na ile się podobne okażą do tych, com je w pamiętniku, czyli w testamencie rodzica mego znalazł. Oto i podobne do nich były zarazem i nowe dla mnie, bo ojciec mój to głównie mi spisał, co się osobiście jego nieszczęść tyczyło, a także obaw z moim związanych losem. Wincent natomiast dzisiaj rzecz mi jedną przedstawił, która straszliwą byłaby dla okolicy całej i mieszkańców jej, gdyby się prawdą okazać miała. Wolno zrazu mówił słowa ważąc, widno urazić mnie nie chcąc, bądź siebie na moją narazić niełaskę. Aleć jak już się rozpędził i rozgadał, na nic nie zważał w opowieści swej zapamiętawszy się srodze, wartko nad podziw płynęły słowa jego.

Wynikało z nich jasno, że gusła Niebu obmierzłe, za to piekła miłe wielce w Fernquez się czyni raz do roku, a nie kto inny mistrzem ceremonii jest, jak pan burmistrz sam, czyli Eleonory rodzic.

– Z procesją i egzorcyzmami pono gwoli diabłów złośliwych przepędzenia występują – prawił Wincent. – Z hałasem wielkim obchodzą miasto, winnice i pola.

– W tym złego nie widzę nic – spostrzegłem mimochodem. – Wszędy tak się czyni.

– Khekhkeh – wybuchnął śmiechem skrzeczącym, któren w kaszel przeszedł. – Pierwej tajemne czary czynią, by się dłużej zima wlokła, pluchy i chłody.

– A to na cóż?

– Za zbawców chcą uchodzić i temu najpierw zło skrycie, później zaś dobro rzekome z pompą wielką, wrzawą a rozgłosem czynią, by na nich zasługa spadła za aury korzystną odmianę, bez której nieurodzaj a za nim głód. Wszystko zaś razem dla ich własnej uciechy jest i w piekle zasługi. Najsampierw ucztę dla gminu szykują albo raczej pijaństwo bez miary. Beczki na to wielkie idą dwie, zaraz na rynku spite, z których każdy raczyć się może do woli. Zaczem gromadą całą, już pijani mocno, po okolicy leżą w kotły wałąc i dmąc w szałamaje. Po drodze pada wielu, o świecie bożym nie wiedząc. Bowiem piją nie wino nasze, którego wiele wypić można i nie sprawia ono nic krom wesołości, jeno trunek, co rozum i pamięć odbiera. A kiedy już do wąwozu jednego się dowłoką, albo lepiej rzeknę, kiedy do wąwozu rzeczonego dognani zostają ci, co się jeszcze jako tako na nogach trzymią, orgia się zaczyna prawdziwa, czary, gusła, bluźnierstwa i wszeteczeństwa nieopisane.

– Któż gna ich, jakeś mi rzekł, gromadą wielką. Jest, prawda ceklarzy trochę w Fernandez, wszystkich może ze dwudziestu, może i nie tylu. Nie daliby rady oni tłumowi całego pędzić ni zmusić, by tam szedł, gdzie sam nie zechce. – Ceklarze w mieście ostają, gdzie porządku strzegą. Proste to chłopcy są, głupie po prawdzie, u których rozum i cały w barach i garściach. Temu służą wiernie, kto im płaci. Niewiele oni albo zgoła nic nie wiedzą, o to jeno stojąc, by zjeść godnie, a wypić godniej jeszcze. Aleć ma pan burmistrz na usługi swe trupy, czartowską sztuką ożywione, a i czartów prawdziwych kilkoro.

– Trupy ożywione, powiadasz? – całkiem spokojnie upewniłem się jakbym o zwyczajną rzecz pytał.

– Tak jest. I czartów trochę pośledniejszego autoramentu po prawdzie, aleć całkiem rzetelnych. Skórami bawolimi okryte są jedne i drugie niewyprawnymi, a z kapturami głębokimi, na lica zachodzącymi, iżby ich naturę a ohydę skryć. Aleć ja wszystko wiem o nich, wszystko...

– A skąd to?

– Raz jeden udział w plugastwach onych przyjąłem, gdy mnie człek jeden zaufany uwiadomił, że się odbyć mają – przyznał zezując na mnie z ukosa. – Dość dawno to było. Uda wałem, że piję trunek ich, potem zaś udałem, że otumaniony do imentu. Zaczem wraz z innymi poszedłem. A kiedy do wąwozu rzeczonego doszliśmy, skrzynkę niezawielką ale ciężką widno, czterech ludzi z tłumy wybranych pomiędzy skałki zaniósł. Wraz z nimi burmistrz poszedł. Przedtem jechała skrzynka ta całą drogę na wózku, strzeżona pilnie przez zakapturzonych. Dość długo go nie było i co tam robił, nie wiem. Wreszcie wyszedł. Sam był. Rozkazał swoim skryć się za załom skalny o kilkaset kroków odległy. To uczynili pośpiesznie. Gromada ludzka porozłaziła się była wcześniej po dziurach, grotach i jaskiniach, co ich tam wszędy mnogość jest. Skryłem się i ja, alem wyglądał, by niczego nie uronić. Aliści nie spodziewałem się tego, co mi ujrzyć było dane.

Bo oto blask się w niebo wzniosł prosty niczym słupek ze światła uczyniony. Z niego zaś chmura jakoby świecąca, co chmury ciemne precz przegnała na boki się rozdymając tak, iż dla innych chmur miejsca na niebie nie stało. Przez cały czas brzęczenie słycać było albo buczenie niby trzmiela wielkiego i poza tym nie działo się nic. Trwałem w kryjówce swej, koniec nosa jeno i oko jedno wyściubiając, a i to ostrożnie, żar bowiem wielki od skałek, pośród których owo się działo, bił wielki.

Naraz z chmury onej srebrzystej, jakoby z metalu połyskliwej uczynionej, niewiasta się wyłoniła ogromna, a szkaradna wielce. Cztery bowiem piersi miast dwóch mająca i szkarłatna, niczym we krwi skapana. Naga była całkiem, jeno w naszyjniku a bransolety przybrana, których wiele na szyi, ramionach i nogach zawiesiła. Wnet na ziemię się opuściła, wszakże nie całkiem, jeno tuż ponad nią się trzymiła.

A kiedy już nisko była, wylazł burmistrz i świta jego spoza ukrycia i kołem ją otoczyli, pokłony bijąc niskie i klękając przed nią, niby przed świętością jaką. Ludzie także z kryjówek swych wypęzli i pokłony przed nią bili, modły przy tym zanosząc wszetecznych słów pełne. A wszystko czynili gwoli czartowskiej potencji pozyskania, błążniąc Niebu i Bogu prawdziwemu, ile wlezie, a obrzydliwie. Wtenczas deszcz padać zaczął gorący. Z ciałem niewiasty szkarłatnej się stykając, szkarłatnym jako i ona się stawał. Po chwili małej wszystko w czerwieni się pławiło, niczym we krwi. Taplali się ludzie w deszczu i w błocie z deszczu owego powstałego. Szaty z siebie i niewiasty, i mężowie pozrzucali, i ogarnął ich szal jakowyś osobliwy. W zapamiętaniu jęli kaleczyć swe ciała, krew swą chrześcijańską, obficie płynącą z deszczem piekielnym, krwawym mieszając. Potem zaś parzyć się poczęli między sobą, jak zwierzęta całkiem o wstydzie ludzkim i przykazaniach boskich zapominając. A byli pośród nich tacy, com ich przecie jako przykładnych mężów i cnotliwe niewiasty znał. Ze zgrozą patrzałem na widowisko owo żałosne, nie próbując wszakże nic przeciwko niemu czynić. Nic by to nie dało i powieść by się nie mogło i wobec zapamiętania w grzechu, które na ludzi spadło już to za sprawą deszczu krwawego, już to trunku magicznego spitego w nadmiarze. Albo od jednego i od drugiego razem rozum nieszczęśni potracili. Niewiasta czteropiersna, pewnikiem szatana samego kochanica, zniknęła już. Burmistrz i świta jego oddalili się także, oni zaś nadal klębili się w błocie niczym robactwo jakie. I nie było mocy ludzkiej, by im na przeszkodzie stanąć. Uciekłem stamtąd co siły w nogach, kiedy się to tylko możliwym stało. Alem przecie wrócił do wąwozu, gdzie potykałem się o ludzi czarami zniewolonych. W twarze im patrzałem z uczuć i myśli wszelakich wyzute. W oczy im zaglądałem puste, jakoby umarłych były oczami. Nie poznawali mnie oni, nie widzieli, nie czuli, gdym co poniektórych nawoływać do opamiętania próbował i szarpać, iżby im przytomność powróciła. Na nic to było, jakom już pierwszej rzekł. Tedy pomiędzy skałki poszedłem, spośród których pierwszej światło w niebiosach biło. Pamiętałem bowiem o czterech owych, co skrzynkę tajemną tam nieśli, a którzy z burmistrzem nie wrócili, jeno tam zostali. Spodziewałem się trupy ich znaleźć albo raczej wypalone do cna szkielety. Alem nic nie znalazł. Ni śladu jednego, ni popiołu chociażby po ludziach tych nie pozostało. A przecie nie wyszli stamtąd, na co przysięgać jestem gotów. Co się tedy stało z nimi? Nie wiesz Jakubie? Aleć ja wiem. Szatan tam był sam i porwał ich jako ofiarę swą do piekła wprost. Potem blask piekielny w niebo puścił, któren chmury odegnał. We skrzynce zaś inne dlań dary były, aliści nie wiem jakie, bo i skąd miałbym wiedzieć. Skrzynki żadnej także ani śladu tam nie znalazłem, choć ona okuta mocno była. Widno i ją diabeł porwał. Straszne są to rzeczy, które powiadam ci panie mój i strzec się przed nimi potrzeba. Toż to obraza Boska i ohyda jakiej świat nie widział i już nie zobaczy – wrzasnął, oczy wybałuszył, a żyły na skroniach także na wierzch mu wylazły. Poczerwieniał też od gniewu. Z oczów wyłupiastych kozła starego teraz mocno mi przypominał. Alem ja wesołość ukrył pod powagi maską, nie chcąc, by skonfundował się sługa wierny, choć zdzieciniały mocno, jako się to coraz częściej pokazywało ostatnimi czasy.

– Sprawę całą zbadać muszę pierwszej – rzekłem czoło marszcząc, niby w namyśle głębokim. – Potem wiedzieć będę, co o niej sądzić. Jutro, albo pojutrze pana burmistrza pytać zamierzam o to, coś mi dziś rzekł.

Przełakł się był na to Wincent i mocno prosić począł, bym tego nie czynił.

– Życie mi wciąż miłe, choć stary jestem. Nie mów mu nic o rozmowie naszej, bo zemstę na mnie ściągniesz skrytą a bezlitosną. Darować oni nie mają zwyczaju tym, co sekrety ich posiadli. A ja wiem wiele, bardzo wiele i więcej ci jeszcze powiem, jeśli zechcesz, ale nie wydaj mnie przed nimi.

– Jakież to sekrety są, skoro znają je wszyscy udział w breweriach onych biorący? – od niechcena spytałem, bo po prawdzie, nudnym mi się zdał tam i nazad śpiewkę jedną, a smętną wiodąc.

– Otóż nie znają wcale i nie wiedzą o nich nic, albo niewiele.

Nie raz i nie dwa, po procesji owej czartowskiej dni parę zaledwie, zagadywałem ludzi z Fernquez, których w wąwozie widziałem jak tam swawolili i sprośności wyczyniali. Chciałem oczy im otworzyć na grzech za który pokutować powinni. Oni zaś miast wysłuchać mnie i wdzięcznymi być za troskę mą o duszy ich zbawienie, za nic mieli słowa moje. Całkiem gadać ze mną nie chcieli i tym, co się tam działo, na niepamięć własną się powołując gdym przypominać im próbowałem, w czoło się jeno pukali, jakobym to ja z rozumu zszedł. Jeden wprost mnie przegnał i zagroził, że psami będzie szczuć niczym wiła albo żebraka. A ma on, jako rzeźnik, psy wielkie, spasione złe. Nie czekałem tedy, aż groźbę swą spełni człek ten nieużyty. Jest tedy tak, że i wszyscy wiedzą wszystko i nikt i niczym nie wie. Każdy coś wie, ale nikt nie wie wszystkiego, tedy i wiedzą, i nie wiedzą. Jużem rzekł przecie, że spici do imentu zostają pierwej i nic nie pamiętają z tego co się z nimi działo. Nie wszyscy też do domów swych wracają, jak się już cała rzecz zakończy. Ślad po niektórych całkiem ginie, jako po czterech onych, co skrzynkę nieśli. Nie ma tedy komu relacji zdać. Nikt nie wie, co z nimi się dzieje, aleć ja wiem i ty wiesz już tak, bom ci powiedział. Strach też swoje robi i tym którzy mówić mają, co i pewnie potrafiliby powiedzieć niejedno, usta zamyka. Lepsze przecie życie choćby lada jakie, niżli śmierć nagła albo w mękach niewysłowionych. A jeszcze bez spowiedzi, bez rozgrzeszenia, tedy bez widoków nijakich na żywot wiekuisty, a w szczęśliwości – tu Wincent przegnął się szeroko i oczy wyblakłe ku sufitowi wznosił.

– Jakże mi tedy zbadać i sprawdzić rzecz całą?

– Wyglądaj blasku o jasności nieopisanej, któren nad Fernquez lada dzień się podniesie. Po nim poznasz, że gusła oni swoje zaczęli i żem się ja z prawdą nie rozminął. Aliści strzeż się panie mój tak burmistrza z Fernquez, jak i familii jego całej przeklętej, bowiem niedaleko od jabłoni jabłko pada, a wedle stawu grobla! Strzeż się!

Przez dni parę poglądałem w stronę, gdzie się miasto znajdowało, ze zniecierpliwieniem, przyznając, bom ciekaw był prawdziwie, co się tam odprawować będzie. Nie bardzo starym wierzyłem, a to przez ojca mego pismo, którego słowa wciąż miałem przed oczyma. Brednie w nich bowiem były niepojęte, o czym już wspominałem, za sprawą Wincenta, a z chorobliwej imaginacji i z boleści srogiej zrodzone. Tłumaczyłem sobie, że teraz Wincent mnie stara się na modłę własną urobić, już to z przyzwyczajenia, już to z przekonania przeciwko Eleonory familii bruźdząc. Przeto nadziei wielkiej nie miałem, iż się słowa jego o jakowymś blasku nadzwyczajnym ziszczą. Ale myliłem się. Oto bowiem dnia pewnego, popołudnia bliżej, łunę ponad Fernquez ujrzałem. Perspektywę ojcowską porwawszy, na mury co tchu pogałem i długo patrzałem, to do jednego, to do drugiego oka ją przystawiając, gdy mi łzami z wysilenia zaszczyły. Łuna istotnie jasna nad wyraz, ale nie nad miastem samym, a poza nim się wznosiła, przez co i odetchnąłem z ulgą, bom pierwej pomyślał, że to pożar jaki, nie zaś fenomen przez Wincenta opisany. Zaraz na dół zbiegłem, na koń siadłem i w tamtą udałem się stronę. Do samego Fernquez nie zajeżdżałem, nie mając ku temu potrzeby. Po drodze wszakże, w podległości miasta, ludzi pijanych mnóstwo, i z opilstwa nieprzytomnych pokotem leżących widziałem. Sprawdzała się więc część tego, o czym Wincent pisał. Musiałem tedy wszystko rozeznaczyć do końca. Światłość przygasła nieco i osłabła. Wiedziałem już wszakże skąd się brała, tedy w tamtą zmierzałem stronę. Stale grupki spotykałem błędnie się wlokące, widziałem też kilkoro w sprośnych pograżonych obłąkach, dokładnie jako Wincent rzekł. Oni zaś niczym jakie psy albo zwierzęta inne z wyrazem

tępy na obliczach, bez wstydu ni krępacji nijakiej ze sobą się parzyli. Wjechałem na koniec w parów wąski a kręty, który się wszakże niezadługo rozszerzał a kończył dolinką całkiem rozległą. Tam stanąłem, widokiem niespodziewanym powstrzymany. Pośrodku dolinki owej głąz się wznosił. Wokół niego, ziemi spalonej krąg się rozciągał szeroki. Zapach żaru niespotykanego wszędy się unosił i spalenizny woń. Po dolince całej, aliści od kręgu tego z dala, ślady bytności gromady ludzkiej wszędy rozwłóczone były rozmaite, a to jadła resztki, a to kaftan porzucony, a to bukłak dziurawy. Całkiem jakoby się tu dopiero co biesiada jakaś opilcza skończyła. Obszedłem wszystko, wszędy zaglądnąwszy aż w skale jednej grotę sporą znalazłem, do której ślady wiodły rozliczne. W dziurę tę zagłębiłem się ostrożnie, zbadać chcąc dokąd wiedzie, tym samym dokąd ślady owe wiodą. Naraz potknąłem się o coś po ciemku i padłem jak długi, uderzając boleśnie. Nie wstałem też od razu, uderzeniem oszołomiony. Gdy zaś tak leżałem, pokazało się, że Anioł Stróż czuwał nade mną, gdyż tuż przed nosem samym rozpadlinę głęboką namacałem, której po ciemku nie widząc, wpadłbym w nią niechybnie. A jakbym już wpadł, to pozostałbym w niej na wieki i pies z kulawą nogą nie wiedziałby, gdzie ostatni d'Attrtox grób swój znalazł. Z rozpadliny tej smród się wydobywał przykry i spalenizny woń. Na Wincenta wspomniawszy, przez chwilę pewnym omal byłem, że w miejscu guseł onych przebrzydłych i ofiar haniebnych się znalazł. Cofnąłem się zaraz, na koń wskoczyłem i do Fernquez pogałem, chcąc z burmistrzem widzieć się bezzwłocznie, iżby mi prawdziwie i wszystko wyznał, choć prawa ku temu żadnego nie miałem. Troszkę po drodze krew mi ochłódła i dobrze się stało, bom nie uraził napastliwością zbędną męża, którego jako się zaraz pokazać miało, szacunku wszelkiego był godzien, nie zaś podejrzeń niewczesnych a głupich.

Przywitał mnie Eleonory rodzic kordialnie, kielichem małmazji najprzedniejszej, o smaku przedobrym uraczywszy na wstępie samym, zanim jeszcze na dobre z konia zszedłem.

– Wybacz mój strój niedbały mości książę. Alem się do łaźni wybierał. A żeś się zjawić akurat raczył, tedy i ciebie zapraszam, zwłaszcza, żeś zgoniony mocno. Ostań potem na wieczery najpiękniej proszę – kielich powtórnie mi napełnił. Nie mogłem i nie chciałem odmową go zrażać, nie widziałem też ku odmowie przyczyny, zwłaszcza, że na spytki wziąć go zamierzałem, choć już nie tak ostro jako wprzód.

Do łaźni też zaraz poszliśmy, gdzie wypoceni setnie, różgami brzozowymi do czerwoności wysmagani, gawędziliśmy żywo. Nie musiałem go o nic pytać, bowiem sam mi wszystko wyjawiał, co się dzisiaj wydarzyło. I nie było w opowieści jego nic, czego bym mu ganić mógł.

Oto rokrocznie, kiedy wiosna z nadejściem swym czeka przez zimę zbyt upartą powstrzymywana, procesję wielką i egzorcyzma się w Fernquez czyni, a po nich wyzerkę wielką dla gminu. W dolince wiadomej, zacisznej festyn ów się odbywa, gdzie na ognisku wielkim baranów się piecze kilka i wołu jednego, iżby ciżbę nakarmić.

– A ku jakiemu świętemu prośby zanoszą? – spytałem, bom jakoś przypomnieć sobie nie mógł, którego ze świętych pańskich pogody rządzi odmianą.

– Ku świętym wielu – odparł krótko. Zaczem dodał, że we sprawach wagi tak wielkiej jeden święty, choćby i najmocniejszy, zbyt mało mocen okazać się może. – Albo ten akurat święty, którego o pomoc poprosimy, głosów naszych nie dostyszy, inne jakoweś zajęcie mając. Dlatego nie na jednym nadzieję swą opierać nam potrzeba – dodał.

Sprytnymi i przebiegłymi wielce argumenta jego znalazłem.

– Ciężki tedy dzień dziś miałem – prawił dalej – bom na czele samym procesji onej szedł. Wierzaj mi książę, droga to niemała zważywszy, że pola wszystkie, a winnice obejść trza, psalmy i modły zanosząc, ku czemu i gardła swego nie żałował. Potem za się, to jest podczas owej uczyty plebejskiej także baczenie na wszystko mieć muszę, iżby prostaczowie

moi nie nadto się rozdokazowali. Wiara ich bowiem i zasady z niej płynące nader powierchownymi tutaj są i wystarczy obrócić się jeno, by pękły niczym skorupka jaja. Z dała od świata ludzie tu żyją i trza ci to wiedzieć, że wiele jeszcze nauczyć się muszą. My zaś, to jest familia moja i ja sam za przykład cnoty, pobożności i obyczajów dobrych staramy się służyć.

– Widziałem i ja dziś niejedno – odrzekłem na to.

– A cóżeś widział, mości książę? – bystro, a ciekawie na mnie spojrział.

– W dolince owej byłem, gdzieście ogień wcześniej palili. Łunę na niebie wielką zoczywszy, pospieszyłem ku niej, tym się ciesząc, że nie Fernquez gorzeje. Gdym na miejsce dotarł, ludzi kompletnie spitych było tam trochę, widno po procesji i uczcie waszej pozostałych. Jako błędni oni szli, inni zaś chuci swej niczym zwierzęta folgowali wcale się z tym nie kryjąc, jakoby wstydu nie mieli żadnego.

– Ot i widzisz sam mości książę, co jest. Starczy jeno ludzi z oka na mgnienie jedno spuścić – zamilkł i dumął chwilę, trunek z wolna sącząc. – Przed tobą wszakże przyznam się, żem odchodząc stamtąd, dobrze wiedział, iż tak, a nie inaczej się stanie – oznajmił niespodziewanie, choć po namyśle. Za moim oto przyzwoleniem cichym tak się niekiedy dzieje.

– Jakże to? – nie pojąłem zrazu, co na myśli ma.

– Już starożytni uznawali, że nie potrzeba gminowi nic prócz chleba i igrzysk – odparł. – Strawy im nie pożałowałem dziś, jakem i nigdy wcześniej nie żałował. A igrzyska niechże sami takie sobie czynią, jakie im najlepiej pasują. Ja przeciwko temu nic nie mam. Niechże raz na jakiś czas pofolgują sobie prostaczkowie w rozwiązłości, zwykle pod srogą dyscypliną surowych praw, w trudzie i strachu żyjący. Niechże tedy piją na umór, lusztukują się z kim komu popadnie, błazeństwa rozmaite stroją. Na to pozwalać im trzeba, iżby potem lepiej jeszcze trzódkę swą w karchach trzymać. Grzechu oni wielkiego nie popełniają, jako że nie całkiem wiedzą, co czynią, pijanymi będąc. Nikomu nic od tego nie ubędzie, a nawet przeciwnie, bo w miesiący dziewięć potem niejednemu czy to z miasta, czy to z okolicy przychówek się trafi.

Opowiedziałem mu też o przygodzie swej niemiłej, on zaś lekkomyślność mi zarzucił i za tą że mnie zganił, a z troską.

– Mogłeś już więcej książę, świata bożego nie ujrzeć nigdy. Nikt nie wie bowiem jak głęboką rozpadlina ta jest. Resztki tam rzucamy pozostałe po biesiadach, które jakem rzekł dla pospólstwa urządzam, rodzica mego wzorem, którego tak samo czynił. Kości wołów i baranów w dziurę tę od lat wielu sypiem, by ich po sobie nie ostawiać i nie paskudzić miejsca, które nieraz jeszcze przydać się może. Nie chcemy też wilków w pobliże miasta nęcić ni sępów ni innych ścierwojadów, które zarazę przywlec mogą.

Gdy mi tedy już wszystko wyjawiał, po raz kolejny za rozumnego wielce go uznałem. Tym też się ucieszyłem, że mi bez pytań ostrożnych, smrodu z jaskini bijącego wyjawiał przyczynę i że przyczyna owa tak się pospolitą pokazała. Poczem w domu jego, mocno już podochoceni, trunek piliśmy nieznany mi wcześniej łagodny z pozoru, acz zdradliwy wielce, gdyż co się potem stało, całkiem nie baczę. Oto padłem bez przytomności, by rano dopiero ocknąć się z gardłem suchym i głową ciężką niewymownie a bolesną. Powieki spuchnięte odemknawszy palcami, dzban spory w podłe łoża mego stojący ujrzałem, którego do połowy jednym tchem opróżniłem. Wino lekkie w nim było, po smaku którego poznałem, że się stale w domu Eleonory znajduje, z ich piwnicy bowiem wino owo było. Padłem zaraz potem na poduszki znów i czekałem aż trunek działać zacznie, i ulgę w cierpieniach przyniesie. Tymczasem obraży jakoweś przed oczyma przesuwając mi się poczęły i choć zrazu nie do końca wiadomym było, co przedstawiają, przecież wstrętными wielce mi się zdały. Zrozumiałem, że koszmarów to moich są wspomnienia, które pewnikiem w nocy śniłem, skutkiem Wincen-towych opowieści. Nieśli mnie we snach owych półludzie a półdiabły o torsach monstru-

alnych i głowach bestii straszliwych, zębatych, a rogatych przez korytarze mroczne, podziemne. Była w nich, to jest w korytarzach owych, sala jedna a w niej niewiasta ogromna, spaśna, o piersiach czterech, naga całkiem, szkaradna i lubieżna w szkaradzieństwie tym, szkarłatna, jakoby we krwi skąpiana. I zdało mi się we śnie tym, że do kadzi kamiennej wsadzony został. Zaś w kadzi owej krew żywa, bulgocząca jako war, aleć nie gorąca, a ciepła była. Zaraz do kadzi tej niewiasta wiadoma czteropierśna wlała, a co ze mną wyczyniała i pisać nie chcę, bo mi przed sobą samym wstyd. Dość rzec będzie, że o czymś podobnym, żeby możliwym było między mężem a niewiastą, nigdy nie słyszał. Wywlekli mnie jak już po wszystkim było pachołkowie owi diabelscy bezwolnego i bezsilnego, z wycieńczenia półzywego prawdziwie.

Teraz, to znaczy już po ocknięciu się ze snu tego, popatrzyłem po sobie, alem krwi żadnej śladu nie zoczył ni na sobie, ni na pościeli. Tedy za mrzonkę głupią i to wspomnienie uznał. Aleć na miejsce jego inne przyszło, gorsze jeszcze. Otóż zdało mi się, że wczoraj, zanim od pijaństwa pamięć straciłem, przez mgłę krwawą widział ludzi dwóch całkiem ze skóry odartych u sklepienia wiszących, kędy łaźni komina ujście się znajdowało. Nie łaźnia to we śnie moim była, a rzeźnia raczej, jako że wiele tam innych kadłubów ludzkich z trzewi wypatroszonych i ze skóry odartych na kupie leżało. Głowy ich obcięte na osobnej kupie leżały, martwymi na mnie gapiąc się oczami. I zdało mi się, że w egzorcyzmach udział przyjmował, a głowy one wczoraj jeszcze na szyjach procesji uczestników spitych kilku widział. Potem jeszcze zdało mi się, że niewiasta czteropierśna, a szkarłatna kadłuby one pożera. Na próżno o czym innym usiłowałem myśleć i obrazki paskudne odganiać sprzed oczu duszy mojej. Dochodzić też próbowałem, skąd by się one brały, bom przecie nigdy od widziadeł takowych nie cierpiał, choćbym i miarę w picciu nie wiadomo jak przebrał.

Tymczasem wino, com je stale pociągał, swoje uczyniło. Ból pod czaszką nieznośny poszedł sobie precz, a mgła czerwona spod powiek takóże uszła. Widziadła przebrzydłe poznikały. Akurat wtenczas do komnatki mej gospodarz wszedł i o zdrowie spytał. Podziękowałem mu za starunek i za lek na dolegliwości poranne. On uśmiechnął się jeno wyrozumiale i śniadać prosił. Odziałem się tedy prędko i na dół zbiegłem, gdzieśmy posiłek spożyli smaczny i obfity. Potem do mego Atrtrox wróciłem. We dwa albo trzy dni potem wiosna się uczyniła, co znakiem dla mnie było, że się egzorcyzma pana burmistrza zacnego miasta Fernquez spodobały Niebiosom.

## XX

Siedzieliśmy sobie – mój guide i ja – przed zajazdem.

Właściciel wystawił na zewnątrz kilka stolików i parasoli. Dzięki temu w oczekiwaniu na śniadanie mogliśmy delektować się świeżym powietrzem i słońcem, które nie grało jeszcze zbyt mocno.

– Czy wczoraj wieczorem odbywały się w Fernquez jakieś uroczystości, było może jakieś lokalne, nocne święto? – zapytałem.

Przewodnik mocno cierpiał z powodu minionego pijaństwa, lecz starał się tego nie okazywać. Zrobił więc mądrą minę, mającą wyobrażać głęboki namysł. Nadało to jego twarzy osobliwy wyraz natchnionego męczennika.

– Lokalne święto? Nie. Nie nic takiego się nie działo. Mamy co prawda w ciągu roku kilka ogromnie archaicznych uroczystości związanych jak sądzę z przedchrześcijańskim kultem bachicznym. W te uroczystości zgrabnie włączył się Kościół, nadając im odpowiednich świętych jako patronów. Rozumie pan, chodziło o możliwie szybkie zaakceptowanie nowej wiary przez pogan, o osadzenie jej trwale w tradycji. To była bardzo dobra, mądra metoda. Kościół stosował ją z powodzeniem przez wieki. Na dobrą sprawę nasze Boże Narodzenie

jest również świętem pogańskim zaadaptowanym do nowych potrzeb. Chrystus z pewnością nie narodził się w grudniu.

– Co pan powie?

– Jestem pewien, że urodził się albo pod koniec lutego, albo około dwudziestego września.

– Skąd ta pewność?

– Jego uczynki określają pewien archetyp postaci. On nie mógł być zodiakalnym późnym Strzelcem ani wczesnym Koziorożcem, choć to ostatnie bardziej, przez umiłowanie sprawiedliwości i niezłomność. Ale On ma cechy Ryb, mistycyzm, wrażliwość, ową Boskość, poparte jakimś silnym ascendentem i mocnymi układami w każdym z Domów Słonecznych. Wyobrażam sobie, że mógł być w kilku znaczących punktach wzmocniony Plutonem i surowym Saturnem.

– Ale skąd pan...?

– Albo przyszedł na świat w końcówce Panny, co bardzo być może – uciszył mnie gestem dłoni. – Opiekuńczość, zdolność do współczucia i do poniesienia ofiary, to cechy Panny. Jeśli wzmocnimy je na przykład Strzelcem w ascendencie, to dodamy do nich odrobinę szaleństwa, odwagę i fantazję oraz potrzebę poszukiwania nowych rozwiązań. Gdyby miał na ascendencie Bliźnięta albo Wodnika nie byłby tak głęboki, choć z pewnością bystry i bardziej elastyczny. A już na pewno nie byłby tak tolerancyjny dla ludzkich słabostek przy daleko idącej bezkompromisowości ogólnej. Nie byłby też tak bezwzględny dla złośliwości, zakłamania i głupoty. Pan wybaczy – zmitygował się. – Wsiadłem na swego drugiego po historii konika. Przepraszam pana. Mam nadzieję, że nie uraziłem pańskich uczuć religijnych?

– Skądże znowu. Przedstawił pan niezmiernie ciekawy punkt widzenia.

– Od pewnego czasu zajmuję się astrologią po amatorsku oczywiście i na swój prywatny użytek. Sporządzam niekiedy kosmogramy znanych postaci historycznych i dochodzę do wniosku, że ma to sens. Gdy się zna życiorys człowieka i w miarę dokładną datę urodzenia, łatwo skorelować z układem planet ważniejsze fakty z jego życia. To ma sens proszę pana – powtórzył. – Ale dlaczego pytał pan o te lokalne święta?

– O jedno święto, wczorajsze – przypominałem. – Wydawało mi się, że słyszałem w nocy bicie dzwonu. Kojarzyłem je z możliwością istnienia jakowychś nieznanych mi obrzędów. Teraz wiem, że dźwięk ten pochodził z mego snu, był czymś w rodzaju tła dla śnionych wydarzeń. Tak zresztą przypuszczałem wcześniej. Kto by bił w dzwon pośrodku nocy? Sądzę, że to pańska opowieść o przepowiedni dotyczącej dzwonu z kaplicy na Atrtrox, mocno zapadła w moją podświadomość. Stąd takie, a nie inne reminiscencje w znaczący sposób utrwalone wypitymi trunkami. Ja również nie próżnowałem wczorajszego wieczoru – zauważyłem.

Było to prawdą. Początkowa niechęć i nieufność miejscowych, szybko ustąpiła wylewności. Tę wylewność i serdeczność starałem się podtrzymywać do późnych godzin nocnych. Teraz byłem ciekaw na ile – deklarowana wczoraj – okaże się aktualna dziś.

– Nie wiem nic o żadnym biciu w dzwony. Spałem mocno po wczorajszych wyczynach – zawstydział się.

– Był pan bardzo wspaniały. Wystąpił pan w najbardziej newralgicznym momencie i w jedyny właściwy sposób. W pewnym sensie uratował mi pan skórę, bo chłopcy prawie brali się już do bicia przyjezdnego, czyli niestety mnie.

– Działałem intuicyjnie – wyznał skromnie. – Liczy się wszakże efekt. Ale potem, potem. Co było potem? Ja nic nie pamiętam. Upiłem się proszę pana – poczuł przyptyw skruchy typowej dla porannych cierpień wszystkich utajonych pijaczków świata.



– Czy coś narozrabiałem? – dopytywał.

– Nie.

– A nie ubliżyłem komuś?

– Też się panu nie udało. Proszę mi wierzyć, że nie nastąpiło nic, co by mogło narazić na szwank pańską godność i dobrą reputację – przybrałem arcyważny ton, a on schwycił się za głowę i zawył cichutko ze zgrozy nad własnym upadkiem.

– Myślę, że szklanka wina rozcieńczonego wodą dobrze by panu zrobiła – zasugerowałem.

– To ja już wolę moją kawę. Z koniakiem – dodał pospiesznie. – Piję bardzo rzadko i bardzo umiarkowanie, proszę pana. Dlatego mam słabą głowę. No i wiek, wiek już raczej nie po temu. Ale dla idei, dla sprawy... – Tak, tak – podkreślił z mocą – dla idei. Wczoraj robiłem wszystko dla idei. By zbratać się z ludem, by łatwiej skłonić tych ludzi do udziału, by ułatwić im zrozumienie naszej misji.

– Oczywiście, oczywiście potakiwałem ochoczo.

Podano kawę i rogaliki.

– A co się panu śniło, jeśli wolno spytać?

– Śniła mi się młoda kobieta w bieli. Była bardzo piękna – opowiedziałem mu swój sen, lecz nie widziałem potrzeby zwierzenia się z towarzyszących mu odczuć.

– Jak już wspominałem sądzę, że były to luźne impresje na temat przekazanych mi przez pana faktów.

– Możliwe, możliwe – zamyślił się. Wzmocniona kawa zaczęła już swoje dobroczynne działanie, gdyż na jego wybladłe, zapadnięte policzki wystąpił rumieniec, a w przygaszonych oczach pojawiły się znamienne błyski.

– Wyznam panu teraz coś, co ukrywałem nie tylko przed panem, ale przed wszystkimi, w tym do pewnego momentu i przed sobą. Tak, tak. Przed sobą także. To znaczy broniłem się przed pewnym skojarzeniem, nie dopuszczałem do siebie pewnej myśli, ale ona nasuwała mi się sama. Nie mówiłem o tym dotąd nikomu. Ale panu mogę przecież zaufać – popatrzył na mnie przenikliwie.

– W wertowanych przeze mnie dokumentach znalazłem ciekawą wzmiankę, raczej cytat, który samoistnie nie znaczy nic. Dla mnie wszakże stał się bodźcem do dalszego działania i swego rodzaju wskazówką.

Czy pamięta pan, jak wspominałem, że tu, to znaczy w Fernquez i okolicy działa się jakieś dziwne rzeczy, zanim doszło do wiadomych już panu klęsk, a w ich rezultacie do drastycznej pauperyzacji i upadku miasta?

– Tak, wspominał pan mimochodem, ale nie wyjaśnił pan, co miał na myśli.

– Obawiałem się, że uzna mnie pan za starego dziwaka albo wprost za wariata. Teraz widzę, że moje obawy były płonne. Pan jest wyjątkowo rozumnym młodym człowiekiem. Niech pan się nie obraża za nieco konfidencjonalny ton, ale mam prawie osiemdziesiąt lat. To mnie rozgrzesza, jak sądzę.

– Co to za cytat?

– Wpadł mi w ręce zaplątany pośród innych papierów, strzęp welinu. Widniały na nim słowa, które tylko z wielkim trudem udało mi się odszyfrować. Brzmiały one:

– ... bo wielkim zło jest, które pod kamieniem w uśpieniu śmierci przebudzenia czeka.

– Nie budź człowiecze, czego nie obejmiesz, choćby najmędrszym, lecz ludzkim rozumem.

Bo rozum na nic, jeśli kamień biały ukrył na wiek wieka...

Stanie się tedy...” – zamilkł raptownie.

– No co, co się stanie?

– Właśnie tego nie wiem. Tu urywa się tekst. Dalej jest tylko coś o miejscu, gdzie cienie leżą na cieniach lub gdzie cienie uciekają przed cieniami. Opis miejsca do pewnego stopnia odpowiada mrocznej atmosferze kaplicy na wzgórzu Atrtrox. Mogę się tylko domyślać, iż dalszy ciąg wiersza zawierał przestrożę przed czymś, co ma spoczywać pod kamieniem. Przed jakimś złem. Identyczny napis jak ten, który przed chwilą panu zacytowałem widnieje na jednej z ścian w lochach pod ratuszem. Jest wydrapany niezbyt głęboko, w pośpiechu, jak sędzę. Urywa się dokładnie w tym samym miejscu, co treść welinu. Wnioskuje więc, że został z niego przepisany po tym, jak część wiersza została zniszczona. Nie mogę wykluczyć, że już dawno temu, ktoś usiłował rozwikłać tajemnicę legendy. Ale ten ktoś nie doszedł tak daleko jak ja. Prawdopodobnie zatrzymał go znany już panu, wielki, kamienny blok w jednej z piwnic. Ten ktoś nie mógł się domyślić jego prawdziwego przeznaczenia. Nie dysponował taką rozległą wiedzą jak ja, no i zabrakło mu intuicji rasowego historyka – zaznaczył mało skromnie. – Prawdopodobnie mój mniej dociekliwy poprzednik podejrzewał, że owo zło spoczywa właśnie tam. Zauważyłem z jednej strony stare ślady mogące świadczyć o próbie podkopania się pod ten blok, ni to stół, ni to ołtarz. Ktoś tam grzebał, proszę pana, ale się nie dogrzebał, bo tam niczego nie ma. To fałszywy trop. Ja też nim poszedłem z początku.

– Tak, wspominał pan. Czy jednak udało się panu dociec, o czym mówi napis? O jaki biały kamień może chodzić?

– Powoli, powoli. Wszystko po kolei – historyk wykonał obiema dłońmi gest dyrygenta uciszającego orkiestrę.

– Napis nie od razu został zauważony. Tam jest ciemno. Trochę trwało, zanim zwróciłem na niego uwagę, penetrując samotnie lochy pod ratuszem.

– Przecież mówił pan, że bardzo nie lubi pan tam schodzić sam.

– A jakże. Nie lubię okropnie. Ale moi koledzy z Rady nie lubią jeszcze bardziej. Co tu dużo gadać. Oni po prostu nie schodzili tam prawie nigdy. Tak, proszę pana. Dopóki pan się nie zjawił, zazwyczaj schodziłem do podziemi sam jeden. Za każdym razem przysięgałem sobie, że to ostami raz. Nigdy nie dotrzymałem przyrzeczenia. Coś ciągnęło mnie w te korytarze, do tego stołu, do tych murów.

– Teraz już nie ciągnie?

– Jestem stary – odparł wymijająco. – Zresztą, wydaje mi się, że tam nie znajdę już nic nowego. Staram się raczej wyjaśniać logicznie i do końca sprawy już odkryte, ale wciąż jeszcze niejasne. To także jest fascynujące, nie sądzi pan?

– Tak, z pewnością. Ciekawe, o jakim białym kamieniu wspomina ten wiersz? I czym ma być zło?

– Jaki kolor mają według pana grobowce na Atrtrox? – chytrze zmrużył oczy.

– Są wykonane z jasnego piaskowca.

– Jasnego, czy białego?

– No, żółtawego, ale z pewnością nie ciemnego.

– Zżółknać mógł pod wpływem czasu. Trzysta lat temu był pewnie biały.

– Myśli pan, że pod płytą nagrobną...?

– Między innymi właśnie dlatego chcę otworzyć te cholerne sarkofagi otoczone przez moich tubylców jakimś dziwnym nimbem, estymą może lękiem. One stanowią, a raczej stanowiły do wczoraj tabu. Przełamaliśmy ten lęk, to tabu. Pan i ja. Cha, cha, cha! – roześmiał się tak straszliwie, że aż gołębie drepczące sennie zerwały się spłoszone i trzepocząc zataczały krąg nad dachami kamieniczek. Staruszek rozejrzał się niespokojnie, ale wszędzie

było pusto. Jedynie po przeciwległej stronie rynku jakiś człeczyna poganiał chudą krowę. On raczej nie mógł słyszeć tryumfального ryku historyka. W każdym razie nie zwrócił nań uwagi: jego krowa porykiwała jeszcze głośniejsze.

– Wyeliminowałem już wszystkie większe białe kamienie w okolicy.

Omam nie ma kamienia, którego bym nie przewrócił na drugą stronę proszę pana. Kamienny stół z podziemi odpada. Pod nim nic spoczywać nie może, poza tym jest zbyt ciężki, by można go było poruszyć. Chcę się dowiedzieć, o co chodziło autorowi zacytowanego wierszyska. Z tym fragmentem może się wiązać praprzyczyna wszystkich katastroficznych legend i podań powstałych w okolicy. Ta z kolei musi być związana z grobowcami na Atrtrox. Czuję to intuicyjnie od dawna.

– Dzisiaj będzie pan mógł zrealizować swe zamiary.

– Dzięki panu.

– Oooch, nie mówmy o tym. Sam jestem ciekaw, co znajdziemy.

– Prawdopodobnie zmurszałe szczątki ludzkie i nieco przedmiotów osobistych.

– Więc właściwie, po co je otwieramy?

– Proszę pana. Być może tylko obalamy sens i zasadność istnienia określonego mitu. Ale też nie jest wykluczone, że znajdziemy coś, czego nie spodziewamy się zupełnie, a co rzuci nowe światło na moje prace, na dzieje naszego miasta przede wszystkim.

– A jeśli faktycznie uwolnimy jakieś bliżej nieokreślone zło?

– Na spotkanie z ewentualnymi zarazkami jesteśmy przygotowani.

Nasz doktor sprokurował specjalne maseczki. Przed samym otwarciem nasączy je odpowiednim środkiem odkażającym. Może mi pan wierzyć, nie spodziewam się, że wypełni stamtąd jakiś potwór. Zaznaczam zresztą, że oprócz ciekawości, powoduje mną autentyczna chęć dokonania renowacji starych sarkofagów.

– Czy nie odniósł pan wrażenia, że komuś bardzo zależało na tym, by ktoś kiedyś zainteresował się tematem?

– Przepraszam, a czy pan takie odniósł?

– Tak.

– Niby na jakiej podstawie?

– Czy nie łatwiej było zniszczyć wszystkie dokumenty, niż niszczyć je wybiórczo? Mówił pan, że wszystkie adnotacje i wzmianki dotyczące ostatniego dziedzica Atrtrox zostały usunięte z wszelkich papierów. Taki zabieg tylko podnieca ciekawość potencjalnego czytelnika, zachęca go do zainteresowania się zagadnieniem i osobą, której dotyczą zniszczone fragmenty. Dużo prościej byłoby spalić w całości, choćby cytowany przez pana ostatnio tekst, zamiast urywać go tworząc tajemnicę niejako na zamówienie, a z pewnością na siłę. A potem dla wzmocnienia efektu wyryć raz jeszcze dziwacznie brzmiące słowa w kamieniu.

– Co pan insynuuje? – nastroszył się.

– Niczego nie insynuuję. Rzucam kolejną hipotezę. Wydaje mi się po prostu, że ludzie zawsze byli do siebie podobni i zawsze w danej populacji występowała pewna ilość we-sołków i błaznów, określona ilość ponuraków i nudziarzy, trochę okrutników, trochę kaznodziejów i tak dalej, i tak dalej. Być może akurat wtedy znalazł się i nabierca, któremu przyjemność sprawiało tworzenie swoistych artefaktów.

– Osobliwy punkt widzenia – wzruszył ramionami. Oczywiście to nie jest niemożliwe, proszę pana. Ktoś taki mógł istnieć. Owe – jak pan określa – „artefakty” mogłem stworzyć nawet ja sam. Tylko że ja tego nie zrobiłem, gdyż nie zdążyłbym sporządzić ich tyłu w ciągu jednej nocy po to, by zabawić lub przestraszyć, a może tylko zaintrygować właśnie pana. Nie chciałoby mi się tego robić. Niech pan się nie obraża, ale to nie byłaby gra warta świeczki.

Za to bardzo, ale to bardzo wyczerpująca przez swą pracowitość. Poza wszystkim jednak, dokumenty, o których wspominałem powstały w okresie dwóch stuleci. Ludzie tak długo nie żyją. Dlatego nie sądzę, by miał pan rację.

Tajemniczy nieznamy przygotowywany łamigłówki dla potomnych? Też pomysł. Co by mu z tego przyszło?

– A co pan robi, gdy już skończy pan dzieło? – uznałem, że najwyższa pora uciekać z drażliwego tematu.

– Słuszne pytanie. Otwarcie sarkofagów zakończy pewien etap w mej pracy, w moim życiu – westchnął. – Ale ja i tak będę miał sporo do zrobienia. Gdy już zinwentaryzuję zawartość sarkofagów, będę prowadził badania neolitycznego obiektu położonego za Przełęczą Oślego Grzbietu.

– Rzeczywiście. Wspominał pan o jakiejś kolosalnej i budowli. Czy to o nią panu chodzi?

– Tak. Przed wielu laty zaintrygowało mnie wzgórze po drugiej stronie przełęczy. Tam jest głęboka i szeroka dolina, pośrodku której znajduje się ciekawy obiekt. Długo sądziłem, że jest to porośnięty roślinnością pagór, przypominający odwróconą do góry dnem misę. Jego ściany są bardzo strome, a jednocześnie spowite gęstą roślinnością, dodatkowo uniemożliwiającą wspięcie się na szczyt.

Tam nikt nie zachodzi. Miejscowi nazywają ten pagórek Czarcim Łajnem i omijają go z daleka. Jest to zatem miejsce wyjątkowo odludne. Zapłaciłem się tam pewnej zimy przed laty. Pamiętam jak dziś. Przez dłuższy czas trzymał mróz. Niezbyt wielki, ale jednak. To odbiło się bardzo niekorzystnie na roślinności, proszę pana. Poniekąd dzięki temu zorientowałem się, że mam do czynienia z fortecą.

– Z fortecą? W każdym razie z dziełem istot rozumnych i potężnych. Gruba warstwa zieleni okrywająca domniemane wzniesienie przemarzła. Ze zbitej ściany kłaczy, pnączy i liści ostała się prześwitująca gdzieś nieregularna sieć łodyg i gałęzi. Tam nawet rośliny są inne niż gdziekolwiek w okolicy. Mają grube, mięsiste liście o szczególnym odcieniu. Ale nie o nich miałem mówić, bo nie one są ważne, a raczej ich brak. Otóż gdy liście pomarzęły, zwinęły się albo poopadały, dostrzegłem przez gałęzie jakiś otwór w litej – zdawałoby się – skale. Zajrzałem tam, a potem wcisnąłem się do środka. Okazało się, że jest to początek korytarza zablokowany dużym głazem, który osunął się chyba stosunkowo niedawno. Wszedłem w ten chodnik, który wąski i ciasny z początku, rozszerzał się dalej. Korytarz ten był długi na około dwadzieścia kroków i nie było w nim całkiem ciemno, bo po drugiej jego stronie był otwór szeroki jak brama, tyle tylko, że umieszczony niesymetrycznie naprzeciw wejścia, a za uskokiem. Korytarz prowadził w głąb domniemanego wzgórza, które wcale wzgórzem nie było, tylko czymś w rodzaju areny otoczonej kamiennym murem o znacznej grubości. O tym wszakże nie mógłbym zorientować się, gdybym pozostał na zewnątrz. Ten mur wysoki na kilku dobrych piętach nie zbudował się sam. Jednakże nie znałem żadnej cywilizacji na naszym terenie, która byłaby zdolna wzniesić coś podobnego. Wrażenie było trudne do opisu. Ogrom ciosów kamiennych w połączeniu z precyzją budowniczych wzbudzały szacunek i rodzaj lęku. Dni zimowe są krótkie. Musiałem stamtąd szybko zmykać, bo zapadał zmierzch. W naszych stronach zdarzały się wówczas wilki. Poza tym czekała mnie mało pojęta wspinaczka na przełęcz, a potem zejście z niej po śniegu i lodzie. Miałem z sobą okutą laskę, ale wolałem nie ryzykować nocnej włóczędzy przez góry, choć byłem wówczas znacznie młodszy niż dziś.

Wróciłem tam dopiero wiosną. Korytarz był całkowicie zarośnięty kolczastymi gałęziami z blaszkowatymi liśćmi. Długo łąziłem dookoła wzgórza, zanim go odnalazłem. Wreszcie zlokalizowałem przejście i przedostałem się do wewnątrz, przedarłszy najpierw z

narażeniem własnej skóry i odzieży przez gęstwą krzewów. Widok, który ujrzałem sprawił, że stanąłem jak wryty. Całą płaską i równą powierzchnię wewnątrz murów pokrywała bujna, kwitnąca właśnie łąka, napełniająca powietrze nieopisanie intensywnymi wońmi. Niech pan sobie wyobrazi: soczysta, zielona, wonna łąka o średnicy ze stu i kilkudziesięciu metrów, pośrodku regularnego, kamiennego pierścienia. Wkraczając w ten pierścień znalazłem się jakby w innym świecie. Panował tam chyba jakiś szczególnie mikroklimat, gdyż nigdzie w okolicy trawy nie bywały tak zielone, a kwiaty tak dorodne. To było niesamowite przeżycie estetyczne. Mam na myśli kontrast pomiędzy zewnątrzem, a wewnątrzem kręgu. Ale później przyszło mi na myśl coś innego. Mianowicie, że jeżeli jednak ten obiekt jest prastarą budowlą, to w jej pobliżu mogą spoczywać jakoweś pomniejsze szczątki. Jakieś ślady bytności jego budowniczych. Każda cywilizacja pozostawia po sobie śmieci. Byłem i nadal jestem ciekaw, jakie śmieci mogli po sobie pozostawić tacy giganci.

– Dlaczego więc nie kontynuował pan tam badań?

– Już do tego dochodzę – zajrzał łąkowie do filizanki, lecz znalazł w niej tylko fusy, toteż odsunął ją od siebie z niesmakiem.

– Przepraszam, zaschło mi w gardle – uśmiechnął się rozbrajająco. – Ale tym razem dziękuję za kawę. Wystarczy mi odrobina wody. I kieliszek koniaku. Kawa bardzo szkodzi na serce, proszę pana. Nie można jej pić zbyt wiele.

Kelner postawił przed nami kieliszki i karafkę. Stary historyk błyskawicznie wysuszył dwie szklanki wody. Potem zanurzył usta w koniaku i powolutku sączył trunek o barwie starego złota. Gdy wypił, przymknął oczy i przybrał błogi wyraz twarzy. Gdyby był nieco tęższy, przypominałby leniwe, zadowolone kocisko wygrzewające się w słońcu. Pozwoliłem mu delektować się chwilą i nie przerywałem sielanki.

– Nie mogłem ich kontynuować, gdyż niczego nie zaczynałem – odezwał się niespodziewanie w momencie, gdy myślałem, że zapomniał o czym mówił. – Ja miałem wówczas zupełnie co innego do roboty. Przede wszystkim poświęciłem się badaniu obiektów położonych bliżej Fernquez. Nie mam zwyczaju zaczynać jednej pracy, zanim nie skończę już rozpoczętej. Miałem – powtarzam – dość roboty tu, na miejscu. Nie mogłem przecież stale kursować pomiędzy miastem a – uczciwszy uszy – „Czarcim Łajnem”. Teraz sytuacja się zmieniła. Nie mam, co prawda siły, by biegać tam i z powrotem, ale mogę przenieść się za przełęcz i przebywać tam latem.

– Jak pan to sobie wyobraża?

– Jeszcze sobie nie wyobrażam. Na razie szkicuję zarysy pewnego planu. Miejscowi przenieśliby mi tam namiot, trochę sprzętu i żywności, może któryś zostałby ze mną na stałe? – zapalał się coraz bardziej do wizji, której realizacja pod wpływem alkoholu wydawała mu się prosta i łatwa.

– Jedźmy tam zaraz – zaproponowałem. Jego zapał był najwyraźniej zaraźliwy.

– Mamy zbyt mało czasu – zauważył przytomnie.

– Jest dopiero dziewiąta. Pojedziemy samochodem.

– Nie przejedziemy przez przełęcz. Nie wjedziemy nawet na nią.

– Ale dojedziemy najwyżej i najdalej jak się da. Potem pójdziemy pieszo.

– Właściwie czemu nie? Akcję otwarcia grobowców zaplanowaliśmy na szóstą, mamy więc przed sobą około dziewięciu godzin. Z wszystkich znanych mi sposobów spędzenia czasu, udział w małej wycieczce krajoznawczej nie wydaje mi się najgorszy.

– Więc ruszajmy – wstałem z krzesła.

– Bardzo chciałbym, ale niestety...

– Wydawało mi się, że był pan bardzo zainteresowany, snuje pan pewne plany...

– Tak. Na przyszłość. A dzisiaj po południu nastąpi bardzo ważny dla mnie moment, niejako ukoronowanie wieloletniej działalności. Chcę się na tę chwilę odpowiednio przygotować, w tym odświeżyć i wypaść. Rozumie pan – wskazał wzrokiem na kieliszek i westchnął.

– Chcę po prostu przetrzeźwieć do wieczora, przemyśleć pewne sprawy, być dziarski i wypoczęty. Niech pan jedzie sam.

– Jest pan pewien...?

– Tak. Nie mogę jechać z panem, a prawdę mówiąc akurat dzisiaj nie chcę. Nie mogę szybko chodzić. Tam są do pokonania znaczne różnice wysokości. Pan uwinie się błyskawicznie, a ja zawadzałbym panu. Nie lubię się spieszyć. Ciągłe wydawałoby mi się, że nie zdążymy na otwarcie. Trafi pan bez trudu, gdyż droga jest prosta. Wóz pozostawi pan, gdy uzna, że dalej nie da się już jechać. Wejście na przełęcz nie zajmie panu z tamtego punktu więcej niż godzinę. Zejście na drugą stronę oczywiście mniej. W sumie na dojazd, dojdzie i powrót zużyje pan około trzech godzin, no może czterech. Resztki starego szlaku doprowadzą pana przez podmokły zagajnik do podnóża gór. Szybko rysował prowizoryczną mapkę na serwetce.

– Stojąc na przełęczy, dojrzy pan ten obiekt z łatwością. Wejście do niego znajduje się po lewej stronie, o tu – postawił krzyżyk. W czasie gdy z zapałem przekonywał mnie do wyprawy, rozmyślałem, czy on przypadkiem nie chce się mnie chwilowo pozbyć, czy nie ma mnie trochę dość. W zasadzie rozumiałem go doskonale. Stary samotnik czuł się po prostu zmęczony zbyt długo trwającą obecnością dociekliwego przybysza. Przecież przez dwa ostatnie dni nie rozstawaliśmy się prawie wcale.

– Dobrze – powiedziałem. – Wyjadę zaraz, ale spotkajmy się nie o szóstą, a o piątą. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Lepiej mieć trochę więcej czasu, niż trochę mniej.

– Oczywiście proszę pana, oczywiście – zgodził się skwapliwie.

Potem dopił wodę i zachwiewając się leciutko, odszedł bez pożegnania. Obserwowałem jego malejącą w perspektywie uliczki dziwaczną sylwetkę do momentu, kiedy zniknął mi z oczu w jednej z bram. Potem wsiadłem do wozu i ostro ruszyłem do przodu.

## XXI

Wiosna się wreszcie na dobre zaczęła, bujna nad podziw. Wraz z nią Eleonora zjechała do Fernquez. Gdy zaś czas nadszedł, zrękowiny wyprawiliśmy huczne, wszem i wobec zamiary nasze wiadomymi czyniąc. Odbyła się uczta, na którą wielu krewnych Eleonory przybyło, a z moich żaden, mimo iżem do kilku pisma słał.

Przyczyn kilkoro ku temu upatrywałem, z których jedną za najważniejszą uznałem, a to różnicę stanu między nimi a wybranką mą. Nie dbałem o to wszakże, zaś Eleonora mniej jeszcze, o ile to możliwym było.

Jeśli w potrzebie, a nieszczęściu o ojcu mym zapomnieli, nie muszę ja o nich pamiętać na drodze fortunnej będąc – myślałem. Dla porządku więc i polityki listy jeno posłałem, na przybycie krewnych mych wielkiej nadziei nie żywiąc.

Chciałem jednak mocno, by Marcel obecny był i za swata mi służył. Aleć on się nie zjawiał. Że zaś chcieliśmy oboje, to jest Eleonora i ja zaślubiny tego jeszcze roku odprawić, musiały zrękowiny prędko się odbyć, by terminu miesiący dziewięciu do ślubu dotrzymać.

We dni kilkanaście po uczcie owej zdarzenie pewne niemiłe nastąpiło, które pominąłbym najchętniej. Nie mogę tego wszakże uczynić, gdyż obfitym się w skutki okazało. Oto zjawili się z wieczora jednego, familianci moi dalecy, bom innych nie miał. Byli to panowie de Mantur i młody de Pugh, którego wielce pan de Mantur wenerował. Dopuścił go bowiem do herbu swego i tego, acz z bastardzim drągiem używać dozwolił. Powiadali, że

z matką jego, niskiego stanu niewiastą, w bliskiej komitywie był de Mantur przez lat wiele. Uchodził też powszechnie ów Pugh, czy też de Pugh za jego syna z łoża nieprawego. Niepewne wszakże były to pogłoski, przeto nie wiem, czy im wiarę należy dać. Zwłaszcza, że i inne takżę słyszał, półgębkiem jeno powtarzane, a wstrętne i obleśne mocno o ich wzajemnym, grzesznym wielce i tak naturze, jako i prawom boskim k'sobie sentymencie. Tym mało kto wiarę dawał, jako że dość starym pan de Mantur był, aleć nie jeno dlatego. Nie pora mi wszakże o tym teraz się rozwodzić, co innego na myśli mając.

Wieczera ich przyjąłem wystawną, bom już służby parę wziął i kucharza znośnego. Gadaliśmy to o tym, to o tamtym. To jest pan de Mantur więcej gadał, a tak, jakby okrężnymi drogami do celu jakowegoś szedł. Nie znałem ja odwiedzin przyczyny, on zaś nie kwapił tejsze mi się wyznać.

In vino veritas wszakże, jak stare porzekadło głosi. Gdym bowiem wina zacnego więcej podlał wylazło szydło z wora, a intencje ich wnet się objawiły. Krótko powiem: odwoździć mię od zamiarów mych przybyli. Oni. Dwie wody dziesiąte po kisielu, rodu skundlenie wypominać przyszli mnie, com po mieczu, a w prostej linii jedynym czystej krwi żyjącym z d'Attrrox był.

Pan de Mantur grzecznie zrazu i wielce politycznie zaczął cnoty zmarłego wynosić pod niebiosy, co ucieszyło mię znacznie, ale i zadziwiło. Od ojca mego śmierci czas znaczny był minął, on zaś jak nad trumną albo na stypie prawił.

Słuchałem ciekaw, co dalej będzie. A on na konfidencję z ojcem się powołałszy, oznajmił, że w jego imieniu wystąpi. Racje takie niecałkiem słusznymi widząc, nie oponowałem im wszakże, nie chcąc gościnności uchybić.

– Jakież to racje być mogły? Jakież się na ojca mego powoływać prawo miał człek ten po prawdzie obcy? – rozmyślałem wino powoli sącząc. Naraz testamentu przypomniałem sobie słowa, które mi córkę pana De Mantur rekomendowały, a do ożenku z nią zachęcały. Dlatego gdy słowa jego gładkie o honorze, godności, rodu starożytności płynęły strugą wartką, a wciąż donikąd – śmiech mnie ogarnął ogromny. Tego de Pugh nie zdzierzył. Młodszym i gorętszym będąc, głośno wykrzyknął, że nazwisko kalam, ród i stan swój zarazem, z prostactwem się zadając. Za nic to miałbym, bo pijany był trochę. Aleć on nie dość, że o Eleonorze grubiaństw wiele a nieprawdziwych rzekł, to jeszcze się pamięci Rodzicielki mej czepił: – Widno się Matka twa na prostaka jakowegoś zapatrzeć musiała, męża swego zbyt długo nie widując – zakończył wywód wrzaskliwy.

– Bacz lepiej ty, byś miary nie przebrał – odrzekłem na to spokojnie. – Pilnuj się, byś praw gościa nie przekroczył, gdyż ja łąco o gospodarza obowiązkach zapomnieć mogę.

– Cóż to, grozisz!!!? – wrzasnął i za rapier capnął, którego dla wygodny na ławę odłożony miał. Jam na to nie baczył, jeno w pysk go dzieliwszy, rapier mu wydarłem, nim go z pochew wyjął i tymże na ziemię przewróconego okładać począłem z rozmachu, a na odlew. Wydierał się co sił, aleć to na nic było, bom go mocno stopą przycisnąwszy dzierżył. Gdym razy kilkanaście po zadku płazem mu przejechał, pouczeń a rad dobrych nie szczędząc, wstawił się za nim pan de Mantur i o litość prosić począł. Ten zaś omdlał widno bólu i wstydu znieść nie mogąc. Dałem więc spokój kaźni srogiej.

Zaczem ocuciwszy go, w takie ozwałem się słowa: – Zabiłbym cię niechybnie, gdybym sam po oręż sięgnął. Alem czynić tego nie chciał względ na pana de Mantur mając, którego ojca mego zgastego przyjacielem się powiada. Ojciec mój wszakże zdrowia nie szczędząc, honor ocalił w bitwie, z której pan de Mantur pierzchnął był, dzięki czemu waszmość pana oglądać dziś mamy sposobność. Żyj więc nadal, a w drogę mi więcej nie włącz, bo ubiję bez litości.

– Tak rzekłem, aleć nie wiem, ile z tego pojął, mocno umęczonym, usmarkanym i splakany będąc ze złości i z bólu, jak sędzę. Zaraz go pachotkowie jego wzięli i na koń sadzać próbowali, co się niemożliwym stało, a to dla bolesnych obrażeń zadka jego. Myślę też, że długo potem jak odjechali, wspominać mię miał sposobność, na brzuchu jeno śpiąc i usiąść nie mogąc na najmniejszych nawet poduszkach. Odjechali zaś zaraz, choć noc już była ciemna. Jeno pan de Mantur rzekł na odjezdne: – strzeż się, bowiem grząską kroczysz ścieżką, która niekoniecznie tam, gdzie chciałbyś, zaprowadzić cię może. A nie ze złością to rzekł, a jakby z rezygnacją. Co wszakże przez to powiedzieć chciał, do dziś nie wiem.

## XXII

Zaraz za miastem musiałem zwolnić, gdyż ta droga była jeszcze gorsza od prowadzącej z Fernquez do Atrtrox. Dość równy, bo wyłożony ongiś kostką dukt, urywał się po mniej więcej kilometrze i przechodził w wąską, błotnistą dróżkę, obramowaną niezbyt i głębokimi rowami, mającymi pewnie wiosną stanowić ujście dla nadmiaru wód spływających z gór. Rowy były częściowo zasypane, dzięki czemu w ogóle mogłem posuwać się do przodu. Zsuwając się do nich to lewymi, to prawymi kołami jechałem zygzakując wciąż dalej i dalej. Zanurzając się w niewielki, bardzo gęsty zagajnik, zastanawiałem się, co by się stało, gdybym napotkał jakąkolwiek przeszkodę. W pobliżu nie widziałem żadnego szerszego miejsca, pozwalającego zawrócić.

– Cóż – starałem się pocieszyć – jakoś bym się wycofał. W najgorszym razie wracałbym tyłem. Wiedziałem jednak, że byłoby to niezmiernie trudne.

Trakt wiódł pod górę. Jednocześnie stawał się coraz mniej błotnisty. Gdy tylko zauważyłem szersze miejsce, ostrożnie zawróciłem, i zaparkowałem wóz przodem w kierunku Fernquez. Dalej poszedłem pieszo. Po kilkuset metrach dotychczasowa droga urywała się całkowicie, znikła. Zastępowała ją wąska ścieżka trawersująca zbocze poprzerwanym, nierównym ściegiem.

– Widać rzeczywiście nikt tu nie bywa – pomyślałem i ruszyłem w górę. Powietrze było jeszcze chłodne i rześkie, toteż prędko piąłem się coraz wyżej i wyżej. Na przełęczy odsapnąłem i spojrzałem na zegarek. Od mojego wyjazdu z Fernquez minęły prawie dwie godziny. Wspomniałem obliczenia mego przewodnika i uśmiechnąłem się mimo woli. W jego towarzystwie wędrówka trwałaby znacznie, znacznie dłużej.

W odległości około trzech kilometrów dostrzegłem kępę zieleni. – Więc to tam – pomyślałem. – Rzeczywiście z daleka wygląda jak wzgórze. Szybko zsunąłem się w dolinę. Natomiast sporo czasu zajęło mi odnalezienie przejścia, mimo iż miałem ze sobą szkic narysowany na serwetce przez starego historyka. Wreszcie znalazłem otwór w skale. Zarośla skrywały go splątana, zbitą masą. Przedarłem się przez tę gęstwinę, przecisnąłem przez szczelinę i znalazłem się w środku.

Profesor nie mylił się ani trochę, ani nie koloryzował. To było dziwnie piękne i – zupełnie nie wiadomo dlaczego – nieco straszne miejsce. Stałem pośrodku łąki okolonej wysokim na kilkanaście metrów murem. Ten mur był zbyt wysoki i zbyt gładki, a przede wszystkim w tym właśnie miejscu kompletnie pozbawiony sensu. Podszedłem do niego i nieśmiało, jakbym dotykał rzeczy niezmiernie delikatnej, przeciągnąłem po nim ręką. Nie napotkałem niemal żadnego oporu. To była gładź lodu. Nawet dziesięć tysięcy lat nieustannych deszczów nie byłoby w stanie wyszlifować kamienia do tego stopnia. Jednocześnie zauważyłem, że pomiędzy blokami nie ma spójni. Te kamienie były zrosnięte z sobą, a w każdym razie tak wyglądały. Szedłem wzdłuż muru, przez cały czas wiodąc dłońią po jego wypolerowanej powierzchni. Jedyne nierówności na jakie natrafiałem, były wgłębienia po zerodowanych odpryskach skalnych. Ta gładkość z czymś mi się kojarzyła, ale jakoś



długo nie mogłem sobie uprzytomnić z czym. Aż naraz zdałem sobie sprawę, iż powierzchnia skalnego muru nieodparcie przypomina dobrze zeszkloną pod wpływem żaru polewę ceramiczną. Nie potrafiłem jednak wyobrazić sobie żaru, który potrafiłby topić kamień. Wędrując zamyślony, przyglądałem się niejako bezwiednie roślinom pod swymi stopami. Zauważyłem, że są wyjątkowo dorodne. Trawy były grube i soczyste, a żonkile, których rośło tu mnóstwo, osiągały wielkość przynajmniej dwóch, trzech zwyczajnych żonkili. Nie potrafiłem niczym wytłumaczyć ani gładkości ścian, ani nadmiernej bujności flory w tej odciętej od reszty świata enklawie. Wszędzie poza skalnym pierścieniem rozciągały się rudoszare płaszczyzny skał i piargów. Przede wszystkim jednak nie potrafiłem wyjaśnić pochodzenia, celu istnienia, ani nawet wieku budowli. „Budowli”, piszę, gdyż o ile w pierwszym momencie nie bardzo dowierzałem staremu historykowi, o tyle teraz sam utraciłem jakąkolwiek wątpliwość. To była budowla warowna, pozostałość po siedzibie jakiegoś potężnego ludu. Nie mogło być inaczej.

Naraz na murze coś załśniło. To coś umieszczone było mniej więcej na wysokości dwóch metrów, dokładnie naprzeciw mnie. Ruszyłem w tamtym kierunku, starając się nie stracić z oczu źródła blasku. Podejrzywałem, że wabi mnie kawałek miki, ale wolałem to sprawdzić ponad wszelką wątpliwość. W miejscu tak niezwykłym wszystko mogło się zdarzyć i wszystkiego mogłem się spodziewać.

Gdy podszedłem bliżej, blask zniknął. Cofnąłem się więc o parę kroków, a refleks świetlny wrócił na swoje miejsce. Do jego dostrzeżenia potrzebny był zapewne odpowiedni kąt padania wzroku, skorelowany z kątem padania promienia słonecznego. Bez tego warunku nie mógł zostać zauważony. Ponowiłem próbę raz jeszcze. Efekt był ten sam. Po zbliżeniu się na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów od ściany, lśnienie urywało się, gasło.

Starając się zapamiętać punkt, z którego dochodziło, odszukałem wzrokiem pęknięcie w ścianie. Rysa biegła przez całą wysokość muru. Pewnie pochodziła od pioruna. Wyciągnąłem rękę ponad głowę i natrafiłem na półeczkę wewnątrz pęknięcia. Opuszki moich palców ostrożnie penetrowały zagłębienie. Naraz natknęły się na jakiś przedmiot. Jeszcze nie rozróżniały jego kształtu, a on zaczepił o coś widocznie, gdyż nie dawał się wyjąć. Szarpnąłem mocniej. Opór ustąpił. Dzierżyłem w dłoni mały, złoty krzyżyk, z zerwanym łańcuszkiem. Zbliżyłem znalezisko do oczu. Ten krzyżyk musiał być stary. Obejrzałem go dokładnie i schowałem do kieszeni. Raz jeszcze wspiąłem się na palce i sięgnąłem do odkrytego przed chwilą zagłębienia. Nie wiem, przyznam, czego się spodziewałem. A jednak moja dłoń znów natrafiła na regularny, tym razem owalny przedmiot, który po wydłubaniu z szczeliny okazał się złotą płytką szerokości mniej więcej dwóch, a długości około trzech centymetrów. Na płytce tej widniały wytłoczone głęboko i dzięki temu niezupełnie zatarte znaki. Z początku próbowałem je odczytać, ale one chyba nie miały nic wspólnego z jakimkolwiek alfabetem. Nie potrafiłem więc ani ich odszyfrować, ani choćby odgadnąć znaczenia. Zapewne każdy ze znaków był oznaczeniem całego pojęcia czy rzeczy lub zjawiska. Tego wszakże nie mogłem stwierdzić z całą pewnością. Nadal nie wiedziałem więc niczego ponad to, że ktoś, kto kiedyś tu bywał, dla jakichś nieznanych powodów pozostawił w skalnej szczelinie krzyżyk oraz amulet. Nie potrafiłem domyślić się celu, który mu przyświecał. Zastanawiając się nad motywami, które skłoniły go do zostawienia tych cennych, bądź co bądź, przedmiotów, ruszyłem w drogę powrotną. Nie miałem na nią wiele czasu. Dochodziła trzecia po południu. W skalnym pierścieniu zupełnie niepostrzeżenie spędziłem prawie trzy godziny. Jeśli miałem zdążyć na spotkanie, musiałem się spieszyć. Zbiegając z przełęczą, skracałem sobie drogę, zsuwając się częściowo w poprzek piargu. Gratulując sobie przemyślności, która kazała mi yatrzymać wóz zanim ostatecznie skończyła się droga i nawrócić na ostatnim, a zarazem jedynym szerszym jej odcinku, jechałem trzymając się śladów

własnych kół wyraźnie odcisniętych w podmokłym gruncie. Dzięki temu mogłem nie obawiać się ugrzęźnięcia. Posuwałem się znacznie szybciej niż poprzednio. W rezultacie na rynku Fernquez znalazłem się już za kwadrans piąta.

Przewodnik czekał na mnie. Wyspany, starannie ogolony i wyświeżony emanował perfekcyjną elegancją gentlemanów w starym stylu. Jego śnieżnobiała koszula była starannie wyprasowana, a kantami spodni można chyba było ściąć diamenty. W klapie dwurzędowego surduta umieścił białą chryzantemę. Srebrna, wypolerowana gałka jego laski lśniła jak siedem słońc. Starannie wyfroterowany melonik dodawał postaci starego profesora nostalgicznego uroku romantycznej epoki fin de siècleu.

– Jest pan, nareszcie – ucieszył się i wykonał ruch, jakby chciał podbiec mi na spotkanie. Lecz powstrzymało go poczucie własnej powagi oraz obawa przed zsunięciem się z głowy jego archaicznego nakrycia. Dlatego podniósł się tylko trochę, wolniutko i z godnością. Zaraz z powrotem opadł na fotel.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. Umówiliśmy się na piątą, nieprawdaż?

– Ależ oczywiście, oczywiście. Jednakże gdy się bardzo na coś, lub na kogoś czeka, to czas dłuży się niezmiernie. A ja czekałem na pana. Pozwoliłem sobie nawet na zamówienie koniaku. Dla pana i dla mnie. Oto on. Proponuję wnieść toast za pomyślność ogólną.

– Za pomyślność – zgodziłem się z nim i jednocześnie przechyliłmiś pękate kieliszki.

– Teraz obydwaj poczekamy sobie jeszcze troszeczkę na pozostałych członków komisji. Pracownicy fizyczni przybędą wprost na wzgórze Atrtrox o umówionej godzinie. Mam nadzieję, że wszyscy dotrą na czas. Jak udała się panu wycieczka?

– Oooch, była wspaniała, choć trwała zbyt krótko. Niestety, nie potrafię w sposób sensowny wytłumaczyć ani pochodzenia owych zagadkowych murów, ani gładkości ich ścian, ani niesamowitej wprost witalności flory wewnątrz kręgu.

– Zewnątrz też jest bujna, ale zupełnie inna – przypomniał.

– Tak, zupełnie inna i tylko bardzo blisko muru. Te dookolne chaszczki są zresztą zupełnie nieprawdopodobne. Ciekawe, skąd się wzięły? Dlaczego właśnie tam? Co sprawia, że pospolite w sumie rośliny rozrastają się akurat w tym miejscu do takich rozmiarów? Czy zauważył pan jak dorodne są kwiaty wewnątrz?

– Zauważyłem i pamiętam je dobrze, mimo iż upłynęło wiele lat od mojego ostatniego tam pobytu. Ale oto nadchodzi nasz doktor i pan mecenas. Panowie, poznajcie się. Przedstawiam panom naszego gościa. Bez niego dzisiejsza ekspedycja nie byłaby możliwa. Obaj mężczyźni ukłonili się jak na komendę i podali mi ręce, zapewniając, że bardzo im miło. Ja zapewniłem ich o tym samym. Potem wsiedliśmy do „Land Rovera” i ruszyliśmy w drogę do ruin zamku Atrtrox.

O znalezieniu krzyżyka i amuletu nie powiedziałem ani profesorowi, ani pozostałym członkom naszej małej ekspedycji. Oni zapewne próbowaliby pozyskać te przedmioty do swego muzeum, a ja pragnąłem zachować je tylko dla siebie i było to pragnienie nadspodziewanie silne.

## XXIII

Dni trochę później, aleć nie za wiele i Marcel do Atrtrox zjechał, radość wielką mi czyniąc. Zaraz z nowiną go zapoznałem, powiadamiając o zrękowinach mych. Jednocześnie prosiłem, by drużbą mi był na ślubie. Zasepił się na to, czego starał się nie pokazać, by mej radości nie mącić.

Zapewne – com już pisał – nadzieję miał z Atrtrox wyjeżdżając, że mi przeminie do Eleonory skłonność. Ale tak się nie stało, bo stać się nie mogło. Jam zaś pomyślał, że oto czas najwyższy nadszedł, iżby poznał, co warta wybranka moja i boczyć się na nią przestał.

Wspomniałem tedy Eleonorze o tym, na stary swój pomysł się powołując, by biesiadę wspólną urządzić. Ona zaś nie ganiać myśli tej, inną zaraz poddała i lepszą znacznie. – Z biesiady pożytek jeno ten, że się pijatyką zakończyć może ty zaś o poznanii się wzajemnym prawisz. Jakie pijanego poznanie sam wiesz dobrze. Nie odmawiając tedy biesiady, nie widzę ja sposobu, by jedna jeno serce Marcelowe ku mnie obrócić mogła. Więcej z sobą przebywać musimy, co łatwym mi się zdaje. Ludziom takżę gęby zamknie Marcel, za przyzwoitkę będąc. Nie stoję ja, jak ci wiadomo, o ludzi gadanie, a raczej nie stałam dotychczas.

Teraz wszakże inaczej się sprawy mają, tedy nie chcę, by gadali więcej niżli wprzód. Toż sam na sam też się spotykać będziem – dodała widząc, żem zmarkotniał.

– Tymczasem niech samotrzeć z nami się gdzie wybierze, byśmy dzień cały razem spędzić mogli. Niech mnie nie przy stole i nie jeno dla pokazania ogląda. Niech gada ze mną nie jeno o krotchwilach, a głupstwach jako to podczas biesiady się czyni. Może wtenczas zdanie swe o mnie zmieni – rzekła poważnie. Ucieszyłem się na to mocno i zaraz Marcela namawiać zacząłem, by się z nami gdzie dalej wypuścić kiedy.

Wymawiał się i bronił trochę, ależ wnet ustąpił widząc, że inaczej być nie może. Tymczasem deszcze spadły, wody wezbrały od nich i od śniegów resztek, co w górach topniejąc, potokami wartkimi spływały ku dolinom. Gdy za się deszcze przeszły, słońce zaświeciło mocno. Umyśliliśmy ruszyć gdy tylko ziemia podeschnie. Tak uczyniliśmy dnia pamiętnego o pogodzie cudnej. A nic nie wróżyło nieszczęścia, kiedy się ono stało.

Wyruszyliśmy – Marcel i ja – świtanem wczesnym w kierunku Fernquez, skąd Eleonorę zabrać mieliśmy.

Marcel zbrojny był mocno, com mu ze śmiechem wytknął, pytając, czy się na wojnę jakową wybiera. Miał on bowiem rapier bojowy, sztylet długi, pistolety dwa i garłacz do siodła na pętli przytroczony. Zaraz też spostrzegłem, że pod kaftanem drugi wdział na się, pikowany. Używało wielu kaftanów takich jako od blach lżejszych i tańszych znacznie. Od cięcia chronił bowiem dość dobrze, od sztychu także nieźle, choć już gorzej nieco, a od kuli, zwłaszcza z bliska – wcale.

Pamiętałem jednakowoż o tym, że potrafił Marcel często niebezpieczeństwo przeczuć, dzięki czemu razy kilka obieży uniknęliśmy srogiej, a może i śmierci wymknęliśmy się z pazurów podczas wojennych przygód naszych. Tedy nieco z niego podrwiwając, pistolety drugi raz podsypałem a dobrze. Po rapier wszakże nie chciało mi się wracać, nie przewidując, by się akurat dzisiaj użytecznym pokazać mógł. Na kordzie tedy poprzestałem starym, com go już wcześniej u pasa miał. A był to kord szeroki, obosieczny o rękojeści dobrze w dłoni leżącej i wyważony zgrabnie. Za jedno jako broń (plebejska po prawdzie) i jako narzędzie mógł służyć. Nieraz zdarzyło mi się nim i chrust ciapać, gdyśmy z Eleonorą ogień rozpalić chcieli, by zająca jakiego, czy królika przez psy jej schwytanego upiec. Dlatego kord ten lubił i jego ze sobą brałem nie rapier, któren w drodze zawadliwy był poprzez długość swą.

Prochu zaś w pistolety podsypując, pomyślałem – strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przed czym jednak dzisiaj strzec by się trza, nie potrafiłem sobie imaginować.

Eleonora czekała na nas gotowa w domu swym. Psów tym razem ze sobą nie wiodła, a to przez Marcela obecność, z którym obznajomione nie były, jako i Marcela koń z nimi. Zresztą, nie zawsze brała je gdyśmy się jeno we dwójkę gdzie wypuszczali. Rzekła mi kiedyś, żem ja jej psisko najwierniejsze jest, jako i od przygody wszelakiej najlepsza obrona. Jam śmiał się z psiska owego i urazy o to nie czułem, choć nie przywykł, by mnie ze

psem równano. Co zaś się obrony tyczyło, tom wiedział aż za dobrze, że się pędzej na dzwona poszatkować dam niżli dozwołę, iżby Eleonorze włos jeden spadł z głowy.

Marcel pojechał przodem o kilkanaście przed nami kroków, nowy do drwinek złośliwych dając mi powód. Uparł on się na to, choć akurat drogi szerszy kawałek przed nami był, a i koń jego jakby mniej się tym razem na Szatanka boczył. Docinkom spokój dałem, nimi się znudziwszy wobec całkowitej Marcela na nie obojętności. A i Eleonora zakazała mi ich gestem, to jest za rękaw szarpiąc i złe robiąc oczy. Droga zaraz węższą się stała i krętą, zakosami ku przełęczy wiodąc, gdzie nieprędko się znaleźliśmy.

Tam Marcel dopiero z nami się połączył, szeroką a pustą przestrzeń przed sobą widząc. Widok się stamtąd piękny na dolinę rozciągał, co naszym była celem. Marcel wszakże milczący i markotny był nadal. Dopiero jak żeśmy do samej kryjówki naszej się zbliżyli, ciekawość okazał, o to i owo pytając. Gdyśmy zaś przed nim przejście tajemne odstonili, co jeszcze bardziej niżli wprzód zarośnięte mi się zdało, całkiem zdziwienia i ciekawości nie krył. W środku ściany kamienne długo oglądał, wzdłuż nich chodząc. Wspinać się też na nie próbował bez powodzenia z początku. Aleć na pęknięcie w litej skale trafił, a w nim oparcie dla dłoni i stóp mając dość wysoko załazł. Spostrzegł był, że miejscami mury owe szkliwem pokryte są, jakby je ongiś ogień, a żar przeraźliwy trawił. Sam nigdy na to nie zwróciłem uwagi, co innego do roboty mając. Teraz zaś oglądając je i rękami po nich wodząc nie znajdowałem innej przyczyny ku ich śliskości, co rzeczywiście miejscami szkliwo mogła przypominać.

Eleonora tymczasem obrus na trawie rozłożyła i na nim specyjały rozmaite pokładła z sakwy wydobyte, które spożywać zaraz poczęliśmy ze smakiem. Marcel skubnąwszy po trochu wszystkiego, z markotności się otrząsnął i gwarzyć z Eleonorą zaczął nawet, żartować próbując. Pomyślałem tedy dwie rzeczy: – pierwsza z nich, że dobrą myśl Eleonora miała z nami go zabierając, druga zaś, że się wcześniej bał jej a to przez wzgląd na piękność jej i dziwność. – Toż i mnie z początku języka w gębie przy niej brakowało niekiedy – przypominałem sobie i pocieszyłem się znacznie. Po posiłku zaraz niepokój Marcel znów okazał, którego bukłaczek trunku przedniego cośmy go spili, nie rozprószył. Bowiem krzyżyk złoty, co go na szyi miał wraz z talizmanem, stracił się gdzieś, już to wśród skał, już to po drodze. Od dziewczki jednej dostał Marcel rzeczy te i nie były one warte wiele. Aleć rzekła mu dziewczka owa – jako się zwykle czyni – że ode złego chronić go będą pospołu. Przypadła też widać Marcelowi do serca i dziewczka sama, toteż dar od niej, choć niewielki, nie jeno kruszczo wartość dlań stanowił.

Dlatego łąził teraz Marcel z marszem srogim na czole, zguby szukając. Marudny był i coraz to na coś sarkał. Raz nawet wprost Eleonory się czepił o rzecz błahą całkiem, mianowicie o gwizdanie. Miała bowiem ona ten zwyczaj, że pogwizdywała sobie melodyjki rozmaite, które sama układała nad podziw zgrabnie. I ładnie gwizdała, w trele rozmaite je strojąc. Kiedyśmy tedy szukali krzyżyka Marcelowego pomiędzy trawami, pogwizdywała sobie Eleonora coś pod nosem, a niegłośno wcale. Marcel, słysząc to, parskał po cichu wpierw, potem ni stąd, ni zowąd powiedział, że świstanie i gwizdanie pannie nie przystoi.

– A czemuż to? – spytała Eleonora.

– Kiedy panu Jezusowi gwoździe wbijali, niewiasta jedna gwizdała. Temu do dziś Matka Boska płacze, gdy jaka niewiasta gwizdze – odparł on. – A w ogóle czartowską sprawą jest gwizdanie i poświstywanie. Przecie o wietrze porywistym, świszczącym mówi się, że diabelskim jest i wprost z piekła pochodzi – zakończył opryskliwie.

– Ptaszkowie takoz gwizdzą i poświstują ćwierkając na chwałę pańską. – Eleonora odparła przekornie.

Chciałem Marcelowi ostrą dać reprimendę, ale Eleonora mi nie zezwoliła, za plecami jego głową kręcąc. Pogwizdywać wszakże przestała dla świętego spokoju. Widno jej bardzo na Marcelowej przyjaźni zależało. A krzyżyka i tak nie znaleźliśmy pomimo starań.

Marcel zaś to popręgi koniom cieśnić począł, to luzować. A po to jeno, by zaraz zacieśnić je ponownie. Bacznym się kątem oka tym machinacjom przyglądał, alem nie gadał nic.

W niebie sokół stał, zdobyczy wypatrując. Na skrzydłach się ważąc, ku drugiej stronie przełęczcy lot swój kierował. Zawrócił wszakże z nagła i wyżej jeszcze się wzbił.

Wtedy Marcel otwarcie do odwrotu pilić zaczął choć jeszcze w czas było. Chciałem mu coś przygadać, ale się znów Eleonora za nim ujęła, milczkiem oczami znak mi dając.

Ruszyliśmy i wnet na przełęczcy stanęliśmy. Marcel długo wzrokiem wodził po dolinie, gdzie się na końcu Fernquez znajdowało, a za nim moje Atrtrox jednak niewidocznym pozostając. Powoli zaczęliśmy się z gór opuszczać. Marcel stale z przodu się trzymał. Zjechaliśmy na koniec całkiem na równy dukt i szybciej mogliśmy iść. Gdy zaś niedaleko już od Fernquez będąc, w zagajnik mały zagłębiliśmy się po obu drogi stronach rosnący, wyskoczyło nam naprzeciw mężów trzech zbrojnych, rów pełen wody przesadzając. Wtenczas się sprawność Marcelowa pokazała, która w regimencie miano „rzeźnika” mu przyniosła. Skoczył on bowiem na nich bez zastanowienia, nie pytając o nic i słów nie tracąc bez potrzeby, pierwszego z ich lewej strony, sam go po prawej ręce mając, sztychem z kulbaki zdjął, a krócej to było znacznie niżli piszę. Ot, zdmuchnął człeka i tyle. Tedy miejsce dla się mając, za plecami dwóch pozostałych się znalazł, gdzie konia spiął i bystro zwrócił. Oni zaś się obrócić k'niemu nie zdołali, wzajem sobie przeszkadzając. Jużem ku nim podskoczyć miał, by go wspomóc, gdy się naraz tumult po krzach rozległ i pieszych czereda z lasu wypadła zbrojnych, bądź jak i obdartych. Wszystkom to widział jasno przeraźliwie i wyraźnie. Dopiero wtenczas pojąłem, co się dzieje. Napad to bowiem był zbójceki.

– Bieżaj – do Eleonory krzyknąłem, sam w zgraję tę z obu pistoletów paląc. Marcel tymczasem drugiego z łotrów w plecy ciosem położył, z garłacza mimochodem w gromadę łotrzyków huknął i z trzecim – drabem rośłym w kirysie i w morionie\* – się związał. Zoczyłem, że za nami dwóch jeszcze zbrojnych przez rów skacze.

– Bieżaj do Eleonory krzyknąłem po raz drugi, widząc że nieruchomie stoi. Sam się ku owym dwóm rzuciłem. Pomyślałem, że gardła nam przyjdzie dać wobec nieprzyjaciół liczebnej przewagi i Bogu duszę poleciłem naprędce. Wysłuchał mnie Pan, bowiem pod jednym z tych, co się kwapili odwrót nam odciąć, koń się ślizgać zaczął, w rowie błotnistym tylnymi nogami utknąwszy. Tegom przez pysk ciął swym kordem szerokim. Drugi zaś, jakby wcale o to nie stojąc, ku Eleonorze runął. W szczupakach za nim skoczyłem nadziei żadnej nie mając, że go dopadnę, zanim on ją w swe łapy pochwyci. Aleć inaczej się stało, bowiem na trzy może kroki przed nią, wciąż nieruchomie stojącą, koń jego jak wryty niespodziewanie stanął jeźdźca przez szyję wyrzucając. Temu, gdy się z ziemi dźwigał, łeb rozplątałem. Marcel tymczasem z drabem w kirysie się bawił mało skutecznie, gdyż sztyłem jak lewakiem jednocześnie od pieszych się oganiał. Tyle wszakże zdziałał, że mu morion z głowy strącił. Własnej skóry zmuszony bronić od pieszych, co mię ze wszystkich stron szarpali, widziałem w bezsilnej wściekłości, jak jeden z wcześniej przez Marcela powalonych dźwignął się i runki\* złomek z ziemi podniósł. Drzewcem tym po nogach konia Marcelowego zdzielił. Padł wierzchowiec pod przyjacielem moim i skoczyło nań kilku. Jam konia spiął, by się uwolnić i w sukurs mu iść. Wtedy obdartus w świńskie pióro\* zbrojny, z boku doskoczył i nim po udzie mi przeciągnął. Bólu nie poczułem prawie wcale, omal szczęśliwym będąc, że nie Skoczka ranił. Siekąc prawą po łbach i rękach, lewą pistolet wepchnąłem mu w gębę rozwartą i w gardziel, aż krew nozdrzami puścił i oczy na wierzch mu wylazły. Czas był najwyższy, bowiem drab w kirysie ku mnie się zwrócił. Związałem z klingą rapiera kord swój i wnet

poznałem, że nie biegiem ramienia, a blachy i ludzi kupa ocaliły go od śmierci z Marcelowej ręki. Kord mój bowiem, choć krótki i do pojedynczej walki niecałkiem sposobny, kilkakrotnie zgrzytnął o kirys, co mu przystępu do skóry bronił. Po pchnięciu jego kilku odbiciu pod gardą mu nurkując zamierzałem, by z bliska razić. Nie dane wszakże mi było tego czynić, bowiem nagły ból w głowie poczułem i ciemność się stała.

Obudziłem się niechętnie i ze wstrętem. Pomyślałem, że w czyścicu pewnie, bowiem w niebie prochem, a krwią nie zalatuje. Zaraz oczy we mnie utkwione spostrzegłem. Oczy te znajome mi się zdały, czyje by jednak były – nie wiedziałem. Głos też usłyszałem spokojny, dość tkliwie brzmiący. Ale słów nie pojmowałem zrazu, myśląc usilnie a z bólem, czyje by to oczy i głos być mogły. Dopiero, gdy się mocno wytężyłem i oczy do głosu dopasowałem, pojąłem, że z głową na podłożu Eleonory spoczywam. Radości od tego wielkiej doznałem, tymczasem poruszyć się nie będąc zdolny.

– Gdzie Marcel? – wycharczałem, dziwiąc się głosowi swemu.

Eleonora na to jeno być cicho i bez ruchu leżeć mi kazała. Przystawiła mi do ust flaszkę małą, w której napitek jakowyś słodko palący miała. Kropel kilka jego do gardła mi wlała. Zaraz lepiej się poczułem, a szum i kołowanie z głowy precz przeszło.

– Gdzie Marcel? – powtórzyłem.

– Nic mu już nie trzeba – odrzekła cicho. – Zanim padł, dwóch konnych ubił i pieszych trzech, nie licząc tych, co ich był z garłacza postrzelał. Tyś także dwóch położył konnych i pieszych kilku posiekał. Reszta uszła. Słyszałem ja dobrze, jakieś bieżąc mi kazał. Ale nie chciała was ostawiać. Z boku stałam sposobności patrząc, by z pistoletów razić. Aleć tej nie było zrazu, a strzału psuć nie chciałam bezpotrzebnie. Dopiero jak ku mnie skoczył zbój ów, co komendę nad innymi miał, blisko go przypuściłam i w sam pysk mu wypaliłam. Ot i tam leży – głową skinęta niedbale. – Za nim dwóch ciurów biegiem. Pierwszego Szatanek pyskiem pochwycił i ramię mu zgruchotał. Drugiego zaś obalił i kopytami podeptał. Czterech zostało jeszcze. Na tych nie mieszkając Szatankiem napałam, oni zaś widząc sprawę przegraną, sami zaś poszczerbionymi i krwawiącymi będąc, a wodza nie mając, ujść woleli. Mogłam za nimi kulkę puścić, ale lepiej było drugi pistolet niewystrzelony zachować. Zanim się tobą zajęłam, nabiłam ja i twoje pistolety i swój com z niego herszta położyła.

Potem obrus podarłam i nim ci głowę zawinęłam. Na nodze też ranę masz długą, która wszakże niebezpieczna nie jest, bo płytka. Kiedy do domu wrócimy, rzetelniej cię opatrzę, maści przyłożę i wnet zdrow będziesz. Teraz ruszać nam trzeba. Wstać spróbowałem, w czym mi pomogła. Potem do Marcela podszedłem, co w błocie leżał i krwi z ran wielu. Nie one jednak śmierci przyczyną się stały. Oto głowę całkiem prawie przyjaciel mój od tułowia miał oderżniętą. Gdyby się wtenczas, który ze zbójów co pierzchli, z krzów wynurzył, rękami gołymi bym go rozdarł, taką wściekłość poczułem i żal, i ból. Na kolana padłem wyjąc jak zwierzę, ani tego chcąc, ani mogąc powstrzymać. Gdy się wszakże wyrzeszczał i wypląkał, Eleonora na bok mię odciągnęła i na koń wtaszczyć mi się pomogła.

– Mogą oni jeszcze wrócić po łupy – ostrzegła.

Akurat jeden z rzezimieszków ruszać się począł i w półprzytomnym będąc, z jękiem o wodę prosić. Podeszła ku niemu Eleonora i przez chwilę nań patrzyła. Potem sztylcik zgrabny wyjęła i pewnym ruchem w szyi draba zatopiła. Mną zaś womity wstrząsając poczęty, bo co innego w bitwie usieć, czy ustrzelić kogoś a co innego patrzeć na zarzynanie, które na dodatek niewiasta czyni.

– Nie dziw się temu coś widział – śmiało mi w oczy spojrzęła wycierając sztylet o zabitego kaftan. – Wcześniej, gdyś bez duszy leżał, innego tak samo sprawiłam. Potem zaś po wszystkich leżących Szatankiem przejechałam, a tak by ich trutowała. Nie przez zemstę to czyniłam, bo nic mi po niej, jeno przez przeczność. Gdyby się bowiem który ocknął, mógłby

nam szkody przyczynić. A tak na nikogo już ręki nie podniosą. Słuszności wielkiej słowem jej odmówić nie mogąc, nijako się poczułem, ale to wnet przeszło. Do dom nocą zjechaliśmy nader wolno idąc i ze stękaniem moim wielkim. Po drodze służby czterech z pochodniami spotkaliśmy, którzy niespokojni będąc o panią swą, na spotkanie jej wyszli. Wystaliśmy ich po Marcela zwłoki, przestrzegając przed tymi, co uszli zbójami i przed wilkami. Jako się potem okazać miało, słuszne obawy te były. Zastali ich bowiem nasi przy trupów obdzieraniu i jednego jeszcze ubili.

Następnych dni parę w Eleonory domu spędziłem, która starunek wielki o mnie mając, nie chciała mię do Atrtrox puścić. Marcela nieszczęsnego pochować poleciłem w kaplicy zamkowej, w nowym sarkofagu, tym samym, którego miejscem ostatecznego spoczynku Matki mej miał się stać wedle ojcowskiego zamysłu, ale którego wtenczas dokończony nie został. Legł tedy Marcel obok przodków mych. W ten choćby sposób wdzięczność mu pokażalem za życia mego i Eleonory ocalenie. Oczywistym mi było, że bez niego piach byśmy gryźli pospołu. Gdyby bowiem nie skoczył był Marcel do przodu i sam się na nich nie rzucił, otoczyła by nas zgraja i utłukła po prostu. On zaś tak pomieszał im szyki, że miast atakować, bronić się musieli. Gdyby zaś nie to, że ich kupa była, jeszcze inaczej by się sprawy potoczyły.

## XXIV

– Jakże myślisz, kto i po co rzecz całą uczynił? – spytała mię dnia pewnego Eleonora. Siedzieliśmy sobie razem w altanie owej, co na polance, pośród gąszczów ogrodem zwanym, stała. Dzień był ciepły ale nie gorący, wiaterek bowiem lekki poduchiwał.

– Rzeknij, co wiesz – odparłem, domyśliwszy się, że mi siurpryzkę jakowąś szykuje. Jużem ją trochę znał przecie.

– Oto masz – mieszek safianowy przed oczy mi podsunęła. Jam zaś dość długo przyglądał mu się, oczom własnym nie wierząc. Były na nim bowiem inicjały kawalera de Pugh złotą nicią wyszyte.

– Ludzie to moi przy kapitanie zbójckim naszli. Wtenczas pełna złota sakiewka ta była. Alem pieniądze wziąć im pozwoliła. Jeśli mi kto powie, że zgubił kuzynkę twój sakiewkę ową albo że mu skradzioną została, temu wiary nie dam – pytania me ubiegła. – Karta też przy nim była jak i kędy jechać, a kryć się gdzie.

Musieli wprzód czyłeka jakiego na przespziegi słać, którego by w szlakowaniu był biegły. Ten kartę im sporządził. Papier zaś karty z sygnaturą i godłem, a jakże. Zemścić się chciał głupiec za to, żeś go poniżył na sług oczach. Wtedy to było jak cię w Atrtrox nachodził z tymże drugim de Mantur – dodała na wszelki wypadek, wiedząc że od uderzenia, na umyśle nieco szwankuję jeszcze. Jam zaś nie dlatego milczał, żeś zapomniał, jeno w głowie mi się pomieścić nie mogła podłość taka.

– Nie chcieli oni ubić ciebie wtedy, jeno żywym wziąć, by się nad tobą tryumfem nasyć. Marcela ubiliby i tak, mnie zapewne także, aliści nie od razu, a pohańbiwszy pierwej. Aleście z Marcelem za dobrze stawali, by się to powieść mogło. Teraz zaś de Pugh tym zjadlej godzić w ciebie będzie, że się nie powiodły zamysły jego. Nie będziesz ty dnia i godziny pewien, a ja wraz z tobą.

– Odwiozę mu ja sam mieszek ów i na klindze podam. Zeżre go nim zdechnie.

– Nie stanie ci on, biegłość twą znając. O sądach też nie myśl żadnych, bowiem nierychliwe one. Zresztą, drwić on sobie z sądów może, w sepecie swym sędziów mając.

– Nie sąd królewski.

– Nie trza nam do tego sądów królewskich mieszać. Zbyt słabe dowody mamy i wykręci się ów Pugh sianem, na pośmiewisko pierwej cię wystawiwszy. Ubić go skrycie trza, zanim on nas ubije. Bez tego nie zaznamy spokoju ni we dnie, ni tym bardziej w nocy.

– Toż nie honor skrycie...

– Cha, cha, cha! Zawsze ten honor wasz głupi. A gdzież on honor miał w nas godząc? Zaniechaj o honorze i pojedynku myśli. Jego należy z siedziby wywabić albo też w domu napaść.

– Gardłowa to sprawa – zauważyłem. – Ludzi skąd wziąć też nie wiem, by zajazd takowy czynić.

– Dałabym ci ja swoich czterech tych, co ku nam na drogę wyszli. Ongiś wraz ze zbójców katalońskich bandą, podróżnych po gościńcach łupili. Ojciec mój na służbę ich wziął, lepszym i bardziej przezpiecznym chlebem skusiwszy. Zna się on na ludziach dobrze i gadać tak potrafi, że każdego zawždy w mig przekona. Oni zaś łotry byli prawdziwe, a i dziś nie całkiem o łotrostwie swym zapomnieli. Ale wierni jak psy. Tobie wszakże nie trza nikogo do pomocy. Im więcej bowiem do sprawy dopuścimy ludzi, tym pewniejszym jest, że się długo sekret nie utrzyma. Ty sam wszystko przeprowadzić możesz. Dni parę drogi od Atrtrox siedziba letnia pana de Mantur, której ten owemu Pugh pozwolił. Tam wróg nasz wiarołomny, a podstępny pewnikiem przebywa. Tam też ubić go należy, co przez zaskoczenie łatwym być powinno. Potem nie mieszkając, do dom wrócić jakby nigdy nic. Hałas się podniesie wielki, aleć z tobą on nic wspólnego mieć nie będzie. Nikt nie wie przecie, że on w ciebie godził, nie masz że więc przyczyny w niego godzić, nieprawdaż? Nikt nie pomyśli, że twoja to sprawa. Ubić go trza jak bestię wściekłą, a złośliwą. Chyba, że wolisz przez życia resztę, co pewnie krótkim będzie, z kłopotami się borykać niepotrzebnymi.

Nie mogąc Eleonorze racji odmówić, obiekcje liczne miałem i nie co do zasadności sprawy, ale inne, których wszelako nie bardzo mógł wypowiedzieć wobec argumentów, po które zaraz sięgnęła. Altana nasza cicha i odosobniona była, wokół zaś ni ducha żywego. Pieścić mię zaczęła Eleonora delikatnie zrazu, jam zaś, choć osłabion wciąż jeszcze i obolały mocno, zabiegom jej się poddał. Od krwi uderzeń rana mi się słabo widać jeszcze zablizniona otwarła na głowie, z której krew poczęła się sączyć. Tę Eleonora językiem zlizywała, co mi się obrzydliwym zdało i broniłem jej tak czynić. Ona zaś rzekła, że najlepszym to sposobem na rany nie za wielkie jest.

– U zwierząt – dodałem.

– A czymże innym my jesteśmy mój panie – zaśmiała się jeno. Gdy zaś ona się mną zajmowała z zapałem karesów nie szczędząc lubyh, pojąłem, że innej drogi jak na cios ciossem odpowiedzieć, po prawdzie nie ma. Poczęliśmy więc, amatorów nie przerywając, o zamiarze naszym gadać wśród słów tkliwych i wyznań. Dziwaczne zaiste dnia tego obłapki nasze były zarówno Wenus, jak i Marsowi, a Hekate służąc.

Wieleśmy razy później do sprawy tej wracali, każdy jej szczegół na wszystkie sposoby obracając. Na koniec klamka zapadła i tylko pory czekaliśmy odpowiedniej.

Stańto na tym, że samojeden pójde i do ogrodów się zakradnę w przebraniu. Tam na wroga czekał będę. Bo tośmy wiedzieli, że ogrody wokół letniej swej siedziby on ma, nową modą urządzone, którymi chełpi się wielce. Po ogrodach tych zapewne we dni słoneczne się przechadza, nic innego do roboty nie mając. Tam dopadłszy, ubić go miałem i wracać, nie stając po drodze więcej, niżli by koniom wytchnienia dać. Zamierzałem dwa konie wziąć. Na jednym, gorszym w tamtą stronę nocami miałem zdążyć. Na drugim z powrotem lecieć chybko, wolniejszego a schetanego mocniej ostawiwszy precz, gdyby to się koniecznym okazać miało.

Eleonora sprawę całą raz jeszcze przemyślawszy, Szatanka swego wziąć mi kazała.



– Dwa konie zawadą są po drodze – prawita – on zaś jeden za pięć, nie za dwa stanie. Zmęczenia nie zna, ni lęku a wilki, albo i niedźwiedzia po drodze spotkać możesz. Nie jest jak Skoczek twój zwinny i lekki, ale wytrzymalszy i silniejszy, że o rozumie nie wspomnę.

– Poniesie mnie i rzuci – odrzekłem na to z ociąganiem, bardzo do wstydu podobnym.

– Nie uczyni on tego. Przemówię do niego pierwszej, ty zaś posmarujesz się po ciele całym pachnidłem, którego ja używam. Potem już pewnie na kulbakę siądziesz. Węch koń ma od ludzkiego lepszy i nim swego od obcego rozróżnić potrafi. Wiesz i ty o tym przecie. Oswoił się zresztą z tobą już konik mój, że i bez sztuczek żadnych nosić cię będzie chciał. Aleć pachnidło i tak nie zawadzi. Dam ci też kordiał jeden, co siły wyzwala i odwagę, a ramienia pewność.

– Odwagi mi nie trza, więcej niżli do tej pory miałem – odparłem, bo czego jak czego, ale tchórzostwa nikt mi dotychczas nie zarzucał.

– Wiem ja, żeś męzny – uspokoiła mnie. – Wiem to dobrze. Aleć innej odwagi trza, by w bitwie pierś w pierś z innymi męzami stawać, innej zaś do sprawy naszej rozwiązania, jeśli pojmujesz, co na myśli mam. Niejawnie przecie przyjdzie ci wystąpić. Kto wie, co zdarzyć się może a nie chcę, byś się w chwili najgorętszej zacukał. Kordiał mój takoz umysłu jasność a obrotność czyni bowiem, przez co pomocnym wielce okazać się może. Jakby być miało, nie stanie się on przeszkodą w dziele naszym, a przeciwnie. Tedy masz w drodze tam, po kropel kilka trzy razy wziąć. Zaś tyk jeden całkiem mały dopiero przed samym w ogrody wejściem. Wracając znów po kropel parę, mniej niżli wprzódy, i nie częściej nad dwa razy w dzień możesz wziąć. Nie więcej. A i to wtenczas tylko, jeśli byś zmęczenie albo senność chciał odpedzić. Miarkuj, żeby ci na powrót starczyło. Słuchałem rad i zaleceń tych uważnie, wiedziałem bowiem już, że jeśli Eleonora coś umyśliła, sam nic lepszego wymyśleć nie zdołam. Słyszałem też wcześniej o kordiale jakowymś, który w dawnych czasach panowie, co znamienitsi, pijali w szrankach goniąc albo na ostre się potykając. Dlatego o nic już nie pytałem, jeno flakonik przyjąłem. Odetkałem go zaraz i nos do dziury przytknąłem. Zapach mię doleciał ni przyjemny, ni nieprzyjemny, silny, od którego nie wiadomo, jak mi się zrobiło. Bo było w nim wezwanie, by go wypić jak najwięcej, a najlepiej skapać się w nim i przestroga za jedno by tego nie czynić. Zapach ten trochę małmazję przypominał, cośmy ją z Eleonory rodzicielem po procesji wiadomej gwoli wiosny nadejścia uczynionej spili, trochę też napitek ów, którego zdradliwym nazwałem, a po którym widziadła mnie trapiły straszliwe. Jeno że mocniejszym od tamtego zapach z flakoniku tego był, aże mi się od niego w głowie nieco zakołowało. Wetknąłem tedy szpunt prędko z powrotem.

Wieczorem, gdy do Atrtrox wróciłem, odetkałem szpunt po raz wtóry i palec odrobiną elixiru nasmarowawszy, w gębę go sobie wsadziłem. Nie za długo czekałem, co będzie. Oto po chwili dość małej jakoby skrzydła poczułem u ramion. Myśl lekką się stała i lotną nad podziw, a trzeźwą i jasną, nie jak po małmazji owej, jeno stokroć lepiej. Ani nie jak po winie, które pozoru lekkości i jasności jeno dodaje, a prawdziwie pijanym czyni. Wieczór późny był, a jam jak w dzień widział. Siłę wielką w ciele całym poczułem, a w głowie jasność. Cudowny był to elixir. Ale i niebezpieczny wielce. Ponad wszystko bowiem sprawiał, że do wykonania zamierzeń naszych wszelkie był stracił obiekcje. Wątpliwości liczne, com jeno wcześniej był żywiał, pierzchły precz. Zastanawiać się przestałem nad słusznością tego, co uczynić mam, bo słusznym i sprawiedliwym mi się wszystko to zdało.

Wyruszyłem tedy, gdy się pogoda piękna ustaliła, a noce księżycowe, jasne i wonne nastąpiły. Szatanek na grzbiet swój bez wstrętów nijakich mnie przyjął. Potem niósł lżej, niżli mi się po koniu jego postury spodziewać mógł. A szedł równo tak, że go ni wstrzymywać, ni ponaglać nie musiał. Przejeżdżając przez gaik pamiętny, rozglądałem się za śladami jakimi po bitwie, w której Marcel poległ. Ale nic tam już nie było i nie wiem, czegom się spodziewał. Modlitwę tedy za zmarłych jeno odmówiwszy, w dalszą drogę ruszyłem, nad

tym dumając, że marnym człek jest i niewiele trza by przepadł, zginął na wieki i ślad po nim takoz. Na przełęczu stanąłem nie wiadomo, jak i kiedy, mocno myślami swymi zajęty będąc. Prawdę Eleonora rzekła, że sam idzie dzianet jej, jakby cel znając, a jeźdźca zamysły odgadując. Na nocleg stanęliśmy na polance małej, w podle strumyka, któren pomiędzy skałkami wartką, choć cienką wił się strugą. Tam pistolety podsypawszy i w derkę się owinawszy, noc spędziłem, podrzemując. Koniowi obroku dałem kilka garści, bowiem póki w górach byliśmy, nędzne jeno trawki w szczelinach skałnych mógł znaleźć. Nie pętałem go wcale, uznając, iż jeśli tak rozumnym jest jak Eleonora rzekła, tedy mnie nie odbieży. Zaś od wilków łącniej mu się bronić będzie w razie czego. Rankiem wczesnym, zziębnięty i obolały od ziemi twardej będąc, co prędzej na siodło skoczyłem, obiecując sobie na noc następną lepsze miejsce do spania znaleźć. Tak uczyniłem, przez dnia kolejnego większą część jadąc. Zresztą, nie działo się nic, co by pisania godnym było. Nikogo po drodze nie spotykaliśmy. Dopiero, gdyśmy się z gór spuszczać po dniach dwóch zaczęli, pojawili się ludzie tu i ówdzie, aleć najeźdźca samotnego nie zwracali uwagi, swymi sprawami zajęci. Umyśliłem jednak dalej nocą iść, gdyśmy się całkiem na nizinie znaleźli. Przespawszy część dnia w zagajniku gęstym, pod wieczór ruszyliśmy dalej, by przed świtem, opodal wroga mego siedziby stanąć. Szatanek napasł się i wytarzał w trawie. Tym mnie zadziwił, że nie stojąc, jako zwykle konie czynią spał, jeno polegając.

Do celu dotarliśmy szybciej niżlim planował, noc bowiem jeszcze była. Odczekawszy tedy aż świtać pocznie, mogłem raz jeszcze przemyśleć wszystko, a i miejsce sposobne do ukrycia się wraz z koniem znaleźć. Miejscem tym krzaki gęste były, dotykające prawie od jednej strony muru dość wysokiego, który dom otaczał. Jasność wielką w głowie miałem i działania wolę. Widziałem wszystko wyraźnie, mimo iż przed świtaniem było. Elixir to sprawił – wiem. Chęć wielką na lulkę poczułem, gdym tak w zasadzce czekał, alem nie chciał dymem obecności swej zdradzać. Czekałem cierpliwie. Słońce dobrze się już na widnokrąg wspięło, jam czekał jeszcze. Pomyślałem bowiem, że wróg mój pewnie się wylegiwać lubi i przyczyny nie ma żadnej, by z rana wcześniej w ogrody iść. Temu to dopiero, gdy krople rosy z liści poznikały, do roboty się wziętem. Na drzewo wlażem i patrzyłem, co po muru drugiej stronie jest. Ogród zobaczyłem piękny istotnie. W głębi dom biały, lśniący w słońcu oknami. Zaraz mi moje Atrtrox na myśl przyszło ponure, po prawdzie bardziej się na gniazdo puszczyków nadające niżli na młodej pary mieszkanie. Złość mię na to ogarnęła i zawiść. Odeгнаłem ją, bom o czym innym teraz myśleć miał. Patrząc w ogród ujrzałem, że ścieżki dookoła w nim wytyczono. Ktokolwiek tedy, by tam chodził przed siebie, prędzej czy później na kole tym znaleźć się powinien. Chyba, żeby zawrócił. Wiedząc już co i jak, głowę w chustę czarną spowiłem, mały tylko otwór na oczy zostawiając. Teraz kapelusz na przybranie to nasadziwszy, poznanym być nie mogłem, jako że stałem się całkiem do siebie niepodobnym. Kaftan na dodatek połatany mocno miałem i buty wysokie, połatane takoz. Wieleśmy zawczasu z Eleonorą rozmaitych strojów dobierali, nim ten wziętem.

Gdym się już za gotowego uznał, łyczek kordiału mały pociągnąłem i na murek po Szatanka grzbiecie wlażem łatwo. Zeskoczyłem z niego zaraz i za krzakiem jaśminu się ukryłem, opodal ścieżki. Nic się nie działo, jakby dom cały spał jeszcze. Pomyślałem, że może wyjechał był wróg mój, a służba śpi do południa, jako w takich przypadkach zwykle się dzieje. Przyszedł mi do głowy concept, żeśmy wcale możliwości takiej na względzie nie mieli, plan swój układając. Śmiech mnie z tego omal ogarnął, choć chwila mało do śmiechu stosowną była, a i śmiać się z czego nie było. Pomyślałem też, że za późno jest teraz, by dziwić się oczywistości takiej, jak i to, że jeśli nie zdybię go teraz, poniecham zemsty, w Opatrzności wszystko pozostawię rękę i niech się, co chce dzieje. Ja się tylko napadnięty na swoim bronit będę. Tak postanowiłem, alem czekał przecie w ukryciu. Naraz dźwięk się jakiś rozległ jazgotliwy, choć przytłumiony cokolwiek. Nie wiedziałem zrazu, skąd się bierze hałas

ten. Wnet pojąłem, że piesek jakowyś mały gdzieś w domu tym być musi. Naraz drzwi się rozwarły szerokie, a przeszklone do ogrodu wiodące i istotnie piesek z nich wypadł. Na trawniku się trochę pokręcił i w moją z działkaniem wielkim popędził stronę. Zoczywszy mnie zamilkł na chwilę, czym mi radość krótką sprawił. Aleć się okazało, że jeno siły zbiera, by z nowym wystąpić animuszem i hałasem do postury nie całkiem proporcjonalnym. Jam się nie ruszał, on zaś doskakiwał coraz bliżej. Nareszcie skończyła się cierpliwość moja. Gdy bliżej piesek ten podskoczył, capnąłem go i w mig kark mu skręciłem. Wtedy w ciszy, z nagłą zapadłej, usłyszałem głosy wesołe z drzwi otwartych dobiegające. Niewiasta we drzwiach tych zaraz stanęła, ledwie odziana. Różowa była, krągła i pulchna, liczka wesołego, choć teraz zaspanego wielce. Włosy długie, jasne w nieładzie okrutnym miała, ramiona i plecy okrywające, a na wszystkie potargane strony. Oczęta przecierając, wabić pieska poczęła i mówić coś ze śmiechem do kogoś, kto niewidocznym dla mnie pozostawał, a kto dla odmiany ją wabił. Słów jego rozróżnić nie mogłem, ale pewnie swawolne, a sprośne były, bowiem panna śmiała się z nich i zawstydziała za jedno, ucieszne minki strojąc i ponętne w zawstydzeniu udawanym przybierając pozy.

Rozpoznałem głos pana Pugh. Widno alkowa tam ich była, w której noc z panną spędziwszy, do siebie na powrót ją przyzywał. Nie był żonatym ćwierćkrewek mój, przeto mu kochanicą panna ta nadobna musiała być. Piękność jej tym łacniej oglądać mogłem, iż jeno koszulkę cienką na sobie miała. Bicie serca gwałtowne poczułem, aleć nie za piękności jej sprawą. Nie mogąc się bowiem pieska dowołać, którego sztywniejący opodał mnie leżał, jego ruszyła śladem, bosą, przez trawnik, wprost ku mnie biejąc. Trupka zoczywszy jak wryta stanęła, pochyliła się nad nim i badać zaczęła, czyli znaku życia nie da. Wtedy ją przydusił z tyłu i chustą z głowy ściągniętą jej głowę owinął. Nie chciałem ja krzywdy biedaczce wyrządzić nijakiej. Aleć przecie musiał po cichu załatwić sprawę, po którą przybyłem. Jeszcze przed chwilą może i do odwrotu bym przystąpił. Teraz wszakże nie było to możliwe: kawaler Pugh wielkimi ku mnie podążał krokami w koszulę samą odzian.

– Nie chowaj się pieśczoćko przede mną, nie chowaj figlarko – pokrzykiwał gromko. – Zaraz cię schwycę i... – głos mu zamarł, bom tuż przed nim z krzaka mojego wyszedł.

Staliśmy twarzą w twarz. Ja w sztylet zbrojny, w opończy czarnej połatanej istotnie do zbója podobny. On w bieliźnie rozmemłanej, bezbronny i powietrze jak ryba łapiący. Nie wiem, czym tryumf wówczas czuł. Ot powiem – nic nie czułem. On zaś myślał zapewne, co czynić, to jest, czy drała dać, czy też na mnie z gołymi rzucić się rękami. Na koniec ni jednego, ni drugiego nie uczynił, jeno drzeć się począł przeraźliwie zaiste, co najgłupszą z wszystkich rzeczą, było. Wtenczas brzeszczot mu w wąpiach zatopiłem po rękoięść, szybko z dołu bijąc. Odepchnąć mnie próbował niezdarnie, jam zaś w pierś mu poprawił między żebra sztylet wbiwszy. Krew ustami oddał i oczami przewrócił, co znakiem było, że z nim na dobre skończył. Strzepnął jeszcze rękami ze dwa razy i znieruchomiał. Biec do muru w te pędy się rzuciłem, aleć padł jak długi obok niego. Uczułem, że mię coś za nogę trzymie. Panna to była, która na nieszczęście swe chustę z głowy zdarła, widno do przytomności przyszedłszy. Wyrwałem się nareszcie, nie wiedząc, co czynić, bom niewiasty zarzynać nie był nawykły. Tak trwaliśmy przez dwa mgnienia oka, dwa oddechy, albo raczej dwa wieki długie.

Ona wpatrywała się we mnie wzrokiem dzikim, w którym wściekłość, rozpacz i błaganie zajęto były. Jam stał nad nią z sztyletem wzniesionym, nie mogąc ramienia opuścić, by cios zadać. Naraz Eleonory twarz jak żywą przed sobą ujrzałem i głos jej – „ZABIJ” – rozkazujący we wnętrzu głowy mej usłyszałem. Opadło ramię me i sztylet w piersi zagłębił się odkrytej a krągłej. Wyrwałem go z rany obficie broczącej i biejąc chciałem. Aleć znów głos Eleonory usłyszałem.

– „DOKOŃCZ” – spokojnie i wyraźnie mówiący. Na oślepc zacząłem wtedy razy zadawać, iżem się cały krwią ubabrał od rzeźnika gorzej. Gdym oprzytomniał, rozejrzałem się dookoła, ale nic się nie działo, jako i wprzód. Myślę, że krótko nad podziw wszystko to trwało, co dziś opisuję powoli litery stawiając osłabłymi dłońmi. Aleć wtedy chwilka mała jeno upłynęła i nie pojawił się sługus żaden, który przeszkodą by mi się stał. Raz jeszcze na trupy spojrzawszy, ku murkowi nieśpieszno ruszyłem, jakby mi wszystko jedno było, co się dalej stanie. Na drugą stronę powoli przelałem, powoli do krzaków podszedłem, w których Szatanek zatajony był. On zaś, słysząc mnie i czując zapewne, na spotkanie mi wyszedł. Gałąź za sobą włókł, wokół której cugle zaplątałem, gdym go ostawiał. Ułamał ją pewnie, lub odgryzł, ale mi się to osobliwym nie zdało, bom ogłupiały był okrutnie. Na koń siadłszy, po kordiał Eleonory zaraz sięgłem i nie za wiele, aleć więcej niżli kazała wypilem. Potem czyniłem to jeszcze razy kilka na przemian z okowitą go pijąc, ażem do imentu zmysły utracił.

## XXV

Ocknąłem się w łożu własnym w Atrtrox. Nade mną Wincent stroskany się pochylał.

– Wina przynieś a dużo – rozkazałem. Gardło spieczone miałem i suche, jakby mnie gorączka trawiła wielka. On zaś kopnął się zaraz rozkaz wykonać uradowany wyraźnie, żem do rozumu wrócił. Nie było go chwilę długą na tyle, iżem miał czas myśli zebrać. Pamiętałem dobrze wszystko, czego dokonał. To wszakże, co potem było, kędyś się zapodziało i mimo usiłowań wielkich, nic z drogi powrotnej nie potrafiłem sobie przypomnieć. Wincent, gdy ze dzbanem wrócił zaraz narzekać począł i nade mną się użalać. Pożytek taki z utyskiwań jego odniosłem, żem się to i owo dowiedział. Wynikało z biadoleń Wincentowych, żem wczoraj wrócił z rana. Konia na dziedzińcu zostawiwszy, do łoża w ubraniu ległem. On zaś, to jest Wincent rozebrał mnie, czego mu bronił słabo. Chciał bowiem – pokrwawioną odzież na mnie widząc – zbadać, czyli nie ranion. Potem odzienie spalił.

– Konia lubo raczej diabła tego czarnego na podworcum ostawił, pierwiej twoje ochędóstwo na uwadze mając – rzekł. – Potem, gdym zlażł na dół, już go nie było. Parobków pytałem dlaczego do stajni konia nie zawiedli, na co odrzekli, że życie im jeszcze miłe i temu zbliżyć się k'niemu nie śmieli. Nie myślę ja, by się zgubił gdzie, gdy przez bramę otwartą z Atrtrox poszedł do dom pewnikiem. Zmyślna to bestia nad podziw, przyznać mu to trzeba. Toć po prawdzie nie tyś nim powodował, boś w siodle jak kołek sztywno siedział albo jak z drewna figura. Wzrok szklisty miałeś i nieruchomy, a gdym cię o zdrowie pytał, niceś nie odrzekł, jakbyś głuchy był – prawil sługa stary: i w oczy mi zaglądał z troską prawdziwą.

– A cóż to się z oczami twymi porobiło panie Jakubie? – wrzasnął omal, bliżej mi się przyjrzawszy.

– Co się miało stać?

– Zerknij jeno – zwierciadło mi podsunął, które ze ściany zdjął.

Matowe mocno i poobijane zwierciadło owo było, ale co trzeba dojrzałem w nim, to jest fizis własną opuchniętą i smętną, jakby chorą. Oczy zaś moje własne, których wygląd tak Wincenta przeraził, jak oczy upiora wyglądały, albo strzygi.

– To przejdzie – powiedziałem. Wykoncypowałem, że skutkiem kordiału nadużycia ócz wygląd zmienić się mógł i później pokazało się, żem dobrze pomyślał. Tymczasem, co innego zajęło mózg mój obolały.

Oto, gdym sobie policzył, pokazało się, że Szatanek przez dwa dni i przez nocie dwie szedł bez przestanku, bez wiedzy mojej i woli. Jeśli bowiem tak było jako Wincent powiadał, tom nie był zdolen rozkulbaczyć go ani popasu nijakiego po drodze urządzić. Ja zaś sam nie

pamiętałem, bym tak uczynił. A i czasu by po temu nie było. Nigdzie po drodze stawać nie mógł.

Szedł tedy Szatanek bez spoczynku, drogę długą za sobą w jedną stronę już mając. I nie powoli to czynił. Nie możebnym mi się to widziało, ale inaczej być nie mogło.

Kiedy wreszcie do dom mnie przywiózł, precz sobie poszedł, nic tu do roboty nie mając, a starunku oczekiwać nie mogąc.

– Niezwykły to koń – rzekłem na wpół do siebie. – Trza nim będzie klacz jaką dobrą pokryć, by z potomstwa jego pożytek mieć. Wincent na to splunął w bok nieznacznie. Przypomniałem sobie list ojca, w którym coś o spluwaniu Wincentowym było. Spytałem więc starego, przez co to uczynił. Odrzekł, że dla uroków odczynienia. Wiedziałem, że się stajenni Szatanka boją jako dzikiego wielce i nie bez słuszności. Dlatego Wincenta już o nic nie pytałem, jenom wina więcej przynieść kazałem.

Piłem przez dni parę. Ale pamięci czynu okropnego zatopić nie mogłem. Wciąż przed oczami panna mi stała, com ją zaszlachtował i oczy jej we mnie utkwione. Nie opuszczał mnie widok ten ni za dnia, ni w nocy i niewiele trunki przeciw temu pomagały. Dopiero jakem bez czucia padał o świecie nie wiedząc, wolny od zmory owej stawałem się na krótko. Dlatego piłem więcej i więcej. I nie byłoby miary pijaństwa tego i zapiłbym się pewnie do imentu, na śmierć, gdyby Eleonora w dzień piąty do Atrrox nie przybyła i kresu memu głupstwu nie położyła.

Z samego ranka przyszła. Nie bacząc na to że m brudny, zarośnięty i śmierdzący, a łożo barłóg jaźwca na myśl przywodzi, szaty zrzuciła i koło mnie legła. Jam zaś pono tulić się zrazu jak dziecko począł, co łatwo być mogło. Gdy zaś mnie do rozumu jako takiego doprowadziła, wina lekkiego, co je miała z sobą, nalała i razem ze mną popijając, opowieści mej wysłuchiwała uważnie, nie przerywając i nie pytając o nic. Nieskładnie opowiadanie mi szło, bom kołowaty był mocno, a niczego pominąć nie chciałem.

– Chwali ci się, że nie starasz się skrywać niczego – rzekła, gdym skończył. – Nie boisz się też strachu okazać, któryś czuł jako i słabości. To dobrze, bo przede mną nie powinieś mieć tajemnic. Wiedz, że m była z tobą myślą przez cały czas i siłą woli swej wspomagałam cię, gdy było trzeba. Źle tylko, żeś eliksir cały wyłopał i z gorzałką zbyt dużo go pomieszał. Od tegoś przytomność stracił, Gorzej wszakże jeszcze być mogło. Panny coś ją ubił żałować nie masz potrzeby, ona bowiem za wszystkim stała jako szyja głową, tak owym kawalerem kręciła.

– Jakże to?

– Całkiem prosto. Tak długo zniewagę mu wypomina którą od ciebie poniósł, tak długo dziurę w brzuchu wierciła, aż swego dopięła.

On sam dość gnuśnym i leniwym będąc, nigdy by planu tego nie wymyślił. Jeśli złość by tak długo sam z siebie żywić miał, ubiłby cię z muszkietu gdzie, a z daleka, nie zaś wyprawę całą słał. Pomniesz jako na drodze było? Nie w ciebie godzili zrazu, raczej powstrzymać cię chcąc, potem zaś schwytać i uwięzić ku uciezce własnej. Gadaliśmy już o tym raz. W altanie to było, baczysz? Tego człek o rozumie tak i jak ów kawaler nie wymyśliłby. Nie wymyśliłby też, by narzeczoną wroga swego pohańbić na oczach jego a przyjaciela ubić, jego zaś samego przy życiu ostawić. Niewiasta zła za zamysłem tym stała. Żałować jej nie trzeba, zwłaszcza, żeś z początku starał się ją ocalić. Teraz zaś za wielce fortunną okoliczność uznać możesz, że ci ona w ręce wpadła. Zresztą, po tym jak cię ujrzała, inaczej postąpić nie mogłeś.

Ale przez co tak czyniła. Przecie ona sama złości ku mnie nijakiej mieć nie mogła?

– Z nudy. Z nudy i głupoty wzięło się wszystko. Człek rozumny zawsze sobie coś wynajdzie i nigdy znudzonym się nie czuje. Ty o coś zabiegasz stale i spraw doglądasz, omal spoczynku nie znając. Albo ze mną czas pędzisz, co – jako tuszę – do nudy przyczyni nie

daje. Oni wszakże dość głupimi oboje będąc za zabawkę się nową wzięli z zapałem, nie bacząc kędy ona zawieść ich może.

– Skądże to wiesz wszystko? – wyrwało mi się niepotrzebnie.

Bowiem nie miała zwyczaju mówić Eleonora nic, co by za głupstwo, bądź nieprawdę poczytane być mogło. Ale tym razem zbyt wiele i zbyt pewnie rzekła o zamysłach i przyczynach tychże u ludzi całkiem obcych.

– Wiem bardzo wiele i bardzo wiele domyślić się mogę. Wierzaj, że bogom równym być może ten, który woli swej siłą rozum do myślenia prawdziwego zmusić potrafi. Wszak na obraz i podobieństwo swe nas stworzyli. Nie tak jest Jakubie?

– Ale żeby niewiasta tak złą była? – jakoś z myślą taką nie mogłem się oswoić. Dlatego nie zwrócił wówczas uwagi na wzmiankę o bogach kilku i o równości z nimi, mimo uszu, herezje puszczając. Nie bardzo dbał o to, co herezją jest, a co nie i nie o to chodzi mi teraz. Aleć ostrzeżeniem mi być mogły słowa takie, a to przez dziwaczność swą. Tak się wszakże nie stało.

– Nie znasz niewiast – prychnęła nozdrzami, widać z politowania dla naiwności mej. – Większości intryg niewiasta matką jest. Waszymi jeno prowadzimy je rękami. Wierzaj mi, że wcale nie za wielkiej trzeba przemyślności, by męża ku takiej, czy innej sprawie skłonić. Łoże wygodne pomocne wielce w tym bywa. Toż w alkowie plany pokrętne i intrygi wszelakie się lęgną. Pomnij, że i nasz plan odwetu w łóżnicy powstał – zauważyła przewrotnie. Pojąłem, iż Eleonora tak mi rzecz całą przedstawia, bym więcej duszebnym mąk nie cierpiał i wyrzutów na sumieniu zbyt. Rozumiałem, że tamtą pannę obwiniając, zajedno moją winą się dzieli i część jej na się bierze. Wdzięcznym jej za to byłem. Uczułem, że teraz dopiero związany z nią naprawdę i że siły ludzkiej nie masz, która by nas rozdzielić była zdolna. I nie było już przedsięwzięcia, na które bym się z nią albo dla niej nie ważył.

## XXVI

Od zdarzeń tych okropnych blisko cztery miesiące minęły.

Nic się nie działo i nie było skutków eskapady mej żadnych. Wielom razy nocą się budził z gardłem ściśniętym od strachu, że się wydała zbrodnia moja, i że sąd mnie czeka. Wiele razy miecz mi się śnił katowski nad głową mą wzniesion. Ale coraz rzadziej to było i coraz strach mój mniejszym się stawał, wraz z czasem upływem. Eleonora wyjechała znów, by sprawunki z zaślubinami związane poczynić. Wiele ich spisanych miała, przez co długą nieobecność jej była. Tęskno mi było i nudno bez niej, ale nie chciałem dziewczką inną się pocieszyć na krótko. Com tylko pomyślał, czyby choć na sen lepszy z wieczora jakiej baby nie zażyć, śmiech mnie zaraz ogarniał, bo z innymi Eleonorę porównywać głupstwem mało smacznym mi się widziało.

Dniami całymi po okolicy goniąc, widziałem zmiany wszędy zachodzące. Pola i winnice zieleniły się bujnie. Atrtrox lśniło w słońcu odnowionymi tynki, włościanie, pędzący bydlę na paszę lub od roboty wracający, kłaniali mi się z daleka, czego dawniej wcale nie czynili, bądź niechętnie, a z ociąganiem. Dobrze się działo i zadowolenie czułem. Przez czas ten, od kiedym do domu wrócił, dokonało się wiele dobrego. Coraz mocniej wierzyłem, że odwrócił się los zły, co ród mój gnębił.

– Jam to sprawił – unosiłem się dumą niewczesną, choć wiedziałem, że nie całkiem to prawda, bo bez Marcela pomocy i bez pieniędzy, co je nam ojciec Eleonory dał, nic bym nie zdziałał albo niewiele w każdym razie.

Gdym tedy ze wzgórze na dolinę i na zamek patrzył, szczęśliwym się czułem i serce mi rosnęło. Plany i marzenia wielkie snułem, bom myślał, ile dokonać jeszcze można jeśli się tyle dokonało. Słowa ojca mego o odnowieniu znaczenia rodu i jego rozkwicie w pamięci mając,

o Eleonorze myślałem już niejako o kochance, ale jako o matce potomków mych, a na Atrtrox pani. Nie żałowałem też uczynku swego, bom pojął dobrze, że niebezpiecznymi być mogli w przyszłości, com ich ze świata za niegodziwość ich zgładził.

Aż przyszedł raz do mnie Wincent z rana i o posłuchanie prosił z miną zdecydowaną wielce. W kaftan się wystroił barwy dworskiej, który choć spłowiwały mocno, powagę misji wyraźnie podnieść miał. Nigdy Wincent ceregieli zbędnych nie czynił, tędym zdumiał się niepomału. Nie sługa to jeno był, a piastun mój przecie, jako się rzekło i ojca mego powiernik. Pojawszy że nie z byle czym przyszedł, krzesło mu wskazałem, co sprowadza go, pytając. On zaś wyjawiał, że ze służby o zwolnienie prosić przyszedł.

Tak to było, jakoby drzewo stare z ziemi korzenie swe wygrzebawszy, na nich w drogę się udać chciało. Przyczyny prośby swej wszelako nie chciał powiedzieć. Ruszyłem tedy głową i w takie ozwałem się słowa:

– Zawsze u mnie miejsce masz i nic nikomu do tego. Żony mej przyszłej obawiać się nie musisz, jeśli o to idzie. Jeśli zaś myślisz, że się niepotrzebnym staniesz, toś w błędzie – zapewniałem niecałkiem szczerze, chcąc go na duchu pokrzepić.

– Nic się tu nie zmieni. W Atrtrox człek zaufany mi potrzebny, bo my z początku przy najmniej, mało co doma siedzieć będziem.

– Nie żony ja się lękam – rzekł na to cicho – jeno takiej żony dla ciebie, to jest tej, a nie innej niewiasty. Nie wiesz ty kogo pod swój dach bierzesz i panią na Atrtrox czynisz.

– Znam ja bajki owe, coś je ojcu memu prawił – ubiegłem go, spodziewając się, że starą swą śpiewkę zacznie. – Nic mi nie powiesz nowego, czego bym od niej samej i z listu ojca mego nie znał. O rodzicu jej i gusłach rzekomych, które tenże czyni takż niejedno mi rzekł. Pomnisz?

– Jest jeszcze wszakże coś, czego nie wiesz, a o czym zmilczałbym najchętniej – odrzekł na to.

– A co? – zastanowił mnie ton głosu jego.

– Nie wszystko tak ze skonem ojca twego było, jakom ci pierwej mówił – jednym tchem z siebie wyrzucił. – O pewnej rzeczy mówić wtenczas nie chciałem, aleć widzę nie obędzie się bez tego. Wiedz tedy, że czując, iż ostatnia chwila niespodzianie nadejść może, po spowiednika posłał ojciec twój. Ten na podwieczorz przybył i zaraz ku niemu pospieszył.

Aleć nie za długo tam siedział. Ze dwa, trzy pacierze przeszły, gdy na łeb na szyję po schodach zleciał, kark łamiąc. Kopnąłem się zaraz na górę, o ile mi wiek i schody strome pozwoliły. Ojciec twój leżał nie w łożu, jeno bliżej środka na podłodze, jakby z łoża wywleczon, martwy. Łoże zaś przesunięte całkiem było. Króciąc w garści dźrzył pan nasz zaciśniętej kurczowo, a przerażenie miał w zgasłych źrenicach. Dymu trochę po komnacie się snuło i to wszystko. Widno na panewce proch się spalił.

Wiedzieć ci trzeba, że raz już przed laty podobna rzecz miejsce w komnacie pańskiej miała, jeno że wtedy strzał padł. Po strzale zaś samym krzyk się rozległ przeraźliwy. Gdyśmy z pachółkiem jednym pospieszyli na pomoc, spytałem do czego palił ojciec twój i przez co, najpierw nic rzecz nie chciał. Śladu po kuli nigdzie nie było. Dopiero, gdym sam z nim został pachółka odprawiwszy, rzekł mi, że panna z Fernquez, to jest Eleonora doń przyszła, by mu papiery wziąć, co w nich przestroga dla cię była. Potem rzekł, że dobrze je zabezpieczyć trza przed diabelstwem. Dlatego sądzić mi wypada, że i tym razem do niego przyszła, by w spowiedzi i grzechów odpuszczeniu przeszkodzić a papiery wydostać. Spowiednik strachem widno zdjęty biec chciał, aleć mu danym nie zostało, by życie ocalił po tym, co był ujrzał i usłyszał. Diabeł to sam był, któren dostać nie mogąc po co przybył, łożem zakręcił i z niego ojca twego wyrzucił, nic więcej uczynić nie mogąc. Widno pieczęć i różaniec, co nim papiery okręcone były, wielką moc miały.

Nie wiesz Jakubie nic, krom tego, co ci sama diablina z Fernquez rzeknie – prawid dalej. Jam słucał cierpliwie, jakim sobie wprzódy obiecał.

– Nie ludzie są to, jeno pomiot diabelski albo diabły wcielone – rozgadał się. – Trupami się żywią jak ghulle, we krwi ludzkiej pławia. Dawniej nie było dobrze pojedynczo, a z wieczora w Fernquez okolicy chadzać. Dziecięcia samego w domu i w dzień ostawić nie było bezpiecznie. Dziś w dalsze strony wyprawiają się na łowy. Potrafią oni w wielu miejscach na raz się pojawiać i rozmaite przybierać postacie. Oręza się nie boją zwykłego, bowiem bólu nie czują, a śmierci nie znają omal. Rany zaś, jeśliby je im kto zadał, za nic mają. Te bowiem, najsrozsze nawet zaleczyć potrafią bez śladu na ciele i bez szkody we wnętrzu. Toż jeśliby im rękę albo nogę uciąć, te odrosną na nowo, choć nie od razu.

Nieszczęściem są oni nie twoim i rodu twego jeno, ale okolicy całej od dawna i dla każdego, kto z nimi do czynienia ma. Zawróć Jakubie z drogi tej, póki za późno nie będzie. Bo wpierv duszę ci wezmą, a gdy niepotrzebnym się staniesz, wnet życia pozbawią. Na ojca twego parol zagięli i dopięli swego prawie, ale nie całkiem. Bo się ojciec twój w porę opamiętał i do małżonki swej wrócił. Za co oni mocą swą piekielną i sztuką urok nań rzucili, od którego szczęście go opuściło i ród cały – urwał, bo prędko gadał tchu mu brakło.

– Utrzymujesz tedy, że jedną z osób tych narzeczona ojca jest, czy tak? – spytałem podchwytliwie wielce, udając, i za dobrą monetę słowa jego przyjmuję i wiarę im daję.

– Jako żywo.

– Ileż tedy lat liczyć by sobie musiała? – pytałem dalej, z chytrości swej dumny.

– Nic dla niej wiek nie znaczy, bo diabelską się sztuką w każdą postać przemienić potrafi, com już rzekł i sekret nieśmiertelności posiadała. Z ciałem swym wszystko oni uczynić potrafią.

– Taaak? Dlaczegoż tedy nie odbudowała sobie drobiażdżku pewnego na mój użytek, kiedy tak wiele może? Nie wpatruj we mnie Wincent okrągłymi oczami jako sowa. Z innym bym tak i o rzeczach tych nie gadał, ale tobie powiem.

Odpowiedz mi tedy Wincent, jako człek bywały i świadom spraw, co się między niewiastą a mężem dzieją, co się pannie osobliwie cennym widzi tak, że bez tego omal zamęście niemożliwym jest? No co Wincent? Nie wiesz? Oto jest coś takiego, rzecz sama w sobie i funta kłaków nie warta, aleć wagę do niej przywiązuje się zgołą niepowszednią. Oto hymen, hymen ów, przegroda, która zawadą raczej we sprawie samej jest niżli czymkolwiek innym. To wiedz, że nie dziewicą była Eleonora, gdym ją po raz pierwszy brał. Co by jej szkodziło hymen nowy sprawić, skoro tak wiele może? Zapomnienie? Obaj wiemy, że nie. Oto dowód najlepszy, że bzdurą jest wszystko, coś o jej właściwościach rzekł. Wiedz, że diabelstwa nie ma w niej żadnego. Brednie plotą głupcy, a tyś się z nimi skumał.

Młoda to, piękna i posażna panna, że zalet innych nie powiem przez rozliczność ich. Ty zaś, miast się fortuny uśmiechem radować, na despekt jej czynisz i głupstwa wymyślasz, którymiś i za życia ojca mego karmił. Przez coś to czynił? Gwoli ojca mego zabawienia? Toż go tak bawił, że omal zmysły postradał i lepsze jeszcze rzeczy w liście mi zostawił niżli ty pleciesz. Opamiętaj się Wincent – dłonie mu na ramionach położyłem. – Powiem ci jak być mogło i zapomnijmy o tym.

Miała Eleonory matka siostrę bliźnią, z którą ojciec mój w zażyłości przez czas jakiś pozostawał. Wiem to z listu jego i z konterfektu, którego w domu u Eleonory widziałem. Do niej, jako i do matki swej Eleonora wielce podobną jest. Nie może wszakże nią samą być. Toż ciało ma gładkie, piękne, oddech świeży, a zęby równe białe i wszystkie, do kroćset. W moich lecich to panna, wierzaj. Wiem, że młodszą być powinna od męża swego niewiasta, aleć to niekoniecznie. Porzuć myśli złe o diabelstwie wrzekomym ludzi, którzy ci niczym nie zawinili.



Co się zaś palby tyczy dwukrotnej, za pierwszym razem do szczura pewnie palił, jeno przez imaginację powiększonego. Kula drasnawszy go, oknem wyleciała otwartym. Mogło i tak być, że wystrzał bliski szczura do imentu rozerwał, co bardzo prawdopodobnym jest wobec zwierzątka tego małości. Dlategoś go znaleźć nie mógł ani kuli, ani jej śladu, jeno mazi trochę, co szczura zezwłokiem w strzępy rozerwanym była. Drugim razem, już przed skonaniem, do widziadeł własnych palił. Potem w konwulsjach się szarpiąc, łoże nieco przesunął i sam z niego wypadł był na ziemię. Spowiednik pierzchnął, widoku męki jego znieść nie mogąc, lub króćcy, którą ojciec mój w rękę dzierżył i na wsze strony nią machał. Nadzieję mieć pozostaje, że absolucji wcześniej mu udzielił mnich ów tchórzliwy. Na wszelki wypadek wszakże dam za duszę ojca mego na mszy dziesięć. To starczyć powinno, zwłaszcza, że za grzechy i błędy żałował, i pokutował srodze. Taka prawda jest – słowami roztropnymi starałem się Wincentowi oczy otworzyć. To jednakowoż się powieść nie mogło. Widno zbyt długo sługa stary w głupstwie tkwił, bym go do rozumu przywieść potrafił. Gdy mi znów mamrotać począł, że „nie z człkiem to sprawa” pojąłem, iż myśl ta częścią jego umysłu się stała, sposobu tedy nie ma, by się jej pozbył. Dlatego i nie zatrzymywał go więcej. Odprawę mu sowitą obiecałem i pomoc wszelaką, jakiej by potrzebować mógł. On jednak nie odchodził. Z krzesła wstał i wyprostował się przede mną. Coś ważył jeszcze w myślach swoich. Na koniec tak mi rzekł, żem dech stracił, jakby mnie kto kułakiem pod żebra zdzielił. Rzekł mi coś, czegom się spodziewać nie mógł w myślach najgorszych, w marach sennych, w majakach najgłupszych i najbardziej ponurych. Dreszcz mię przechodzi na samo wspomnienie chwili tej okropnej. Wincent stary, widno mocno się z sobą samym nabarowawszy, słów jeno kilka wyrzekł, starannie jedno od drugiego oddzielając, bym lepiej treść ich pojął. Słowa te brzmiały: – „Nie jesteś ty Jakubie synem tej, którą za Matkę swą uważasz, to jest nieboszczki pani naszej na Atrtrox.”

Chwilę potem cisza trwała jak makiem zasiał. Bowiem na takie dictum nic odrzec nie mogłem. Najgorsza to była w życiu moim dotychczasowym chwila, bo gorsza od wszystkiego, czegom doznał.

– Syn pani naszej nieboszczki martwym się narodził i wraz z nią pochowany jest – dodał Wincent, litości dla mnie żadnej nie mając.

– Toż to nedorzecznosc wszystkie inne przechodząca – oponować próbowałem słabo. Wincent żadnej na to nie zwracał uwagi i dalej tak prawił:

– Wiedziała o tym jeno Margot moja i ja. Panu naszemu nic żeśmy nie rzekli, chcąc mu i tej jeszcze, dodatkowej zgryzoty oszczędzić. Księdzu, co egzekwie odprawił milczeć o tym przykazałem, a on racji mych wysłuchawszy, pod przysięgą i tajemnicą spowiedzi sekretu strzec obiecał. Ludzie może się i czegoś domyślali, a może nie, bośmy mamkę znaleźli i mleko od niej brali dla niepoznaki. Pana naszego długo utrzymywaliśmy w przekonaniu, żeś się przed czasem narodził i temu pokazać mu syna nie można by go z ciepłego zakrycia nie ruszać. Tak oszukiwaliśmy Pana, a i siebie po trosze też. Nie mieliśmy bowiem dzieci własnych i potomstwo pańskie naszą także radością stać się miało. Miesiące minęły trzy prawie i nie wiedzieliśmy, co czynić, bo się Pan nasz dopytywał o ciebie i niecierpliwił, a jam do kłamstwa nie był nawykły.

Plotłem mu tedy, co mi Margot pleść kazała, a to o tym, jakie łapki ma dziecina wymyślona, a to jak włoski jej rosną i oczka ma jakie.

Modliliśmy się o cud jakowyś, aleśmy nie mogli imaginować sobie jakiz by to cud być miał. Nawet to zamiarowaliśmy, by kupić dziecko jakie małe, lub przyjąć takie, któremu obydwój rodziciele zmarli. Ale gdzieby szukać dziecka takowego i małego na dodatek, nie wiedzieliśmy.

Aż zdarzył się cud dnia pewnego, to jest – w nocy jednej. Oto płacz dzieciny małej usłyszeliśmy z niedaleka dobiegający w środku nocy, ciemnej nad wyraz. Najsamprzód

myśleliśmy, że sen to, aleć we dwoje śnić jednego nie można, zresztą przebudziliśmy się na dobre od tego płaczu żałośliwego bardzo. Otworzyłem dźwierze i pod progiem samym zawiątko znalazłem. Tyś w nim był – krótko rzeknę – głodny, zmarznięty, ale cały i zdrowy. Wnet cię ogrzalim i odtąd nie wylewaliśmy już mleka, jeno niewiastę ową, co ci mamką była, sprowadziliśmy na dobre do Atrtrox. Zaraz jak się tylko dało Panu cię zaniósłem, a on uznał cię z radością wielką. Rozmyślaliśmy, jakim sposobem pod progiem naszym się znalazłeś i tego żeśmy doszli, że synem pobocznym Pana naszego jesteś, co bardzo być mogło. Z czasem jawnie pokazywać się zaczęło podobieństwie, któremu nikt o zdrowych zmysłach zaprzeczyć by nie mógł. Zrobiłeś się bowiem podobny do ojca swego, choć widać było, że postury jego i wzrostu nie zyszczesz, boś kości drobniejszej. Dlatego z radością tym większą na cię patrzył. Choćbyś zresztą i nie Pana naszego synem był i tak byśmy o tym nikomu nie rzekli, jako jego syna chowając. Kochaliśmy cię bowiem oboje – nosem siorbnął – jak własnego. – Albo bardziej, dodał pozastanawiawszy się trochę.

– Ale matką, matką mą, kto być może? – w garść się już wziąłem i chłodniej myśleć począłem.

– Ojciec twój romans miał – Wincent naraz rezon stracił. Smętnie na mnie popatrywał już to z obawą, już to ze wstydem. Może też wcześniejsze wyznanie sił go pozbawiło.

– Wiem o tym z testamentu jego. Ale ta akurat niewiasta, o której myśleć się zdajesz, żadną miarą matką mą być nie może – krzyknąłem zerwawszy się gwałtownie. To co Wincent na sam koniec zachował, znaczyłoby bowiem – gdyby prawdą było – że pomiędzy Eleonorą, a mną bliskie jest poprzez jej ciotkę pokrewieństwo. Wincent jeno głową pokiwał, chrząknął i nos rękawem otarłszy, rzecz chciał coś jeszcze, ale nie rzekł nic.

Wyszedł zaraz pospiesznie, jakby w obawie.

## XXVII

Ze dwa pacierze albo i więcej upłynęły, zanim do kupy zebrałem zdruzgotane zmysły. Domyśliłem się też, co Wincent rzecz chciał jeszcze, a co memu własnemu pozostawił konceptowi. Oto bowiem, jeśli sługa stary Eleonorę moją i ciotkę jej za jedną i tę samą poczytywał osobę, to ni mniej ni więcej, Matkę swą za narzeczoną miałem, podług niego. A to za jeszcze gorsze zło uznał, niżli mi się ono zdało. Takim istotnie byłoby, gdyby prawdą być mogły Wincenta słowa. Aleć przecie niemożnością, niedorzecznością być musiało wszystko, co plótł. Gdym zaś to sobie wszystko w głowie po kolei poustawiał, pomyślałem, że w żaden sposób mieć to dla mnie znaczenia nie może. Nawet jeśli nie był synem niewiasty, którą do tej pory za Matkę swą uważałem, jeno ojca mego kochanki, a tym samym Eleonory bratem przyrodnim, to dopóki nikt o tym nie wiedział, mogłem i ja nic o tym nie wiedzieć. Gdyby zaś nawet prawda na jaw wyszła, o dyspensę bym się postarał, bom o takich przypadkach nie tylko słyszał, alem nawet poznał młodzieńca jednego, który z siostrą przyrodnią był ożeniony. Przede wszystkim zaś zbadać sprawę bliżej postanowiłem przez otworzenie grobu w kaplicy zamkowej, gdzie Matka moja – jak ją wciąż zwałem – spoczywała. Jeśli bowiem dziecię nowo narodzone z nią pochowano, to pozostał po dziecinie tej ślad jakowyś, choćby kostek kilka.

– Toż nie mogły się całkiem w niwecz obrócić kostki, nawet najdrobniejsze – myślałem.

Z Wincentem o tym więcej nie gadaliśmy, bom nie chciał tykać bolączki i bałem się, prawdę rzekłszy, do sprawy powracać. Potem już sposobności ku temu nie stało, bo zmarł był Wincent niespodziewanie, o czym osobno wspomnieć mi wypadnie, jeno wprzód o swojej sprawie dokończę, bowiem bliższa ciału koszula. Oto po namyśle uznałem, że prawda jakąkolwiek by była, nie zmieni niczego. Cokolwiek by się potem pokazać miało, nie mogło od-

mienić intencji mych. Wolałem tedy tymczasem nie robić z tym nic, żyć i czynić jak dotychczas, jakby się całkiem nic nie stało. Nie widziałem też, lub widzieć nie chciałem przyczyny dobrej ku temu, by sobie żywot współcześnie utrudniać poprzez w przeszłości grzebanie.

Znaleźli Wincenta we dni parę ludzie koło chałupy, którą ongiś wraz z żoną swą zajmował. Umyślił sobie staruszek tam właśnie dni swe ostatnie spędzić i rażno za robotę się wziął przy domu mocno zapuszczonym. Chciałem mu – ochłonawszy po tym, czym mnie uraczył – człeka dać do pomocy, ale odmówił. On musiał sam wszystko własnymi zrobić rękami i wielki ku temu okazywał zapał.

Dnia rzonego upał panował okrutny. Wincenc kamienie z pola zwoził, wózek mały ciągnąc. Widno od żaru padł, głowę odsłoniętą, a łysą na słońce niebacznie wystawiając. Żał mi go było, żał prawdziwie, boć on mi ojca – gdym mały był – zastępował. Dziś wszakże myślę, że się mógł Wincenc przeszkodą do zaślubin stać. Dlatego zginął. Myślę też, że i Marcel z tego samego zginął powodu. Wiele on bowiem od Wincenta słyszeć mógł, a swoje też widział i w głowie ważył. Gdyby tedy we dwóch wystąpili i przed ołtarzem racje swe rzekli, do zaślubin by nie doszło. Zaś, o tym, co by później się działo i myśleć nie chcę.

W tychże jakoś dniach wieść mi przyniesiono, że i pan de Mantur żywot swój zakończył. Pomyślałem, że to z alteracji po śmierci kawalera de Pugh stać się mogło, alem o to nie dbał, czym innym głowę zajęta mając. Powiedziałbym nawet, że coś na kształt zadowolenia poczuł, gdyż oto nie stało ostatniego człeka, którego by przeciw zamiarom mym bruździć się silił i w materii tej cokolwiek wskórać był zdolny.

Doszło też do mnie, jeno później nieco, a czegom wcześniej nie wiedział, że panna owa gładka w bieliźnie samej, com ją zaszlachtował, gdy za pieskiem po trawniku leciała, córką pana de Mantur była. Znaczyć by to miało, że nie był mu raczej synem naturalnym kawaler Pugh, jeno protegowanym, a córki jego epuzerem, którego on zięciem swym uczynić zamierował. Cios więc, który pana de Mantur był spotkał, niejako podwójnym się okazał, temu go tenże i nie zdzierzył.

Gdybym wtenczas poskładał wszystko com już wiedział, może bym zmienił niejedno i bieg zdarzeń starał się odwrócić. Mógłbym bowiem i tego się domyśleć, że Eleonora za wszystkim stała, to jest za Marcela, kawalera de Pugh i panny owej śmiercią, także Wincenta i pana de Mantur jako wszystkich, którzy po drodze jej do celu wiadomego na despekt mogli czynić. Dziś tako myślę, że pamiętna potyczka, w której Marcel padł, jej była dziełem i choć dowodów ku temu nijakich nie mam, wiele na to wskazuje. Marcel bowiem, co niechętnym jej był, gardło dał. Im więcej zaś myślę, tym bardziej pewny jestem, że ona to sama, a nie kto inny tchawicę mu przerznięła. Uczyniła to już po bitwie całej, jak łotrzyków niedobitki pierzchły, a jam bez przytomności leżał. W bitwie przecie nie ma kiedy rannych dobijać, dość roboty z żywymi mając. Po bitwie zaś niektórzy tak czynią i trupy obdzierają, choć wstrętny to proceder. Możliwym więc jest, że Marcel półżywy, poturbowany mocno, poruszyć się i obronić niezdolen, dychał jeszcze, kiedy Eleonora sztylecikiem swym na dobre życia go pozbawiła.

Cudacznym a podejrzanym mocno takóże mi się widzi to, że mnie przygoda większa ominęła i na zdrowiu szwank. Bo niewiele mi się dostało i przypadkiem jeno, a mogło więcej znacznie i gorzej. Ona sama zasię, to jest Eleonora, żadnego uszczerbku na ciele swym nie odniosła. Psów wtenczas nie wzięła, by one zawczasu gromady zatajonej we krzaczach nie zwietrzyły i by się zasadzka nie wydała, zanim w niej jako ryby w matni się nie znajdziemy. Nie zaś przez to, by się Marcela koń nie płoszył, jakem myślał pierwiej.

Sprawę samą umyśliła zawczasu, by mnie niby przeciwko kawalerowi Pugh skierować, a po prawdzie przeciwko pannie owej, którą mi ojciec mój w testamencie swym zalecał. Nie

o kawalera Pugh jej szło – powtarzam, jeno o pannę, która rywalką jej stać się mogła. Ludzi nając, co by napaść taką skutecznili, mała dziś sztuka. Mniejszą jeszcze sakiewkę bądź jaką sprokurować, a haftem stosownym ozdobić, iżby ją za cudzą podać.

Prawdą tedy jest jako mi sama rzekła, gdyśmy razem odwet planowali, że żywcem oni mieli rozkaz nas brać i temu nie całkiem dobrze stawali, nie będąc przygotowanymi na żaden opór, nie wiedząc, kogo pojmać im kazano. Oszukanymi zostali zapewne przez tego, kto ich zgodził. Marcel bowiem i ja nie chwałąc się, za pierwszych w regimencie uchodziliśmy rębajłów. Nie ważyliby się na nas oni ręki podnieść, gdyby wiedzieli, że bronić się i jak bronić się będziem. Aleć i to prawdą jest, że nec Hercules contra plures, tedy gdyby ubić nas mieli, ubiliby wszystkich, na nic nie czekając, od razu kupą skoczywszy, w politykę żadną się nie bawiąc. I męstwo nasze na nic by się zdało. A wyszło, co innego całkiem, czego spodziewać się nie mogli. Oto z początku bronić się im przyszło przed tymi, których usidlić mieli, to jest przed Marcelem i przede mną. I nijak im zrazu było na dukcie wąskim z przewagi swej liczebnej skorzystać. Gdy zaś do matu wielkiego doszło i do bitwy prawdziwej, niemożliwym się już stało by nas w niewolę wziąć. Tym bardziej, gdy herszt był poległ od Eleonory strzału i komendy żadnej, ni kontroli nikt nad łotrzykami nie sprawował.

Z nich samych ni jeden żywym nie ostał, tedy nie było sposobu by się tego wywiedzieć. I o to też jej szło, by świadków, co do jednego wygubić. A jak już się dokonało, co się miało dokonać, ja sam całkiem powolnie obrócić się pozwoliłem przeciw tym, których mi wskazała, omamiwszy pierwiej.

I to jej przyznać muszę, że wielce przemyślnie wszystko uczyniła, rozumem swym przebiegłym, a złym w przód daleko wybiegającym. I nie potrzebowała do tego żadnej sztuki czarnoksiężskiej.

Tak myślę teraz. Czy się mylę, czyli też nie, nie wiem tego. Ale mi po głowie chodzi, że za dużo się przypadków zebrało, by przypadkami prawdziwymi być mogły.

\* \* \*

Wróciłem raz do Atrtrox z wieczora i miejsca sobie znaleźć nie mogłem, z kąta w kąt się tłuąc. Eleonory nie widywałem od trzech dni i samotnym się czułem. Gdym wszakże wina się napił z nudów, do stajni nogi mnie same zaniósł. Tam Skoczek mój podrzemując stał. Osiodłałem go i pogałem przez ścierniska do Fernquez. Niezapowiedziany byłem, ba, więcej nawet, bo tak z Eleonorą ustalone miałem, że w miesiącu przez dni pięć nie spotykaliśmy się wcale. Myślałem, że przez słabość jej niewieścią to na mnie wymogła i całkiem zwyczajną mi się zdała wola taka. Tym wszakże razem pomyślałem, że nie za długo mężem i żoną nam się stać przyjdzie i wtenczas już nie tak całkiem unikać mnie będzie mogła w stanie tym niewygodnym wielce. Wytlumaczeniem mi była myśl ta, bom po prawdzie nigdy nie lubił niespodziewanie się zjawiać, gdziekolwiek by to było. Rzeka nisko stała, w strumień szerszy po suszy letniej zamieniona. Nie musiałem tedy do mostu drogi nakładać, ni brodu szukać, wprost ją przejechałem, pęciny jeno koniowi mocząc. Przez furtę boczną do miasta się dostałem łatwo, strażników bramnych ze snu smacznego wyrwać nie chcąc. Wspominałem już, że żadne to były mury i stráže żadne, jako że się nigdy Fernquez w niebezpieczeństwie nie znalazło. Aleć przecie były i prędko by je można opatrzyć gdyby potrzeba taka zasza. Dotarłem na rynek bez przeszkód. Raz tylko omal pomyje wylewane albo i co inne, omal na głowę mi nie spadło, alem w porę trzask otwieranego okna usłyszał i kąpieli mała wonnej uniknąć zdołał. Przed Eleonory domem zatrzymałem konia. W komnatce jej światło się paliło słabe. Nie wiedząc po prawdzie, po com przybył nocną porą, a niepokoić nikogo nie chcąc bezpotrzebnie, zawrócić do Atrtrox już miałem, gdym ujrzał coś, co mi włosy na głowie z gniewu uniosło. Oto w oknie Eleonory cień jej ujrzałem, obok zaś inny zbyt blisko.

Dodawac nie muszę, że nie był to służki cień. Ot męża to postać była jakowegoś, ale nie jej ojca, wprost rzeknę.

Krótko widok ten trwał, bo zaraz głos się rontu nocne go rozległ, by światła gasić. Świeca zgasła albo zasłoniła Eleonora okno. Zatrzęsło mną i do dźwierzy się rzuciłem, waląc a burząc co siły. Zaraz mi otworzył sługa zaspany. Jam go przewrócił i na górę popędził, obiecując sobie z galanta sieczkę uczynić. Pewny byłem, że Eleonorę na niewierności przyłapał.

– Gdzie on jest i kto to jest? – spytałem groźnie, gdy w drzwiach stanęła, jakby wstępu dalej mi broniąc.

– Kogo na myśli masz?

– Widziałem...

– Cóżżeś widział?

– Mąż jakowyś przed chwilą tu był.

– A był. No i co?

– Jak to? – głos mi z wściekłości w gardle zamarł na przewrotność tak jawną.

– Chodź za mną – pociągnęła mnie za sobą. W głębi, dalej komnatka mała była, gdzie człek jakiś dość stary, kaftan właśnie zdejmował i starannie na krzesło go wieszał. Tak spokojnie to czynił, jakby go łomotania moje nic nie obeszły. Harcap miał taki, jakim na cieniu z profilu widział i którym zapamiętał dobrze.

– Oto stryju, narzeczony mój pan Jakub Maria d’Atrtrox – krzyknęła mu prosto w ucho Eleonora, po czym zmiarkowałem, że mąż ów głuchy jak pień być musi. – A to Jakubie – krzyczała dalej z rozpędu zapewne – stryj mój, to jest ojca mego brat, którego dziś do Fernquez przybył, by na ślubie naszym być. Jegoś to w oknie ujrzał, gdy mi dobrej nocy życzył – dodała już ciszej.

– Pora to dziwna na odwiedziny – rzekł mąż ów głosem cokolwiek skrzekliwym. – Aleć tak bywa z młodymi, że z nocy dzień a z dnia noc niekiedy czynią. Znam, znam. Sam młody byłem, pamiętam.

– Dobranoc stryjaszku – krzyknęła znów Eleonora głosem wielkim, przerywając wywód, do którego się jegomość ten już gotował. Jak mi się zrobiło, nie powiem. Za jedno głupio mi było okrutnie, i wstyd. Ale i szczęśliwy był, że tak się skończyło. Eleonora patrzyła na mnie wzrokiem litosiernym, gdym ją o wybaczenie poprosił. Śmiała się ze mnie, ale jeno po oczach to poznał, twarz jej bowiem nieprzenikniony wyraz miała. Wróciłem zaraz do Atrtrox, skruszony, nie wiedząc że to, com widział po części, niezadługo jako całość objawione mi zostanie.

## XXVIII

Stało się tak na koniec, że nie pytając o zgodę nikogo grób Matki mej otworzył. Pierwej permisję wyjednać zamiarowałem, ale się doczekać nie mógł na przychylność katabasa jednego, purpurata, co jeno w sepet mi patrzył, gdym go o zamiarze mym powiadomił, przyczynę zataiwszy. Rzekłem mu, że do godniejszego miejsca spoczynku wiecznego Mac mą przenieść zamiaruję.

– Nie ode mnie to zależy – odrzekł. – Czyli minęło wiosen trzydzieści i pięć, a niedziel siedem od skonu?

– Gdzie zaś – odrzekłem. – Dwadzieścia i trzy będzie niedługo.

– Grzechem jest wielkim groby otwierać tak młode. Kościół zabrania niekiedy ruszać i takie, którym pięćdziesiąt roków nie staje. Czyliś gdzie jeszcze wyżej mnie prośby swe niewczesne obrócił? – spytał chytrze.

Wspomniałem półgębkiem o kardynale de Foissy, ojca mego dawnym spowiedniku. Zasepił się na to, widno trwogi pełen. Znanym był bowiem de Foissy ze srogości. Alem i ja swoją kalkulację miał. Wyszło mi bowiem, że tym więcej kosztować mnie może sprawa cała, im więcej osób wiedzieć o niej będzie. A sprawę swoją przeprowadzić gotów byłem nieodwołalnie. Co inne tedy wybrałem i nie temu tylko, że tańszym mi się zdało. Oto zbyt człeczny i zbyt mało purpurowy zdał mi się purpurat ten. Za tłusty i za masny na męża świątobliwego mi się zdał. I choć świętość wielką w gębie nosił, nie było świętości nijakiej na gębie jego i na postaci całej. Tedy o kardynale de Fouissy wspomniał nie po to, by się na protekcję jego powołać. Chciałem – nie mogąc z nim ułatwić nic – sprawić, by mi przynajmniej wstrętów nie czynił, gdy ja po swojemu postępować będę. Nie potrzebowałem już zgody niczyjej. Ot co. Ale Bóg mi świadkiem, że takową uzyskać się silił. Tedy nie pytał go o nic więcej, jeno poszedł precz. On został i – jak tuszę – zawiedzionym się poczuł. Bo to wiem, że uzyskałbym permisję od niego, jeno prosić i płacić więcej bym musiał. Zaczem przemyślawszy raz jeszcze rzecz całą, doszedłem, że nie w tym rzecz, iżby się jak muchy do miodu zlecieli com ich nie prosił, a w tym, bym doszedł swego choćby i niekoniecznie z prawem zgodnym być to mogło.

Dlatego też otworzyłem grób Matki mej samo jeden, bez pomocników nijakich i bez zezwoleń ludzi, którzy po prawdzie sprawie tej nijakiego pożytku przynieść nie mogli, a zaszkodzić wielce. Nie wiedziałem przecie, co się po otwarciu okaże. Aleć jakoś wcześniej nie myślałem o tym, tedy dobrze się stało, że purpurat ów permisji mi swej odmówił.

Matka ma w trumnie spoczywała, z dłońmi przykładnie na piersi skrzyżowanymi. Szkaplerzyk w nich miała i różańcem dłonie jej okręcone były. Ciało jej wyschnięte było całkiem, przez co nie szkielet jeno w grobie tym spoczywał. Rysy twarzy jej dość jeszcze widoczne były, skórą szarą, niby popiołem posypaną obciążniętą. Ubrana była godnie i bogato dosyć. Nie były tedy zwłoki Matki mej – z tego com widział – mocno czasem naruszone. Powiadali z dawna, że kaplica nasza na takim stała gruncie, iż nie psuły się ciała do grobów w niej złożone. Czyli to miejsca była zasługa, czyli czego innego – nie wiem. Alem widział teraz, że prawdą to jest. Nie to wszakże istotnym dla sprawy było i nie po to, by tego akurat dowieść, spokój Matki mej ośmieliłem się zakłócić.

Oto w zagłębieniu między głową a barkiem jej położony jakby tłumoczek mały był. Nie było znać, co w nim zawinięte być może, alem się domyślił. Miałem tedy przed sobą ostatniego prawego dziedzica na Atrtrox szczątki, brata mego przyrodniego. Szmatki rozkrywszy, w które był spowity, bez wątpienia tego dowiodłem. Trupek w nich był bowiem maleńki, skulony a wysuszony na wiór, nie za bardzo do człeka podobny, a to przez ową małość swą. Zakryłem zaraz grób ten, modlitwę stosowną odmówiwszy. Głowę myśli pełną miałem i niewesołych. Alem przecie do tej jednej wrócił, com ją już wcześniej podjął, że nikomu prawda odkryta służyć nie może, tedy i przyczyny nie ma, by ją światu objawiać. Nie było i przyczyny po temu, bym od intencji swych względem Eleonory odstąpił. A gdyby były i takie, nie uczyniłbym tego. Powiem więcej. Oto gdyby nawet głupstwa Wincentowe o tym, że matką mą Eleonora jest prawdą być mogły, też bym niczego nie zmienił. Aleć one prawdą być nie mogły. NIE MOGŁY! I nie były. Pomieszał był sługa stary prawdę z łgarstwem nie wiem czyli zamierzonym. Nie wiem po prawdzie, dlaczegom o tym myślał. Myśl ta uparcie wracała, choć ją za głupią uznał wiele razy. A może przez to właśnie? Jest bowiem tak, że głupstwo dręczące trudno z głowy wyrzucić. Aleć przeszło i to, choć nie od razu. We dni parę mularzy wezwałem do grobu ruszonego naprawy. Płytę grzeczną wstawić tam kazałem w miejsce starej. Napis na niej wielce ozdobny ryc poleciłem, com go sam wymyślił ku nieboszczki czci. Pisać go tu i nie zamiaruję, bo kto ciekawy na grobie przeczytać go może. Na

mszy dziesięć też dałem, by sumienie uspokoić, com go nie posądzał, że postępek grzeszny wypominać mi będzie.

Wielem o tym potem myślał, com uczynił gwoli prawdy dowiedzenia i omal żałowałem tego, gdyż lżej byłoby mi pewnie w nieświadomości żyć. Alem wiedział, że się tak stać nie mogło, to jest, że raz się o sprawie dowiedziawszy, lub chociaż podejrzenie powziąwszy, co do tego, kim jestem, prawdy dojść musiałem. I na nic były męki duszebne, którem potem cierpiał, bo takież i cierpiałbym, gdybym grobu nie otworzył. Inne by to męki były wtedy, ale byłyby bez wątpienia. Może i sroższe jeszcze, bo z niepewności wylęgte? Zastanawiałem się wiele razy, co by się stało, gdyby się ludzie zwiedzieli a krewniaci moi przede wszystkim, żem bastarodem jest – prawdę rzekłszy. Toż by dopiero uciechę mieli. Ależ zakotłowałaoby się wokół Atrtrox. Rzuciliby się jak sępy na padlinę, by i z tej resztki ojcowizny mnie wyzuć. Wolałbym, co prawda, tego, co mi Wincent rzekł, całkiem nie wiedzieć. Ale stało się jak się stało. Tak widać być musiało i basta. Gdy mi zaś złość przeszła, wdzięczność wielką dla Niego i żony jego poczułem, bom też i wdzięczny miał być za co. Miałem też coś na kształt uciechy ponurej, że się krewniakom moim ten ostatni kąsek nie dostał przez losu dziwne zrządzenie. A poza wszystkim dumę osobliwą czułem, żem tajemnicy ważnej jedynym panem jest, jakby mi to wyższość nad innymi dawało. Nie wiem, przez co takie myśli miałem, bo po prawdzie powód do dumy żaden to był. Pewnie we własnych oczach podnieść się chciałem i mniemanie o sobie podbudować po tym, jak się mi oczywistym stało, żem z nieprawego łoża i z matki zgoła nieznannej. Toż pewności żadnej nie było, kto matką mą jest. Zawždy bowiem tak czyniłem odkąd baczę, żem porażkę poniósłszy, lepszych się myśli imał zaraz ku własnemu pokrzepieniu. Rzeknę nawet, żem nie całkiem świadomie tak czynił, ale że samo mi się tak działo. Jakby umysł mój przed złem, smutkiem, zgryzotą się bronił i przed lękiem. Lęki bowiem w dziecięctwie trapiły mnie niekiedy a niejasne. Może przez to one były, żem domu po prawdzie i Matki swej prawdziwej nie zaznał? A może przez co inne? A trapiły mnie one nie w dziecięctwie jeno, ale i żrzałym mężem będącego.

Zaś teraz, gdym już ochłonał po tym wszystkim com opisał, ustąpiły całkiem. Wykoncypowałem sobie tedy, że jeśli z podrzutka na dziedzica podupadłej, ale jednak fortuny i nadal sławnego nazwiska wyniesiony zostałem, jeśli w czasie najbliższym małżonkiem pięknej, bogatej i ukochanej niewiasty zostać mi przyjdzie, to oznacza, iż pod specjalnym Opatrzności dozorem pozostaję i osobliwą teźże przychylnością tylko cieszyć mi się wypada, a dziękować jej za wszystkie dobra, których mi nie skąpiła. Tak myślałem wtenczas. Bo mogło przecie zdarzyć się i tak, że nie przyjąłby Wincent podrzutka, albo że inaczej byłby z nim postąpił. Wtenczas nie tym bym się stał, kim się stałem, o ile bym przeżył. Dlatego dobrej był myśli i co do przyszłych mych losów. – Jeśli od tak srogich terminów ocalała mnie Opatrzność i przez życie wiodła – myślałem, tedy nie opuści mnie i w przyszłości. Po cóż bowiem ratować by mnie było, by pograćzyć potem?

Prawdą wszakże jest co mówią, że nie godzi się wyroków Boskich rozpatrywać i rozważać. Przekonać się o tym miałem i ja, a ponad wszelkie wyobrażenie boleśnie.

\* \* \*

Dobiegam powoli kresu opowieści swej. Oto bowiem dzień zaślubin nastał.

Przywdziałem na się strój ciemny, białą ozdobiwszy go kryzą i mankietami z koronek, innych ozdób niechając. Jeno przez pierś przewiesiłem szarfę, na której Sokół Walczący zawieszony był. Nie jam go otrzymał, jeno ojciec mój, aleć po śmierci jego należał się mi, jako z rodu najstarszemu i jedynemu. Dlatego dumnie na odbicie swe patrzył w zwierciadle. Ojciec mój przed oczami mi stanął, wszakże nie ten, któren na łożu bez sił leżał a ten, któren komendy wydawał i z ludzi wiernych garścią osłaniał przed szarżą ciężkiej konnicy

niesławny odwrót obcego monarchy. Wierny do końca, jeśli nie władcom wiarołomnym, to swej odwadze, godności, honorowi i sławie. Głupi w wierności tej – wiem. Ale na jego będąc miejscu tak samo bym czynił, a i dziś nie inaczej bym postąpił.

Zaślubiny bez przeszkód się nijakich odbyły. Niebo łaskawym było i pogoda jaka się rzadko w oktobrzu u nas trafia. Eleonora w sukni takiej wystąpiła, żem się tłumom nie dziwił, co na ślub nasz przyszły. Kolię też miała na sobie ową z brylantów czarnych w złoto oprawnych, i takież diadem.

Aleć nie jeno dla oczów napasienia przybyli licznie. Ojciec jej na rynku stoły poustawiać kazał z jadłem wszelakim i trunkami rozlicznymi, bogactwu swemu, ale i szczodrości, a gościnności dając wyraz. Jako i wzniosły się zaraz okrzyki na cześć Eleonory, moją i fundatora fety całej, to jest wybranki mej rodzica. Szczerze zaś brzmiały o tyle, o ile szczerą ochota, by brzuchy napełnić była. Zaraz też do stołów plebs się pokwapił. My zaś do ratusza przy kapeli dźwiękach udaliśmy się wraz z gośćmi znamienitszymi, co niektórzy z dalekich stron przybyli. Nie spodziewałem się ja, że tak liczną familię, tylu przyjaciół ma i bliskich Eleonora. Przyznam, żem się nieco osamotnionym czułem w tym tłumie życzliwych i życzliwość udających, podchodzących z kielichy się trącać, słów choć kilka zamienić, szczęścia i pomyślności życzyć.

Siedzieliśmy obok siebie Eleonora i ja. Mało – po prawdzie – na nią patrząc, bom z gośćmi do stołu naszego podchodzącymi gawędził, znajdowałem ją przecie piękną jak nigdy, a ona nie tylko piękną była, ale i dostojną wielce. Słyszałem szelest jej koronek i dłonie widziałem kątem oka, które przy sukni białej ciemniejszymi jeszcze niżli zazwyczaj mi się zdały, co wszakże nie szkodziło mi wcale. Osobliwością natomiast wydało mi się, że wszyscy omal biesiadnicy podobni sobie w jakiś sposób są. Co jednak podobne w nich było, nie powiem, bo nie jeno o fizjonomię mi chodzi i postawę, a o ruchy może? Nie wiem. Radość zaś czułem nade wszystko wielką. Oto się ziściło wszystko, o com zabiegał, razem fortunnie nad wyraz się zbiegłszy. W osobie Eleonory bowiem nie jeno żonę zyskałem, a życia towarzyszkę, co nie zawsze w parze chodzi. Splendor zaś i starożytność rodu mego z jej łącząc zamożnością, osiągnąć wiele mogłem i zamierzałem. O tym wszystkim myślałem wówczas, a oni podchodzili jeden po drugim, pokłonić się i odejść, by miejsce następnym i następnym zrobić. Trwało to już dość długo, gdyż niejedną całą wygłaszał orację. Wciąż nowi napływali weselnicy zaproszeni i tacy, co wprosilili się sami. Na koniec musiałem od stołu wstać i na stronę za potrzebą iść, wina sporo wypiwszy. Wracając przez korytarz pusty, drzwiczki uchylone niewielkie po prawej stronie i ujrzałem. Nie widziałem ich pierwej, spiesząc się nieco. Teraz wszakże zaciekały mnie drzwiczki te. Cicho tu było całkiem, spokojnie, bezludnie. Gwar i muzyka słabo docierały z sali biesiadnej. Zagłębiłem się w korytarz wąski za tymi drzwiami w dół idący. Tam w ciemność choć oko wykolezłem pewnie, jakby mnie wiódł ktoś drogi świadom. Nie wiedziałem, po co idę i dokąd. Chodnik w dół i w dół prowadził. Mnie zaś coś do przodu pchało dalej i dalej. Naraz korytarz ów szerszym się stał.

Woń też mię zaleciała, której zapomnieć nie można. Była to bowiem z pobojożenstwa woń dobrze mi znana, smród śmierci mianowicie. Poszedłem jeszcze kroków parę. Wokół poświata się czerwona sączyła źródło swe mająca za muru załomkiem. Cofnąć się chciałem, lęku przyplątł czując. Broni nie miałem przy boku. Nie wiedząc tedy, co dalej napotkam rozumniej mi się zdało w kompanii liczniejszej tu powrócić. Ale poszedłem dalej sam, losowi swemu naprzeciw. Musiałem iść nie z ciekawości i nie jeno dlatego, że ojciec mój nie cofnąłby się nigdy. Musiałem. Za załomem salka spora była ze stołem jakby, pośrodku jej stojącym. Przy stole tym, do mnie tyłem zwróconą postać niewieściami ujrzałem. Postać ta, choć niecałkiem wyraźna w półmroku krwawym, znajomą mi się zdała. Na stole zaś spoczywało coś, w czym zwłoki nagie kobiety rozpoznałem z głową odciętą. Od niewiasty stojącej do



zwłok tych pasma jasne biegły, albo smugi niby muślinu taśmy, ale rzadsze jeszcze, jakoby z dymu uczynione. Taśmy te, czyli raczej smugi, zdawały się żywymi być tworam, choć wiem, że brzmi to całkiem nedorzecznie. Alem tak to wtedy, w chwili krótkiej postrzegął. Na czym by jednak owa żywość ich polegać miała, dociec nie umiem i dziś. Nieruchomie rozpości-erały się smugi białawe między trupem a postacią nad nim stojącą, jeno w nich samych drgało coś, zmieniało się w ich wnętrzu. Ale to może światło drgające pozór taki dawało. Najgrubsza zaś z nich, to jest z linii tych od głowy żywej do martwej, albo na odwrót szła.

A tęższa była nad męża tęgiego ramię. Ona też drgała najsilniej wewnętrznym jakowymś drzeniem. Naraz z niewiasty wyłaniać się poczęły osoby inne w ilości pięciu. Wychodziły z niej całej niby opar albo mgła jakaś, barwą i rzadkością do owych smug podobne. Najpierw stały blisko jakby się tuląc do siebie lub o się wspierając i obejmując, wiotkie bowiem były. Potem krzepły i oddzielały się całkiem od osoby pierwszej, z której początek swój brały, łącząc ze zwłokami leżącymi, takim sposobem jak postać, z której wyszły. Był to ojciec, stryj, com go nocy pamiętnej poznał i kuzyn Eleonory, rzekomo przed kilkoma dniami przybyli. Czwartą, kto był, nie wiedziałem, aleć ta postać zarówno niewieścią, jak i męską mi się zdała i człowieczą, a zwierzęcą zarazem. Otaczała ją jakby światłość, ale czarna, o ile światłość czarną być może. Piątą z postaci byłem ja sam! Na widok ten okrzyku wstrętu, zdumienia i strachu nie potrafiłem stłumić. Niewiasta, co tyłem do mnie stała, obróciła się ku mnie i poznałem, dlaczego znajomą mi się wydała jej postać. Eleonora to bowiem była, choć mocno zmieniona. Nie miałem wszakże czasu nad odmianą się dziwować. Bowiem pękły, zerwały się, opadły i zniknęły połączenia owe mgliste, jakby ich nigdy nie było. Oni zaś szli na mnie teraz wszyscy ze szponami wyciągniętymi miast dłoni. Twarze ich w paszcze srogie przemienione kłapały zębami, nozdrza rozwarłe zdawały się krew wietrzyć, oczy płonęły. Gdybym teraz bieząc zaczął, wnet by mnie dopadli. Alem ja pomiędzy nich skoczył, w sam ich środek. Wpodle stołu się znalazłem, na którym trup leżał. Tego głowę za włosy długie porwawszy, kręcić nią młyńce jałem niczym rohatyną wstrętną a straszliwą, albo jaką iście diabelską maczugą. Oni osłaniać się silili przed ciosami, zastawiając szponiastymi dłońmi. Ich ruchy sztywne i niezdarne były, być może przez modlitwę com ją głośno, a nie całkiem składnie i słowa myląc powtarzał. Zdawało mi się oto, że imię Pańskie ich krępuje i siły pozbawia. Mogło też być, że przez nagłe nici mglistych przerwanie sił jeszcze nie nabrali. Alem o tym wtenczas ani myślał. Wyrwałem się i biegłem, za sobą sapanie czując i rżenie, a stóp tupot. Oni zaś nie za długo mnie ścigali. Gdym jeno drzwiczek dopadł i z podziemi się wy dostał, jużem ich nie sły szał. Zostali tam, w dole, w piwnicy swej, co pewnikiem przed-sionkiem piekła była. Powietrzem czystym odurzony, po smrodzie podziemi biegłem dalej bez tchu, zataczając się jak pijany. Ażem się wobec gości w sali weselnej oparł, trofeum swe, czyli trupa głowę krzepko w garści dierzając. Cisza się stała nagle taka, że sły szać było pochodni skwierczenie i kapanie świec z kandelabru zawieszzonego pod stropem. W ciszy tej wrzeszczyć począłem o tym, com widział w lochach. Naraz wszystko z siebie wyrzucić chciałem i temu niezrozumiałym całkiem wrzask mój był.

Eleonora wraz z ojcem swym, wujem i kuzynami dwoma za stołem siedziała. Sztylety ich wzroku nie mogły mnie powstrzymać. Nagle oczywistym mi się stało, że wszystko, przed czym ostrzegali mnie bliscy moi, prawdą jest. I nieważne było, skąd się monstrum takowe wzięło. Czyli z południa w wiekach dawnych przylazło, czyli aniołów upadłych było pomio-tem, czyli też ludu jakowegoś czarnoksięskiego ostatkami. Dość, że było i mnie w swoje omal schwyciło szpony za narzędzie ślepe, albo za niewolnika powolnego we wszystkim mając.

Halabardę ze ściany porwawszy, siekłem nią bez litości. Kuzyn Eleonory próżno silił się osłonić. Dłoń jego odcięta pomiędzy półmiski wpadła, jam zaś na stół skoczył, by dla zamachu więcej miejsca zyskać. Ojca jej ściałem gładko i kuzyna drugiego, nim się kto ruszyć

zdołał. Zaczem grot ponad kolię brylantową mierząc, w szyję Eleonory skierowałem i pchnąłem, zawahawszy się jeno przez oka jedno mgnienie. W chwili tej okropnej Eleonora wpatrywała się we mnie ze spokojem albo z drwiną, a nawet z tryumfem, którego wszakże pojąć ani mogłem, ani czasu ku temu nie miałem. Pogarda też w jej oczach była. Albo tak mi się jeno widziało. Trysnęła krew na suknię białą, na stół, na wszystko a z impetem jakiego bym się nigdy nie spodziewał. Jam siekł wokół, na nic nie bacząc, bo oto walił się mój świat, wszystko com kochał i czegom pragnął w niwecz się obracało w chwili, co najbardziej radosną a fortunną być mi miała. Tłum ocknąwszy się, za stoły i ławy schwycił i pod osłoną sprzętów jako tarcz, napierał blisko, schwytać mnie usiłując. O nic nie dbając i nic nie mając do stracenia, chcąc jeno zniszczyć jak najwięcej, sięgłem w górę i hakiem halabardy mej kandelabr zerwałem, którego w kufę z gorzałką flamandzką wpadł i płomień wzniecił\*. Duch ojca tańczył we mnie, gdym waląc na odlew po wszystkim, co się nawinęło i halabardą młyńce chybkim kręcąc, na ogień rozprzestrzeniający się prędko nie baczył. Mordować chciałem i sam zginąć na ostatku. Udało mi się to prawie, bom po nogach uderzony i podcięty padł. I byłbym zginął w płomieniach, gdyby mnie nie wywleczono niepotrzebnie w tłącej się odzieży na powietrze. Teraz zaś w wieży zamknięty siedzę, na łańcuchu jako zwierz dziki. Franciszkanin litościwy inkaustu mi przyniósł, piór i kart, gdym go o to prosił. Na sąd królewski czekam, pod jego jeno jurysdykcję podlegając. Uznają mnie szalonym i od win uwolnią, ale z wieży nie puszczą. Wiem. Znam prawo. Nie dbam wszakże o to, bo nie dbam o nic. Dlatego odwijam opatrunki, zrywam szarpie. Niech płynie krew. Niewiele jej zostało. Szarpie zębami nad dłońmi przeguby, rwę żyły. Krew cieknie powoli. Odczuwam przeźliwy chłód, ale nic to. Ziąb przejdzie. Już przechodzi. Ostatnią mą myślą polecam duszę Bogu, wciąż i mimo wszystko wierząc, że istnieje.

## XXIX

Płyta przesuwa się ze zgrzytem, odsłaniając ciemną jamę grobowca. Robotnicy sapią z wysiłku. Z boku czterech odzianych w czerń dostojnych mężów z groteskowymi maseczkami na twarzach śledzi każdy ich ruch.

– Ostrożnie, ostrożnie, wyrywa się któremuś.

Wreszcie grube, kamienne wieko zostaje odsunięte i troskliwie złożone na drewnianych belkach. Członkowie komisji zbliżają się do otwartego sarkofagu. Skradają się na palcach, jakby obawiali się obudzić spoczywające w nim od wieków ludzkie szczątki, lub jakby towarzyszyło im irracjonalne poczucie winy. Z ciekawością zaglądają do środka. Widok dwóch, ustawionych jedna na drugiej trumien, budzi pewną konsternację. Pierwsza z nich zostaje wyjęta z grobowca i ustawiona obok niego. Jest prosta, zabezpieczona smołowanym płótnem i nad podziw dobrze zachowana. Drugą, spoczywającą pod nią obito czarnym safianem. Ta również wygląda na zupełnie nową, jakby dopiero wczoraj została złożona do grobu. Jest wzmocniona czterema opasującymi ją metalowymi kłami. Również jej narożniki połyskują metalowymi okuciami. W górnej części widnieje obwiedziony ramkami prostokąt. Jeden z członków komisji myśląc zapewne, że jest to tabliczka z imieniem pochowanej tu osoby, nachyla się głęboko. Wyjętą z kieszonki chusteczką usiłuje zetrzeć kilkunastokrotne zmatowienie powierzchni. Uważnie obserwuje jego wysiłki. Nagłe dociekliwy jegomość podrywa się z okrzykiem zaskoczenia i przestachu. Odskakuje dwa kroki do tyłu. Teraz ja pochylam się nad trumną. Domniemana tabliczka okazuje się szybą, okienkiem, pod którym widnieje piękna, dzięki jakiemuś fenomenowi nietknięta procesem rozkładu, twarz młodej kobiety o orientalnych rysach i szeroko otwartych oczach. Członkowie komisji pochrząkują nerwowo, co w innych okolicznościach byłoby zabawne. Teraz nie jest. Robotnicy zegnają się szerokim znakiem krzyża.

\* \* \*

Pakuje walizkę. Na tej czynności zastaje mnie mój były przewodnik. Wpada do pokoju jak bomba, wymachując jakimś pakuneczkiem.

– W górnej trumnie pochowano naszego zaginionego, ostatniego księcia Atrtrox – oznajmia dysząc ciężko. Jest bardzo zmęczony. Pewnie biegł zbyt szybko jak na możliwości swego starego serca. Podaję mu szklankę wody. Wychyla ją, rozlewając połowę na koszulę.

– Koniaku?

Odwzajemnia mi się spojrzeniem pełnym wdzięczności i jednym haustem rozprawia się z aromatyczną, złotawą zawartością kieliszka.

– Szkoda, że wyszedł pan wcześniej, że nie został pan z nami do końca. Otworzyliśmy potem i drugi z grobowców. Ale TO – podsuwa mi przed oczy zawiniątko – TO jest najważniejsze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znaleźliśmy pamiątkę księcia d’Atrtrox zwanego „szalonym”. Jeśli te zapiski wsadzono mu do trumny, to musiały one należeć do niego za życia i być bardzo osobiste. Teraz dowiemy się wszystkiego, wszystkiego – woła w euforii, zemocjonowany, szczęśliwy.

– Tak, tak – kiwam głową ochoczo, starając się okazać, że uczestniczę w jego radości. – Będziecie wiedzieć wszystko lub prawie wszystko.

### XXX

Fernquez opuściłem w południe. Nie spiesząc się, dotarłem do głównej szosy. Jadąc nią, minąłem Poisells i Megirr. Potem skręciłem na Voux. Poruszałem się po bokach trójkąta, którego najbardziej wydłużony koniec miał stać się kresem mej wędrówki. Zwolniłem. Tur-lając się powolutku prawym pasem, wypatrywałem starego traktu wiodącego przez Wzgórze Trzech Dziewic do Atrtrox niejako od tyłu, od jego wschodniej strony. Po dziesięciu minutach dotarłem do prowizorycznego mostu przerzuconego ponad szeroką dolinę płynącej zakolami rzeki Moen. Wtedy dostrzegłem to, co kiedyś było drogą. Rzykując wywrotkę zsunąłem się z nasypu szosy. Przez wertepy parłem do przodu. Land Rover z trudem pokonywał nierówności terenu. Opuściliśmy się na dno doliny, by teraz mozolnie wspinać się stromo w górę. Kilkaset metrów od przełęczy zostawiłem auto. Dalej i tak nie dało się jechać. Na wszelki wypadek ukryłem je za dużym głazem. Nie spodziewałem się, by ktoś mógł tędy przechodzić akurat dzisiaj, ale wolałem być ostrożny.

Po przełęczy hulał wiatr. Wyjrzałem na drugą stronę. Ruiny zamku Atrtrox rysowały się wyraźnie na tle purpurowego nieba. Właśnie zachodziło słońce. Zupełnie tak samo jak przedwczoraj, w dniu mego przybycia do Fernquez.

– Ileż to wydarzyło się przez te kilkadziesiąt godzin – uśmiechnąłem się do swoich myśli. – Ile się zmieniło i ile zmieni się jeszcze?

Dolina sprawiała wrażenie zupełnie pustej i taką zapewne była. Poprawiłem plecak na ramionach. Miałem w nim kilka narzędzi, wśród nich ciężki młot, przebijak i łom stalowy. Nie byłem pewien, które z nich mogą okazać się potrzebne. Wolnym krokiem ruszyłem przed siebie.

U stóp ruin Atrtrox znalazłem się już po zmroku. Cicho wdrapałem się na wzniesienie, przystając za każdym razem, gdy jakiś kamyk turkocząc uciekał mi spod stóp. Opląciła mi się taka ostrożność. Zaraz za załomem muru dostrzegłem cień. Przypadłem do ziemi. Członkowie szanownej komisji słusznie uznali, iż wobec wagi dokonanego odkrycia należy wyasygnować dodatkową kwotę na wynajęcie strażnika. Nie przewidzieli tylko jednego. Ale moje zachowania od pewnego czasu nie były przewidywalne dla nikogo. Nawet dla mnie.

Zaspany mężczyzna o zapachu taniego wina, uderzony w potylicę, miękko jak szmaciana lalka osunął się na ziemię. Dziś nic nie mogło mi być przeszkodą. Nic już nie mogło mnie powstrzymać. Drzwi otwierając się wydały odgłos, który w nocnej ciszy zabrzmiał jak chrapliwy jęk. Sarkofagi skąpane w świetle księżycy zdawały się emanować własnym światłem. Tylko jeden z nich był otwarty. Widocznie stary historyk rozkazał ponownie zasunąć wieko tego, w którym spoczywała Eleonora. Podszedłem bliżej. Wcisnąłem spłaszczony koniec łomu w szczelinę, stuknąłem dwa razy młotem i całym ciężarem ciała naparłem na uzyskaną w ten sposób dźwignię. Pokrywa ani drgnęła. Zaatakowałem z wzmożoną siłą. Efekt był dokładnie taki sam jak poprzednio, to znaczy żaden. Nie ustawałem w wysiłkach. Gruba płyta była bardzo ciężka. Dobrze pamiętałem, ile pracy i wysiłku kilku ludzi kosztowało jej odsunięcie. W pojedynkę nie miałem najmniejszej szansy nawet nią poruszyć. A już na pewno nie za pomocą przyniesionych z sobą prostych narzędzi. A jednak nie rezygnowałem, coraz bardziej zdyszany i coraz bardziej wściekły. Bez wytchnienia waliłem młotem produkując mnóstwo hałasu, nie posuwając się jednak ani o cal do przodu. Nie zważałem na nic. Ogarniała mnie furia. Tak bywało z reguły, ilekroć nie udawało mi się od razu osiągnąć tego, na czym mi bardzo zależało. Jednak zawsze jakaś część mego mózgu pozostawała trzeźwa i chłodna. Dlatego i tym razem pomogła mi zapanować nad atawistycznymi odruchami. Gdy zależało mi już wyłącznie na tym, by rozbijać i niszczyć, przyszło opamiętanie. Działając w taki sposób, mogłem sobie tylko ściągnąć na kark jakichś nieproszonych gości, ale na pewno nie otworzyć grobowiec.

Spocony i zmęczony dałem spokój syzyfowej pracy. Musiał istnieć jakiś inny sposób. Tylko, że ja go nie znałem. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Bezradnie opadłem na kolana, jakbym chciał modlić się za duszę tej, która spała tuż obok snem wiecznym.

– Po co to wszystko, na co? – tłukło mi się po skołatanej głowie.

Zrezygowany położyłem obie dłonie na chropowatej powierzchni pokrywy. Poczułem chłód kamienia i coś jeszcze. Coś, co nie mogło być wytworem mojej wyobraźni. Nie potrafiłem tego nazwać. Ale to było, działało się wewnątrz grobowca i wewnątrz mego umysłu. Oparłem rozpalone czoło o krawędź sarkofagu. Z moją pamięcią działało się coś dziwnego: ona... rosła. Obejmowała coraz więcej i więcej zdarzeń, wykraczała swym zasięgiem poza znane mi dotychczas obszary.

Już nie zastanawiałem się ani nad wykonywanymi czynnościami, ani nad nagłym impulsem, który kazał mi przerwać podróż i zatrzymać się w prowincjonalnej mieścinie o nazwie Fernquez.

– Węgorze, podążające do Morza Sargassowego, nie znają celu swej wędrówki, a jednak płyną tam uparcie i trafiają bezbłędnie – nasunęła mi się niepasująca do sytuacji myśl. Z pozoru pozbawiona była sensu, ale już w następnej sekundzie uznałem ją za nader trafną, choć nieco odległą analogię. Przede wszystkim stanowiła ona odpowiedź na wiele, zbyt wiele pytań i wątpliwości. Dzięki niej sporo rzeczy i spraw stawało się jasnych lub przynajmniej dawało nadzieję na rozjaśnienie w przyszłości. Przecież to ja poszukiwałem swego celu od bardzo, bardzo dawna przeczuwając jego istnienie, lecz nie wyobrażając sobie kim, lub czym może się okazać. Nie wiedziałem jak blisko, lub jak daleko od niego się znajduję, ani co zrobię, po jego osiągnięciu. A jednak instynktownie zmierzałem ku niemu. Dlatego starając się przesunąć grube kamienne wieko sarkofagu, byłem zły na starego profesora i całą komisję. Przeklinałem zarówno ich tchórzostwo, jak i zapobiegliwość, które kazały im na powrót uwięzić domniemane zło pod białym kamieniem. Jednocześnie ogarniała mnie ponura wesołość pomieszana z pogardą dla ludzkiej naiwności. Zawsze nienawidziłem półśrodków. A takim półśrodkiem było powtórne zamknięcie grobowca. Zbyt wyraźnie przypominało chowanie głowy pod poduszkę i oszukiwanie się iluzją uzyskanego bezpieczeństwa.

– Zaufaj. Wejrzyj w siebie i uwierz, że możesz wszystko – usłyszałem tuż obok lub wewnątrz swojej głowy. Jednocześnie poczułem nieprawdopodobny, wręcz eksplodujący gdzieś w środku, we mnie przyływ energii i nieznaney mi dotychczas spokojnej, świadomej siebie samej siły. Wieko drgnęło. Płyta przesunęła się trochę. Owładnęło mną uczucie euforii, potęgi i mocy. Ta moc nie wynikała z fizycznej sprawności mięśni. Nie miała z mięśniami nic wspólnego i była wielka. Większa niż wszystko, co znałem do tej pory. Ciężki monolit ruszył na dobre i bezgłośnie, jakby nic nie ważył, jakby nagle tarcie przestało istnieć, płynął gładko, cał po calu odsłaniając wnętrze sarkofagu. A przecież tym razem wcale go nie dotykałem. Moje ręce zmęczone przekraczającym ich możliwości wysiłkiem odpoczywały, zniechęcone do jakiegokolwiek pracy.

Gruba pokrywa, przekroczywszy połowę swej długości krawędź ściany, zawahała się na chybottliwej granicy wyznaczonej środkiem własnej ciężkości. Przez chwilę balansowała w chwiejnej równowadze. Wreszcie, przesunąwszy się jeszcze odrobinę, powolutku, niczym niezbyt mocno obciążone ramię wagi, opadła i oparła się jedną stroną o posadzkę. Grobowiec był otwarty.

Zajrzałem do środka. Twarz Eleonory doskonale widoczna przez szybę, oświetlona księżycowym blaskiem sprawiała wrażenie wykutej z szlachetnego kruszcu. Teraz pozostawało już tylko otworzyć trumnę. Pomyślałem, że nie powinno to być trudne. Ale omyliłem się srodze. Nie udało mi się bowiem zerwać wieka od razu, od jednego szarpnięcia. Moja nowo nabyta moc zniknęła, opuściła mnie równie nagle, jak się pojawiła. Najwyraźniej oczekiwałem od niej zbyt wiele. Pozostawało tylko znów sięgnąć po narzędzia. Prymitywizm metody wzbudzał we mnie daleko idącą odrazę, gdy młotem i przecinakiem dobierałem się do metalowych wzmocnień trumny. Kaplica wypełniła się zgrzytem metalu o metal. Zwielokrotnione pogłosem dźwięki zdawały się walić wprost na moją głowę spod sklepienia, jakby i ono miało zaraz runąć, miazdząc świętokradcę. Ściany sarkofagu utrudniały mi pracę, uniemożliwiając zarówno szerszy zamach, jak i zastosowanie dłuższej dźwigni. Powstrzymywały mnie w drodze do tego, co okazywało się MOIM CELEM i co było nim OD ZAWSZE. Masywna, opasana grubymi, żelaznymi sztabami trumna, skutecznie strzegła powierzonej jej tajemnicy.

– Jeśli dokonałem tylu wysiłków i starań, jeśli pokonałem tyle przeszkód, jeśli jestem tak blisko, jeśli tyle się już stało, to znaczy, że zdarzyć się musi coś jeszcze – pomyślałem.

– Bądź cierpliwy – powiedział niezbyt głośno ktoś, kogo kiedyś z pewnością dobrze znałem. Ten ktoś był bardzo blisko. Jego głos uspokajał i koił. Jednocześnie był władczy, choć cichy. Dobiegał zewsząd i znikąd. Chłonałem tembr tego głosu, poddawałem się mu, karmiłem się jego przyczajoną siłą, gotów jej ulec absolutnie i do końca. Gotów na wszystko.

– Zaczekaj. Stanie się tak, jak miało się stać od początku świata. Pamiętaj: podobne przyciąga podobne. Czekać i patrz. Zanim zdążyłem przemyśleć te słowa, zrozumiałem, że żadne narzędzia nie są i nigdy nie były mi potrzebne. Wokół mych dłoni pojawiła się drgająca, karminowa aureola. Z omal zmysłową delikatnością, wszystkimi palcami jednocześnie dotknąłem metalowych okuć po obu stronach trumny. Wzdłuż jej krawędzi przemknął oślepiający błysk miniaturowej błyskawicy. W powietrzu rozszedł się swąd palonego drewna. W następnym ułamku sekundy dołączył do niego suchy zapach topiącego się żelaza. Grube klamry rozwarły się, rozlały, niczym zrobione z plasteliny.

Opierająca się materialnym narzędziom materia ustąpiła przed czymś, co z materia miała niewiele wspólnego. Wieko odskoczyło. Schwyciłem je oburącz i odrzuciłem jak najdalej. Z głuchym łomotem potoczyło się w mrok, poza zasięg księżycowego blasku. Usiadłem na krawędzi grobowca, patrząc w najpiękniejszą z wszystkich twarz Tej-Która-Wezwała-Mnie-Do-Siebie. Szeroko otwarte oczy Eleonory sprawiały wrażenie czarnych, in-

tensywnie głębokim rodzajem czerni. Ich źrenice zajmowały prawie całą powierzchnię tęczówki i jeszcze nie reagowały na światło. To dopiero miało nastąpić.

Tymczasem odpoczywałem. Zbierałem siły, przygotowując się do dalszego ciągu metamorfozy, obserwując to, co działo się z moim ciałem i umysłem. Nie czułem zdziwienia, raczej ciekawość. W miarę postępujących zmian zanikała i ona. Zastępowała ją wielka pewność własnej wszechwiedzy, potęgi i mądrości. Odkrywałem w sobie i uruchamiałem kolejne pokłady świadomości. Moje możliwości zdawały się nie mieć granic, gdyż każda nowo odsłonięta ich warstwa sygnalizowała obecność następnej, jednocześnie łącząc się z już odkrytymi. Poczułem, że jestem już gotów. Że jesteśmy gotowi oboje. Ona i ja.

Ostrożnie zbliżyłem latarkę do twarzy Eleonory. Przysłoniłem reflektor dłonią. Należało unikać zbyt silnych bodźców, szybkich zmian, gwałtownych wstrząsów. Źrenice nadal były ogromne i martwe. Odsłoniłem reflektor i natychmiast na powrót zasłoniłem go. Uczyniłem to kilkakrotnie, za każdym razem zmieniając ilość dozowanego światła. Wreszcie stało się. Czarne, głębokie niczym studnie kręgi, przesłaniające tęczówkę załopotały, zmniejszyły swą średnicę. Jeszcze raz zwiększyły ją trochę, a potem powoli, lecz systematycznie zaczęły maleć. Wreszcie osiągnęły prawie zwyczajny rozmiar. Normalny dla kogoś, kto bardzo długo i całkowicie pozbawiony był światła, a wciąż jeszcze przebywał w półmroku.

Wyłączyłem latarkę. Nie była już potrzebna. Przez pogruchtane witraże wpadała wystarczająca ilość srebrzystych lśnień księżycowej nocy.

Eleonora uśmiechała się leciutko. Plamy krwi na jej sukni wyblakły. Rana na szyi zablizniła się całkowicie. Pozostała po niej tylko nieznaczna, jaśniejsza linia.

Pochyliłem się nisko i ująłem w dłonie smukłe przeguby jej rąk.

– Wstań – powiedziałem bezgłośnie, interferując mocno w coraz wyraźniejsze, coraz bardziej regularne echo jej wibracji. Długie palce płynnie i ciasno niczym węże owinęły się wokół moich nadgarstków. Znów płynęliśmy na jednej fali. Znów zmierzaliśmy do pełnego zespolenia, by stworzyć jedność w wielości. Jak kiedyś dawno, dawno temu. Jak przed trzema wiekami. Tylko że dopiero teraz byłem tego w pełni świadom.

Eleonora głęboko wciągnęła nozdrzami powietrze.

– Wiedziałam, że wrócisz – powiedziała. – Dobrze, że jesteś.

– Potrzebowałem dużo czasu, by zrozumieć, by dojrzeć do przemiany.

– Wiem.

– Nie mogłem znaleźć cię poprzednio ani wcześniej, bo nie wiedziałem, że jesteś. Czułem cię niekiedy gdzieś blisko, tuż obok, nie wiedząc, że to ty. Do dzisiaj nie wiedziałem na pewno. Przeczynałem tylko. Do dzisiaj.

– Dobrze czujesz. Byłam przy tobie zawsze, bo wybrałam cię, zanim po raz pierwszy na świat przyszedłeś.

– Jakże to?

– Nie pojdziesz tego od razu. Tyś moim jest dziełem, chociaż inne niewiasty rodziły cię jak człeka. Wiedziałam i wiem, co było i co będzie.

– Dlaczego więc pozwoliłaś...?

– Chrystus pozwolił, by go ukrzyżowano. Niekiedy przez śmierć ciała zyskać można bardzo wiele, w tym życie wieczne. Wiedzieć trza, jak i kiedy to czynić. My zaś – ty i ja – musieliśmy jeno zrównać się w czasie. Nie takie to trudne.

Z wysoka dobiegło nas miarowe poskrzypywanie. Równocześnie spojrzeliśmy w górę. Dzwon drgał, jakby chciał się wyrwać ze swych drewnianych łożysk.

Opuszczając sarkofag, Eleonora wsparła się o me ramię, gdyż ślubna suknia krępowała jej ruchy.

– W tym świecie jesteś medykiem, prawda? – spytała.

– Chirurgiem.

– Lecz pozbawiono cię prawa do wykonywania zawodu. Czy tak?

– Tak. Zadawanie śmierci ciału może oznaczać uwalnianie od cierpień. Ludzie wciąż tego nie rozumieją. Nie chcę o tym mówić. Ty i tak wiesz...

– Wiem prawie wszystko. Ale opowiadaj. Mów. Nikt do mnie nie mówił od bardzo dawna. Chcę też wiedzieć, czy znasz całą prawdę o sobie.

– Po tym co zaszło w ratuszu, wtrącono mnie do ciemnicy i łańcuchami skuto jako obłąkanego szaleńca. W lochu siedząc, spisałem pamiętnik. Starłem się w nim wiernie wszystko przedstawić tak, jak potrafiłem i jak rozumiałem to wówczas. Bliski byłem śmierci, ale wydobrałem. Czując, że mi siły wracają, zerwałem bandażę i przegryzłem sobie żyły. Nie mogłem żyć w więzieniu. A nawet jakby mnie uwolnili, co przecież mogło się zdarzyć, nie zniósłbym hańby. Zresztą, wcale nie chciałem żyć. Bo i cóż to byłoby za życie bez ciebie? Ciało me pochowano wraz z moimi zapiskami. Papiery ludzie już zabrali. Wiele się po nich spodziewają. Jednak nie sądzę, by mieli z nich jakiś pożytek.

– Nic im z papierów tych nie przyjdzie – potwierdziła Eleonora. – Pisałeś niewyraźnie. Poza wszystkim ludzie dziś inaczej czują, mówią i myślą niżli za dawnych czasów. Nikt w historię twoją nie uwierzy. Uznają, żeś bredził w malignie. Swoją drogą dałeś im wiele do myślenia. Czy już wiesz, co było potem? Po śmierci twego ciała?

– Teraz wiem, choć jeszcze przed chwilą wcale tego nie byłem pewien.

– Mów więc...

– Pierwszy raz odrodziłem się w kraju, który wtedy należał do imperium otomańskiego. Od dziecka czułem, że jestem odmienny niżli wszyscy, lecz nie wiedziałem, dlaczego. Rodzice i nie tylko oni mówili o mnie „stary – malutki”. Moim ojcem był cieśla okrętowy, toteż kiedy dorosłem, zostałem skutnikiem. Pracę swą wykonywałem dobrze, gdyż zawsze sprawiało mi przyjemność robienie czegoś lepiej niż potrafią to zrobić zwykli ludzie. Lubię też patrzeć na skończone dzieło. Moje statki były piękne i mocne. Oprócz statków i łodzi, robiłem i inne rzeczy. Niekoniecznie równie piękne...

– Osobliwie niepiękne i nie całkiem miłe dla tych, coś ich sobie upatrzył. Czyż nie to chciałeś rzec? Ludzie głupimi są, o żywot swój nawet najńędniejszy stojąc. Przecie i tak umrą wszyscy w swoim czasie. Tedy przyczyny ku temu nie widzę i pojąć jej nie mogę. Przyznać ci muszę, że to coś z nimi wyczyniał niekiedy, maestrii było pełne. Zawsze się mocno starał. We wszystkim, jako baczę.

– Wiele razy myślałem, żeś opętany i bałem się obłądu. Jednak niekiedy było mi dobrze z moim poczuciem wyższości nad innymi, nad tą mierzwą. Byłem wielki i o raz za dużo okazałem maluczki swoją moc. Poćwiartowano mnie i spalono. Prochy rozrzucono. Teraz pamiętam to i widzę jasno.

– Nie miało to wszakże i nie ma dla sprawy żadnego znaczenia.

Tylko ciało można zniszczyć. A to ci ongiś przekazałam trwać będzie długo. Bardzo długo. Ludzką miarą licząc: wiecznie.

– Czyli, ile mniej więcej?

– Pytasz jak człowiek. Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Niech ci wystarczy na razie, że ty i ja będziemy żyli do końca wszystkich dni, do końca czasu. Cokolwiek miałyby to oznaczać. Teraz mów dalej. Po kolei.

– Potem byłem rzeźnikiem. Tusza człowieka podobną jest nieco do wieprzowej z wymiarów, ale przecie można je rozróżnić. A w mojej jatce niekiedy ludzkie wisiły z wieprzowymi pospołu. I cóż z tego, że z tyłu, w komorze. Ludzie okrutnie dociekliwi są i

wścibscy. Jak się im co u kogo nie widzi, albo odmiennym wyda, tak długo podpatrywać i szpiegować go będą, aż swego dojdą. Dlatego wbito mnie na hak. Pod żebro. Dni cztery wisiałem, zanim skonać mi przyszło, a kat z pomocnikiem cały czas czuwali przy mnie.

– Tak musiało być – wtrąciła Eleonora.

– Następnym razem sam zostałem katem. Obsługiwałem gilotynę w czasie wielkiego upustu krwi zwanego dziś Wielką Rewolucją Francuską. Gilotyna to takie urządzenie do obcinania głów – wyjaśniłem niepotrzebnie. – Mnie również ścięto, ale toporem.

– Czyli nie przeszedł ci pociąg do ostrego żelastwa – jej krótki śmiech odbił się kilkakrotnym echem w mrocznej pustce kaplicy.

– Nigdy też nie umarłem własną śmiercią. Dlatego zdążyłeś się zmienić aż cztery razy. Gdyby nie to, musiałabym jeszcze trochę poczekać, więc dobrze się stało. Nie sądzisz? Dobiegające spod stropu skrzypienie nasiliło się. Drganie dzwonu przeszło w miarowe, coraz bardziej zamaszyste kolebanie. Lecz poczerwiałe od starości serce nie zetknęło się jeszcze z zaśnieżonym piżmem czaszy.

– Brzask niezadługo, a droga przed nami daleka. Coś teraz pominął, później dopowiesz. Oddaj krzyżyk i medalion Marcelowi – Eleonora wskazała wzrokiem drugi sarkofag. – Po tem chodźmy stąd. Razem dokonamy rzeczy wielkich. Nawet nie wiesz jak bardzo wielkich. Dotychczas zawsze było zbyt wcześnie. Teraz nie jest.

Odezwało się pierwsze uderzenie dzwonu. Na razie nie było jeszcze ani mocne ani donośne.

– Chodźmy. Nie dziw się niczemu, co zobaczysz – uprzedziłem.

– Nie mam zwyczaju dziwić się czemukolwiek – odparła. – Istnieję już bardzo długo i znam wiele światów.

Odprowadzani przez potężniejące dźwięki szliśmy objęci jak wtedy, jak po raz pierwszy.

Wieczna Eleonora, którą kochałem nawet nienawidząc ongiś, a którą odnalazłem dziś, Eleonora, do której tęskniłem swymi najskrytszymi snami, gdyż była moim wszystkim, choć nie wiedziałem o tym i ja, Jakub Maria Xiążę d'Attrtox po raz ostatni na ziemi. Podążaliśmy ku przełęczy, a nasze splecione z sobą, przenikające się sylwetki nie rzucały cienia.

## KONIEC

### EPILOG

Latem 1995 roku profesor Alois Ternclavenna prowadził sezonowe badania nad pewnym fenomenem występującym w dolinie rzeki Moen. Fenomen ów polega na tym, że wśród ludności zamieszkującej region pomiędzy Fernquez a Megirr prawie zupełnie nie rodzą się dziewczynki. Ponad dziewięćdziesiąt procent kobiet pochodzi – jak to określają miejscowi – „z zewnątrz”, to znaczy z ziem położonych po południowej stronie gór. Przy czym największym wzięciem cieszą się mieszkanki Fourx i Puret, choć – moim zdaniem – nie istnieje ku temu żadna konkretna przyczyna. Stary mieszkaniec doliny zapytany o powód takiego a nie innego postępowania, tylko przez grzeczność nie wyrazi zdziwienia dla naiwności pytającego. Po cichu jednak posądzi go o głuptactwo. Jakże bowiem można pytać o rzecz tak oczywistą?

– Tak było zawsze – odpowie. Jeśli zaś trafi się osobnik szczególnie rozmowny, to doda: – tak zawsze będzie. Potem odejdzie w swoją stronę. Nie należy go zatrzymywać.

Profesor Ternclavenna w dzieciństwie kilkakrotnie spędził wakacje niedaleko Fernquez, w górskim domu bliskiego przyjaciela swego ojca. Przyjaciel ten po przedwczesnej śmierci Ternclavenny – seniora, zaopiekował się jego żoną i kilkuletnim wówczas synkiem.



W ramach owej opieki zaprosił oboje do siebie na lato i czynił to jeszcze parokrotnie w okresie późniejszym. Wtedy mały Alois zetknął się po raz pierwszy z miejscowymi legendami, podaniami i zwyczajami.

– Tam wszystko było jakieś inne – wspominał po latach. – Jako dziecko nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów i przyczyn owej odrębności, jednak odczuwałem ją najwyraźniej i zapamiętałem dokładnie. W dzieciństwie śmieszyły mnie stroje autochtonów oraz ich omal niezrozumiały dla mnie dialekt. Prędko nauczyłem się nim porozumiewać, gdyż byłem chłopcem bardzo zdolnym – zaznaczył mało skromnie. – Później, gdy przestaliśmy tam przyjeżdżać, wciąż miałem w pamięci osobliwą intonację, tembr głosów, małomówność mieszkańców doliny i miasteczka. Tę małomówność po namyśle uznałem za objaw nieufności wobec obcych. Zapamiętałem dziwne określenia, imiona i nazwy, niepodobne do żadnych innych i próbowałem poznać ich genezę. Nazwę miasta, którą łatwo skojarzyć z piekłem długo uznawałem za przypadkową. Fernquez nie jest zresztą jedyną „piekielną” miejscowością. Na mapach naszego i wielu innych krajów spotkać można rozmaitego rodzaju „Piekła”, „Piekiełka” oraz „Niepiekła”, a nawet „Nieba” i „Raje”. Jednak, gdy zorientowałem się, co może oznaczać nazwa Atrtrox, zmieniłem zdanie, gdyż nazwy te, to znaczy Fernquez i Atrtrox konwenują ze sobą. Tak, tak, proszę państwa. Słowo „Atr” oznaczało ongiś ogień w języku, który był praprzodkiem sanskrytu, a wraz z nim znakomitej większości języków używanych obecnie przez narody Europy. W każdym ze znanych mi języków w określeniu ognia zawarta jest litera „r”. Zaś wśród języków słowiańskich słowo „watra”, a więc o wyraźnie zaznaczonym rdzeniu „atr”, oznacza ognisko i jest w zasadzie anachronizmem, wciąż jednak używanym i powszechnie znanym. Zauważyli państwo na pewno, że w wielu językach nazwy rzeczy, zjawisk, czy zdarzeń towarzyszących ludzkości niejako od zarania jej dziejów, brzmią podobnie. Weźmy choćby za przykład słońce, wspomniany ogień w jego pierwotnej formie, wodę, a także śnieg, że o matce nie wspomnę. Jest to zasługa Ariów, naszych praojców, zdobywców kontynentu europejskiego. Oczywiście nie twierdzę, że konie tego wojowniczego i ekspansywnego ludu piły wodę akurat z rzeki Moen. Jest jednak bardzo mało prawdopodobnym, by nazwy Fernquez i Atrtrox nie były z nimi związane, a tym samym, by nie były związane z sobą. Powiedzmy sobie wprost: te nazwy musiały się wywodzić z jednego pnia jeśli nie lingwistycznego, to emocjonalnego. W zasadzie oznaczają bowiem to samo, czyli ogień.

W mej pamięci cała okolica przetrwała jako „nadzwyczaj stara” – profesor kontynuował zaimprovizowany wykład. – Na zdrowy rozum biorąc, każda okolica jest tak samo stara jak cała ziemia. Nie mam więc oczywiście na myśli wieku takich, czy innych form geologicznych. Chodzi mi o co innego. Będąc dzieckiem, nie potrafiłem bardziej precyzyjnie nazwać szczególnego wrażenia, którego doznawałem zaraz po przyjeździe tu z wielkiego miasta. Nie sądzę przy tym, by wpływ na odbieranie określonych bodźców przez moje młode wówczas, chłonne i nieskażone zmysły miał fakt zacofania cywilizacyjnego tak zwanej prowincji. To nie była też kwestia nagromadzenia w Fernquez nadmiaru wszelkiego autoramentu staroci, nie zawsze zasługujących na miano zabytków. Ja po prostu czułem tu obecność czegoś, co określa się mianem Genius Loci, choć to z kolei niczego nie wyjaśnia. Dziś nadal tę okolicę postrzegam jako „starą”, a w przeświadczeniu tym utwierdzają mnie właśnie spotykane tu nazwy. Po prostu są one nieporównanie starsze niż jakiegokolwiek zabytki kultury materialnej. Język, a szczególnie gwara, proszę państwa, bywa skarbnicą wiedzy o czasach naprawdę zamierzchłych. Niekiedy wystarczy odrobina elementarnej wiedzy, zdolności kojarzenia i dobrej woli, by się o tym przekonać. Język ludu przechowuje prastare, nieznacznie tylko zmodyfikowane nazwy gór, dolin, rzek, a więc elementów niejako ponadczasowych. Często określone nazwy nadawane były z bardzo określonych powodów. Dziś nie wiem

jeszcze, skąd wzięła się nazwa Atrtrox. Ale być może będę wiedział w przyszłości – zakończył z żartobliwą nadzieją w głosie.

Przyczynę anomalii demograficznych łączył profesor Ternclavenna ze składem wody. Wychodził z założenia, że występowanie (lub brak) takiego, czy innego pierwiastka śladowego w składniku wszystkich spożywanych artykułów może do pewnego stopnia decydować o charakterze i temperamencie ludzkim.

– Jeśli tak jest – rozumował nie bez słuszności – to szczególnie wybujały nadmiar lub niedobór jakiejś substancji, może mieć wpływ na płęć mającego się narodzić dziecka. Jednakże badania nad składem wody płynącej rzeką Moen nie wykazały, by w drastyczny sposób różniła się ona od innych górskich rzek i strumieni w okolicy.

Jednocześnie profesor poszukiwał genetycznych uwarunkowań istniejącego stanu rzeczy. Chciał też wiedzieć do jakiego stopnia określenie „zawsze” w ustach miejscowego wieśniaka odpowiada prawdzie. Czy dotyczy jednego, dwóch, trzech, czy może większej ilości pokoleń mężczyzn, wybierających się po swe przyszłe żony w strony niekiedy dość odległe. Badania prowadzone na terenach dawnych cmentarzysk dowiodły, że określenie „zawsze” okazało się jedynym właściwym: szczątki z najstarszych odsłoniętych pochówków męskich nosiły charakterystyczne dla regionu cechy antropologiczne. Natomiast pochówki kobiece tych cech w znakomitej większości nie posiadały.

Badając groby nowsze, po niemałych staraniach mających na celu pokonanie niechęci i oporu ze strony zarówno lokalnych władz, jak i okolicznej ludności, dokonał profesor uroczystego otwarcia dwóch bezimiennych grobowców na wzgórzu Atrtrox. Zawartość jednego z nich wzbudziła tak zwane mieszane uczucia pośród uczestników przedsięwzięcia. Jakże bowiem inaczej określić to, co działo się w naszych umysłach po dokonaniu niesamowitego odkrycia?

W sarkofagu umieszczono dwie, leżące jedna na drugiej trumny. W pierwszej z nich znajdowały się doszczętnie wysuszone zwłoki mężczyzny oraz gruby plik zapisanych niewyraźnym pismem kartek. Druga z trumien, skonstruowana nadzwyczaj solidnie, a w górnej części przeszklona, zawierała odziane w suknię ślubną zwłoki młodej kobiety.

Wydaje się rzeczą zrozumiałą, że odkrycie to wywarło na wszystkich zgromadzonych potężne wrażenie. Przede wszystkim jednak zrozumieliśmy, że stajemy wobec fenomenu natury biologicznej. Profesor nie pozwolił na wyciągnięcie tej trumny z grobowca, by – jak powiedział – nie zaburzyć delikatnej i niepewnej równowagi biochemicznej. Skontaktował się natomiast, nie tracąc czasu, z Instytutem Medycyny Kryminalnej w Tornseil. Podczas długiej i bogatej w treści rozmowy ustalono, że zwłoki zwane odtąd „znaleziskiem” zostaną wywiezione z Atrtrox i poddane specjalistycznym badaniom w doskonale wyposażonych laboratoriach Instytutu. Dzięki umieszczonej w wieku trumny, mniej więcej na wysokości twarzy, szybie o wymiarach 20 x 20 cm, mogliśmy bez cienia wątpliwości stwierdzić, że zwłoki panny młodej nie zostały tknięte procesem rozkładu. To było nieprawdopodobne. Spoczywająca od trzech wieków w trumnie piękność, wyglądała jak pogrążona we śnie. Podściółka tłuszczowa na policzkach nie wydawała się wysuszona, pod zamkniętymi powiekami, rysowały się wypukłe gałki oczne, a nie zapadnięte głęboko oczodoły. (Już później, pisząc powieść, otworzyłem oczy Eleonory w momencie, gdy ciekawski badacz pochylił się nad jej trumną. Uznałem, że tak będzie bardziej ciekawie. Chodziło mi też o to, co nazywane bywa dramaturgią sytuacji. W rzeczywistości ukazana światu po trzystu latach Eleonora miała oczy zamknięte.) Skóra sprawiała wrażenie świeżej i jędrnej. Nie była nawet wyblakła, ani poszarzała, czy pomarszczona...

A gdy już napatrzyliśmy się do syta, profesor rozkazał ponownie zasunąć wieko. Sarkofag miał pozostać zamknięty, aż do chwili przybycia ekipy z Tornseil.

Zapiski znalezione w trumnie pierwszej, zostały sporządzone przez kogoś, kto żył w połowie XVII-go wieku. Zakładałem, że pamiętnik pochowano wraz z doczesnymi szczątkami jego autora. Dlatego pozwoliłem sobie nazwać go ostatnim księciem d'Atrtrox. Według oficjalnych danych, ród ten wygasł był wcześniej. Uznałem wszakże, iż maleńka mistyfikacja nikomu nie może zaszkodzić i że zostanie mi wybaczona.

– Dowody na to, że zwłoki te nie są doczesnymi szczątkami ostatniego z rodu d'Atrtrox nie istnieją. Dlaczegoż więc nie miałyby należeć właśnie do niego? – usprawiedliwiałem się sam przed sobą. (Nawiasem, ale gwoli prawdzie dodaję, iż poniewierający się pośród ludzkich szczątków pamiętnik, został zauważony przez asystentkę i – jak sądzę – kochankę profesora Ternclavenny, młodszą od niego o lat około czterdzieści damę zwaną Śliczną. Profesor straszliwie wściekał się, gdy nieświadomieni pechowcy brali Śliczną za jego wnuczkę). Ten właśnie plik notatek stał się kanwą opowieści o Eleonorze.

Rękopis był mocno zniszczony i zdekompletowany. Zaś język jego archaiczny i nie do końca zrozumiały. Dlatego w wędrówce po zawiłościach, niejasnościach i lukach tekstu posuwałem się bardzo powoli.

Porządkując znalezisko, starając się ułożyć chronologicznie luźne i pomieszane kartki w logiczną całość, nie mogłem początkowo oprzeć się wrażeniu, że mam do czynienia z pamiętnikiem wariata. Opisywane zdarzenia wydały mi się zbyt fantastyczne, by mogły być prawdziwe, bądź by mogły być wytworem zdrowej wyobraźni. Jednakże fakt, iż w przeszklonej trumnie spoczywały nietknięte procesem rozkładu zwłoki pięknej kobiety, zdawał się je w całej rozciągłości potwierdzać. Dlatego w miarę zagłębiania się w treść manuskryptu, stopniowo dochodziłem do wniosku, że Jakub d'Atrtrox świadomie nie zmyślał, lecz usiłował opisać coś, co przekraczało jego zdolność pojmowania i artykulacji.

Początkowo zupełnie nie wiedziałem, jak powinienem zorganizować sobie pracę. Nastawiłem się przecież tylko na tłumaczenie archaicznego tekstu. Tymczasem okazywało się, że czeka mnie znacznie trudniejsze zadanie. Bowiem przekładając rękopis na język współczesny, uzupełniając jego ubytki, domyślając się licznych brakujących wyrazów, a niekiedy całych zdań, musiałem po wielokroć dokonywać pracy godnej wysokiej klasy detektywa a częściej – deszyfranta tajnych depech o wielkim znaczeniu. Zaś do czysto technicznych trudności, na jakie stale natrafiałem, dochodziła analiza szczególnego rodzaju treści. Ta treść intrygowała. Ale i wzbudzała niepokój, którego nie potrafiły rozproszyć żadne racjonalne argumenty. O ile bowiem niektóre fragmenty pamiętnika zadawały brutalny gwałt zwyczajnemu, zdrowemu rozsądkowi, o tyle sposób, w jaki zostały napisane, wręcz zmuszał do uznania zawartych w nich wydarzeń za prawdziwe. Dlatego długo nie mogłem się zdecydować jak postąpić. Ostatecznie postanowiłem rozdzielić wątek wizyjno – magiczny – jak go nazwałem, od realistycznego i potraktować je jako osobne tematy do opracowania.

Analizując poszczególne fakty, zauważyłem, że składają się one na ciąg przyczynowo – skutkowy. Przyjazd Jakuba d'Atrtrox w strony rodzinne, znajomość z Eleonorą, postępująca fascynacja młodzieńca urodą, a przede wszystkim silną osobowością nietypowej panny, stopniowe podporządkowywanie się jej aż do zupełnej uległości oraz owej uległości skutki, następowały po sobie kolejno, etapami w sposób logiczny i nieubłagany. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Eleonora zarzuciła sieć i stopniowo zacieśniała ją wokół Jakuba. Czyniła to po mistrzowsku, bardzo dbając, by ten przedwcześnie nie zauważył jej manipulacji, nie uznał się za osaczonego i nie zechciał wyzwolić się ze słabo jeszcze zamocowanych więzów. Jednocześnie więc oswajała go ze swą odrębnością, innością i mocno nietypową, nie tylko dla współczesnych jej kobiet mądrością, przedstawiając mu i tłumacząc rzeczy i sprawy niezrozumiałe dla ogółu, jako zwyczajne i normalne. Nauczyła go lubić tą swoją inność i

potrzebować jej. Wreszcie doprowadziła do tego, że Jakub nie mógł się bez niej obejść, jak bez przysłowiowego powietrza. Uzależniła go od siebie absolutnie.

To była bardzo dobra metoda działania, poparta oczywiście tym, co dla młodego mężczyzny ma znaczenie zgoła kapitalne, mianowicie całkowitym brakiem pruderii i wielką sprawnością erotyczną. Z niektórych sformułowań Jakuba mogłem się tylko domyślać nadzwyczajnych zdolności Eleonory i w tej dziedzinie. Bliższe szczegóły zostały potencjalnemu czytelnikowi oszczędzone już to przez dyskrecję autora, już to z innych przyczyn.

Współczesne badania dowodzą, że umiejętność zarówno osiągania większej satysfakcji z seksu, jak i dawania jej partnerowi, jest wprost proporcjonalna do inteligencji. A Eleonora była niesamowicie inteligenta. Akurat, co do tego, nigdy nie miałem wątpliwości.

Stopniowo tworzyłem psychologiczny portret bezwzględnej i pozbawionej skrupułów kobiety, konsekwentnie i dosłownie po trupach zmierzającej do wyznaczonego uprzednio celu. Tym celem w moim pierwotnym przekonaniu miało stać się małżeństwo z Jakubem d'Atrtrox, a więc wejście doomal hermetycznie zamkniętej kasty, a co za tym idzie uzyskanie tejże kasty przywilejów. Wszystko wskazywało na to, że Eleonora kontynuowała działania swej ciotki, która dwadzieścia lat wcześniej zagięła parol na ojca Jakuba, księcia Hektora d'Atrtrox. Widocznie konsekwencja i upór były w jej rodzinie cechami dziedzicznymi. Nie tylko one zresztą.

Jakub słusznie postrzega ojca Eleonory jako człowieka niezwykle mądrego. Kilkakrotnie daje temu wyraz. Pozostaje pod jego silnym wpływem. Być może dzieje się tak, ponieważ niezupełnie świadomie potrzebuje wsparcia silnego a przychylnego autorytetu, którego był pozbawiony w dzieciństwie. Być może dlatego od razu, nieco instynktownie nie tylko akceptuje ojca Eleonory, ale dąży do pozyskania jego przyjaźni.

Zaś wracając do metod działania Eleonory, jestem pewien, że już pierwsze jej spotkanie z Jakubem było starannie wyreżyserowane, zaplanowane na uzyskanie maksymalnego efektu. Eleonora znając przeszłość młodego księcia d'Atrtrox i jego obycie z rozmaitego autoramentu pannami, przedstawiła mu się jako zupełnie nieznaną gatunek. Nie jako „dworska małpeczka ku zabawie jeno hodowana” (określenie to zapożyczyłem z manuskryptu), lecz jako potencjalna partnerka, kobieta silna, świadoma swej siły, istota zarówno podobna, jak i różna od niego. Przy czym sprawiła, że zarówno owe podobieństwa, jak i różnice były dla Jakuba atrakcyjne. Wiedziała (bądź potrafiła przewidzieć), jaki rodzaj kobiety zafascynuje młodzieńca, który dorastał w atmosferze graniczącego z rozwiązłością obyczajową wyrafinowania, a zarazem daleko idącego zakłamanie i pruderii. Przez umiejętne połączenie w sobie cech przeciwstawnych byłaby atrakcyjna i dziś. Bazowała bowiem na pewnych prasygnalach, które prawdopodobnie nigdy się nie zdezaktualizują. Z archetypowych dysonansów stworzyła harmonijny i niezwykle mocno brzmiący akord.

Ona rzeczywiście potrafiła być Jakubowi wszystkim, czego potrzebował, w tym kochanką, kompanem i... matką. Czyż mógł od jakiegokolwiek innej kobiety oczekiwać więcej? Sam Jakub, ostami potomek rodu d'Atrtrox, nie był typowym przedstawicielem swojej klasy. Prawdopodobnie fakt, iż we wczesnym dzieciństwie był wychowywany przez Wincenta i jego żonę, ukształtował jego osobowość w taki a nie inny sposób. Przede wszystkim Jakub miał bardzo otwarty, powiedzielibyśmy dziś – demokratyczny stosunek do ludzi prostych. Jego łaskawość i zrozumienie dla tak zwanych warstw niższych, wystawiają mu chlubne świadectwo. Jednocześnie ostatni z rodu d'Atrtrox wykazuje się wybitnie bojowym i bezkompromisowym charakterem wtedy, gdy wymaga tego sytuacja.

Taaaak. Jakub d'Atrtrox łączył cechy wojownika z cechami niezwykle łaskawego i światłego pana. Jego liczne skrupuły związane z egzekwowaniem należnych mu praw i świadczeń ze strony poddanych wydają się w kontekście epoki wręcz nienaturalne. On miał

prawo żądać i bezwzględnie egzekwować. Tymczasem nie czynił tego. Jego krótka rozprawka na temat życia w nadzy rozczuła swoją naiwnością, ale i skłania do refleksji. Nie sądzę, aby jakikolwiek inny książę (lub książątko) ówczesnej doby, w obojętnie jakim kraju, czy kraiku zastanawiał się nad tym, z czego mają mu płacić daninę jego poddani. Regułą bowiem było łupienie maluczkich ponad wszelką normę i wytrzymałość tychże. A książę na Atrtrox tego nie robił. Choć mógł. Choć w zasadzie tak mu wypadało. Ograniczył własne prawa, aby nie krzywdzić włościan.

A może jest to objaw jego mądrości, daru przewidywania, przebiegłości? Może Jakub nie chciał zarzynać kury mogącej w przyszłości znosić złote jaja? Może wolał trochę odczekać, pozwolić owej kurce podpaść się trochę, a dopiero później wymagać od niej tego, co mu się prawnie należało? Jedno jest pewne: Jakub d'Atrtrox wyprzedzał swą epokę. Szlachta mu współczesna w znakomitej większości nie dostrzegała w zasadzie niczego, poza sobą, wąsko traktowanymi przywilejami stanowymi i równie wąsko rozumianym honorem. Jakub d'Atrtrox wydaje się mądry, tolerancyjny, otwarty a przede wszystkim pozbawiony jakiegokolwiek fanatyzmu, czy ksenofobii. Ten człowiek myślał, czuł, cierpiał i rozumiał cierpienie innych. W prostaczkę potrafił zobaczyć człowieka i nawet jeśli nim pogardzał, nie okazywał tego. Prawdopodobnie jego pogarda nie była zbyt głęboka. Zadziwia mnie też jego niechęć do tak zwanej łatwizny. Przecież dużo prościej niż borykać się naraz z wieloma przeciwnościami,; byłoby mu porzucić dobra rodzinne (zwłaszcza, że dobrami jako takimi wyraźnie być już przestały) i wybrać karierę dworaka. Istnieją zbyt liczne przykłady na to, że zdolności mniej niż przyjaźń wpływowych osób, były w stanie wywindować młodego, wystarczająco ambitnego i drapieżnego (lecz potrafiącego, gdy trzeba ukryć zarówno ambicje, jak i drapieżność) człowieka naprawdę wysoko. Jakub d'Atrtrox był bardzo bliski wybrania tej właśnie drogi. Pani von Schwertz ze swymi koneksjami i znajomościami długo jeszcze wspierałaby go na kolejnych szczeblach kariery. Czyniłaby to oczywiście pod warunkiem, że i on od czasu do czasu wspierałby ją we właściwy sposób swą młodością, werwą i (prawdziwym bądź udawanym) zapałem. Chin. Jakub okazał się zbyt uczciwy na dworaka. Wybrał lojalność wobec gasnącego rodu i trudną, a przede wszystkim długą drogę do jego – nazwijmy to – rekultywacji, czy rekonstrukcji. Z drugiej strony patrząc, nie mógł wybrać gorzej. Bo choć jego posunięcie, stawiające na Marcela, jako zarządcę dóbr, było w swej prostocie genialne, to jednak wybór Eleonory stawiał pod znakiem zapytania wszelkie dalsze plany. Jakub powinien był skoligacić się z jakąś panną ze swej sfery. Co najmniej jedna taka pozostawała w jego zasięgu. Była nią córka pana de Mantur. Sądzę, że kawaler Pugh, lub de Pugh zostałby natychmiast odstawiony na boczny tor, gdyby książę d'Atrtrox serio zainteresował ową – jak sam ocenia – śliczną panną.

Jednak działania Eleonory musiały odnieść zamierzony efekt:

Jakub był już w niej na tyle zakochany, że nie istniała ludzka siła, zdolna otworzyć mu oczy. Dziś wiem to, czego nie wiedział ostatni d'Atrtrox. Dlatego łatwo mi tak pisać. On sam, choć ostrzegany przez swego ojca i przez kilka innych osób, nie wierzył ostrzeżeniom. Temu wszakże nie należy się dziwić. Przecież Jakub, Bogiem a prawdą, nie miał podstaw do nieufności. Zarówno Eleonora, jak i jej ojciec potrafili bardzo zgrabnie wyjaśnić wszelkie podejrzenia, pomówienia, rozwiać wątpliwości za pomocą racjonalnych argumentów, wobec których nie mogły się ostać ani Wincentowe bajania, ani osnute na ich kanwie, chore dywagacje ojca Jakuba, księcia Hektora d'Atrtrox. Eleonora i jej rodzic zawsze mieli na podporządku argumenty nie do podważenia. Niekiedy uprzedzali pytania i rozumnymi właściwie dobranymi słowami już w zarodku niszczyli dopiero co kiełkującą nieufność księcia d'Atrtrox. Byli niezwykle przebiegli.

Poza wszystkim Jakub (podobnie jak i ja) zbyt długo traktował doniesienia o niepokojących cechach Eleonory w kategorii niesmacznych bajek, rozpowszechnianych przez głupców, szubrawców i zawistników. Nie próbował z nimi walczyć, wiedząc, że nie wygra. Albo uważał, że tego typu walka jest poniżej jego godności. Usiłował natomiast rozjaśnić w głowie Wincentowi. Wyraźnie zależało mu na starym słudze, piastunie. Gdy odkrył całą nad wyraz bolesną i wstrętną prawdę, było już za późno na jakiegokolwiek przeciwdziałanie. Klamka zapadła. Nie, nie dlatego, że odbył się ślub. Ten można było unieważnić. Przyczyny ku temu były aż nadto wystarczające. Ale Jakub zbyt nagle zdał sobie sprawę z tego, że bez Eleonory takiej, jak ją sobie wyobrażał, jaką znał dotychczas, Eleonory takiej jaką ona sama kazała mu się postrzegać, dalsze życie nie ma dlań najmniejszego sensu. Zawaliły się jego wszystkie marzenia, plany, cały świat legł w gruzach. Doznał potężnego szoku. Stąd krąco ostra reakcja i w jej rezultacie szał godny berserkerka.

Ponura, skąpana w krwawym mroku scena, rozgrywająca się w podziemiach ratusza, jest opisana dokładnie i szczegółowo. Wyraźnie robiła potężne wrażenie na jej mimowolnym świadku. Nie mogła nie zrobić. Poddając ją starannej i wielokrotnej analizie, eliminowałem mnóstwo związanych z nią pytań powstałych w mej głowie. W efekcie pozostawiłem tylko dwa. Pierwsze brzmiało: – jaki był cel krwawego misterium? Drugie: – dlaczego odbywało się ono akurat w tym miejscu i czasie?

Nad odpowiedziami dyskutowaliśmy całym zespołem długo i wytrwale podczas wieczornych spotkań przy ognisku. W trakcie, rzadko kiedy spokojnych obrad, padały rozmaite hipotezy, z których pozwolę sobie zacytować jedną, wcale nie najbardziej oryginalną. Otóż według pewnej pani docent, którą zawsze postrzegaliśmy jako cokolwiek nawiedzoną, ze świeżych zwłok ludzkich można jeszcze odzyskiwać szczątkowe ilości energii. Owa pani docent w swej żarliwej wypowiedzi powoływała się na dziełko zatytułowane „Dzienniki Ezoteryczne” pióra niejakiego Feliksa van Zeendena, ongiś głośnego, dziś omal całkiem zapomnianego maga i skandalisty z przełomu XIX i XX wieku. Ponoć właśnie w tej publikacji, na stronie 137 i 138, a potem 211 i 217 opisano wysnuwanie ze świeżych zwłok mglistych pasm. Cel zabiegu nie został dokładnie wyjaśniony. Można się wszakże domyślić, iż mamy do czynienia z odzyskiwaniem, czy też kradzieżą szczątkowej formy jakowejś energii. Van Zeenden twierdzi, że proces umierania ma charakter cykliczny i że po śmierci ciała fizycznego, następuje powolne opuszczanie zwłok przez ciało ezoteryczne uwięzione w niepotrzebnej już, ziemskiej powłoce. Nie to jednak wydało mi się najważniejsze. Przede wszystkim bowiem opis ten mógł świadczyć o tym, że Eleonora potrafiła taką energię odzyskiwać. To co z kolei oznaczałoby, że przekazane Jakubowi d’Atrtrox przez jego ojca i Wincenta przestrogi, nie są (oczywiście tylko w pewnym sensie) bezpodstawne. Jeśli bowiem tak było, to Eleonora rzeczywiście „odbierała duszę” i „żywiła się zmarłymi”. Nie czyniła tego wszakże dosłownie. To jedynie brak wiedzy, połączony z niedoskonałością semantyczną użytych środków wyrazu, skreśliły taki, a nie inny jej wizerunek. Jej praktyki nie miały nic wspólnego ani z nekromancją, ani z kanibalizmem. Współcześni po prostu nie potrafili ich inaczej nazwać.

Tanatologia, nauka o śmierci i o zjawiskach towarzyszących procesowi umierania ciała, potwierdza fakt pojawiania się niekiedy nad umierającym ciałem czegoś w rodzaju mniej lub bardziej, lecz przecież obserwowalnej gołym okiem mgiełki, która następnie odpływa gdzieś, znika. Zaś same ciało po śmierci waży odrobinę mniej niż tuż przed nią. Tyle fakty... Cóż, wnioski nasuwają się same.

Czytałem ostatnio artykuł, który nie musi mieć bezpośredniego związku z działalnością Eleonory, może jednak stanowić uzupełnienie powyższych rozważań.

Otóż w pewnym popularnym periodyku roszczącym sobie pretensje do miana naukowego, natknąłem się na reportaż traktujący o tak zwanym wampiryzmie energetycznym. Autor obszernego opracowania powoływał się na zeznania kilkudziesięciu świadków, którzy ponoć na własnej skórze doświadczyli skutków owego swoistego pasożytnictwa.

Cała operacja odbywa się ponoć bez wiedzy poszkodowanego, co wydaje się jasne i oczywiste. Najdziwniejsze jednak jest to, że również odbierający wcale, ale to wcale nie muszą (choć mogą) zdawać sobie sprawy z przebiegającego procesu. On dzieje się automatycznie i bezwiednie – dajmy na to – w trakcie sympatycznej, przyjacielskiej pogawędki z kolegą z pracy. Podczas takiej rozmowy pewna ilość energii przechodzi z dawcy na biorcę i tak dzieje się dopóty, dopóki dawca ma cokolwiek do oddania. W rezultacie biorca zwany wampirem tryska werwą, dobrym zdrowiem i humorem, dawca zaś z czasem wędnie coraz bardziej, by w końcu zejść z tego świata na anemię i nikt na dobrą sprawę nie potrafi powiedzieć, dlaczego tak się stało. Tyle mniej więcej objawiał reportaż, którego autor najwyraźniej nie mógł się zdecydować, jaką postawę przyjąć. Utrzymując bowiem lekki, chwilami wprost drwiący ton, nie potrafił ukryć zarówno fascynacji nowo poznawanym zjawiskiem, jak i obaw z nim związanych. Jestem skłonny rozumieć te obawy. Jeśli bowiem istnieją bioenergoterapeuci przekazujący swą energię potrzebującym, potrafiący tęże energię ukierunkowywać i dozować jej ilość, to dlaczego nie mieliby istnieć i jej rabusie? W związku z powyższym zakładam, że doniesienia o „wampirach energetycznych” mogą opierać się na prawdzie. Byłaby więc Eleonora kimś w rodzaju takiego „wampira”, czy raczej „nekrowampira”? A może chodziło o coś zupełnie innego? Nie mnie o tym sądzić. Ja tylko łączę z sobą wątki, które wcześniej skojarzyłem jako podobne do siebie.

Co do szczególnego umiejscowienia w czasie tracących nekromancją zabiegów, pomimo ponawianych wielokrotnie wysiłków długo nie potrafiliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Eleonora wybrała akurat ten moment. Ale i w tym przypadku inwencja naszej światłej, choć ekscentrycznej koleżanki okazała się niezastąpiona. Jej osobliwą argumentację zamieszczani poniżej w formie dosłownej. Oto ona:

„– Żaden plus nie może istnieć bez minusa, światło bez ciemności, biel bez czerni. Każdy z bogów miał swego szatana. Radosnej i jasnej ceremonii zaślubin musiała odpowiadać inna, skąpana w krwawym mroku. Czyli jedna była swoistym odkupieniem drugiej. One były wzajemnym zadośćuczynieniem, wzajemną dla siebie przeciwwagą”... – płynęły pokręte dywagacje skażone typowym dla naszego kręgu kulturowego relatywizmem.

Z dalszych rozważań wynikało, że to, co działo się w głębokich podziemiach ratusza, dzieje się zawsze, to znaczy stale i że czas nie ma tu żadnego znaczenia. Podobnie jak i miejsce. Jakub Maria d’Atrtrox schodząc na dół, do lochu, znalazł się w czasie i świetle równoległym do „naszego”, „ziemskiego”. Nazywając to miejsce „przedSIONKIEM PIEKIEŁ”, nie był zbyt odległy od prawdy. Kwestia jedynie w tym co jest „piekłem”, a co „niebem”. Przecież wszystko zależy od nastawienia, elastyczności, wprawy w postrzeganiu i nazywaniu rzeczy. On znalazł się w swoistym „punkcie kontaktowym”, który mógł być zlokalizowany wszędzie. „Świat Równoległy”, czy też „Światy Równoległe” istniały zawsze i istnieją obok nas, lecz my nie dostrzegamy ich, choć być może jesteśmy obserwowani przez zamieszkujące je istoty. Nie jest wykluczone, że w „Światach Równoległych” żyjemy my sami, czy też nasze Alter Ego. A może jest inaczej, może to właśnie my tu i teraz stanowimy Alter Ego dla jakichś nas, żyjących w przeczualnym gdzieś blisko jednym z wielu „Światów Równoległych”? A może owych „Światów.” jest nieskończona ilość? No bo jeśli istnieje jakiś jeden, to dlaczego nie ma ich istnieć więcej?

Zdaje się, że to właśnie wtedy podczas takich rozmów, takich dyskusji, których temperaturę podnosił spijany w ich trakcie calvados, po raz pierwszy nawiedziła mnie zrazu

nieśmiała myśl, aby napisać książkę. Albo przynajmniej opowiadanie. O NIEJ. O Eleonorze. Myśl ta wracała do mnie wielokrotnie. Szczególnie nocami, gdy światło księżycy przeświecało przez cienką tkaninę namiotu, nie dając spokojnie zasnąć. Wychodziłem wtedy na zewnątrz...

Ogromny księżyc wznosił się nad doliną, srebrząc swym blaskiem ruiny na wzgórzu Atrtrox, obozowisko profesora Ternclavenny, migotliwe fale rzeki Moen szepczące odwieczną pieśń przemijania.

Wspinałem się na wzgórze. Zarówno zafascynowany urzekającym pięknem, jak i przepięknym mistycznym lękiem, otwierałem wrota kaplicy. Całe jej wnętrze skąpane było w zimnym blasku księżycowej poświaty. Siadałem na krawędzi sarkofagu, w którym spoczywała Eleonora. W takie noce, w takie chwile nawiedzały mnie myśli, marzenia, tęsknoty i pragnienia, jakich nie odczuwałem nigdy dotąd. Wiem, że zabrzmi to dziwnie, ale ogarniało mnie poczucie niesamowicie silnej więzi z NIA, od trzech wieków spoczywającą w chłodnych objęciach kamiennego grobowca.

Czas stawał w miejscu, pozwalając mym myślom swobodnie żeglować po nieznanym im wcześniej wodach niczym nieskrępowanej wyobraźni. Pragnienie ożywienia Eleonory, choćby miało to być jedynie pozorne życie na kartkach papieru, stawało się dojmująco silne.

Tak trwałem, dopóki niestrudzony w swej wędrówce księżyc nie przesunął się, dopóki cień ponownie nie okrył ruin zamku Atrtrox i rozstawionych u stóp wzgórza namiotów. Wracając wtedy do obozu, padałem na posłanie i zasypiałem snem ciężkim niczym wieko sarkofagu. Rano budzono mnie bezlitośnie, zaś okazywane w ciągu dnia roztargnienie i ospałość, a także niechęć do rozmaitych obozowych rozrywek sprawiały, że stawałem się niechętny powodem żartów i psikusów ze strony kolegów. Jedynie profesor Ternclavenna nigdy nie śmiał się ze mnie.

Jestem mu za to wdzięczny.

Przy całym szacunku dla pani docent, nie mogliśmy jakoś zaakceptować jej punktu widzenia. Wysuwając kolejne teorie i teoryjki doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że kręcimy się w kółko. Profesor Ternclavenna tymczasem nie zabierał głosu. On tylko słuchał i intensywnie milczał. Wiedzieliśmy wszyscy znający go dobrze, że szykuje nam jakąś niespodziankę i delektuje się naszą bezradnością. Istotnie, jego teoria, gdy już zdecydował się ją przedstawić, okazała się jedyną możliwą do przyjęcia. Przynajmniej do czasu. Była sensowna, logiczna, a przede wszystkim oparta o racjonalne przesłanki i zdrowy rozsądek. Profesor z właściwym sobie chłodnym sarkazmem, noszącym wszelkie znamiona pańskiej pobłażliwości dla „ubogich duchem maluczkich”, zwrócił naszą uwagę na kilka drobnych z pozoru, lecz jakże ważkich szczegółów, które pominęliśmy. I nagle wszystko stało się jasne. Aż dziwne, że żadne z nas, uczestników poważnej w końcu wyprawy badawczej, nie wpadło na ten trop.

Eleonora z wielką wprawą i upodobaniem posługiwała się jakowymiś bliżej niesprecyzowanymi miksturami i dekoktami. W pamiętniku księcia Hektora d'Atrtrox bardzo wyraźnie opisano działanie jednego z nich, silnego środka przeciwbólowego i – według wszelkiego prawdopodobieństwa – halucynogennego. Sam Jakub wspomina zarówno jakowąś małmazję „o smaku przedobrym”, której jednakże spożycie w nadmiarze wywoływało skutki zgoła opletane. Opisuje też działanie „kordiału” zwiększającego skuteczność bojową wojownika, a przede wszystkim pozbawiającego go jakichkolwiek skrupułów. Wspomina też o zachowaniu maruderów pozostałych w dolince, po rzekomych egzorcyzmach. Ci ludzie nie zdradzali objawów typowych dla pospolitego – upojenia winem. Oni zostali potraktowani czymś dużo bardziej skomplikowanym i skutecznym.



Jeżeli jednak pan burmistrz i jego urodziwa córka lubowali się w eksperymentowaniu z silnymi środkami psychotropowymi, jeśli sami używali ich i szprycowali nimi swych gości, to jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że mniej przyzwyczajony i nieuodporniony na ich działanie osobnik mógł, w wyniku ich przyjęcia, cierpieć zgoła nieprawdopodobne katusze w połączeniu z niewyobrażalnymi wizjami. Próbkę takowych daje nam Jakub po pobycie w łaźni. Nie jest ważne dlaczego, lub po co burmistrz i Eleonora uprawiali ten proceder. Niewykluczone, że chodziło im o uzależnienie, a tym samym podporządkowanie sobie określonych osób. Stary, sparaliżowany pan na Atrtrox odkrył lub był bliski odkrycia ich machinacji. Zdaje się, że Jakub nie zwrócił szczególnej uwagi na ten właśnie fragment jego testamentu. Zabrakło mu doświadczenia. Bowiem być może właśnie tam tkwi clue całej zagadki. Jeżeli jednak hipoteza profesora miałaby być trafna, oznaczałoby to, że owo krwawe i wstrętne misterium w podziemiach ratusza w ogóle się nie odbyło! Że miało miejsce wyłącznie w zwojach mózgowych Jakuba, znękanym nieznanym, hojnie domieszanym do wina specyfikiem. Cóż, pan burmistrz i jego piękna latorośl tym razem przedobrzyli. To się zdarza.

Bardzo zainteresował mnie opis podobnej do góry budowli, spowitej w gęstą, a wieje nietypową dla regionu roślinność.

– Jeżeli stała wówczas, to stoi i dziś – pomyślałem i zapytałem profesora, czy wie cokolwiek o podobnym obiekcie i gdzie takowy mógłby się znajdować. Ale profesor nigdy nie słyszał o czymś, choćby z grubsza przypominającym opisany pagórek. Kierując się skąpych wskazówkami zakładałem, że zamaskowana warownia powinna się znajdować w odległości sześciu do ośmiu kilometrów od Femquez.

– Gdyby była dalej, to nie opłacałoby im się tam jeździć – wnioskowałem. Nie potrafiłem jednak określić, w którą stronę należałoby się kierować.

Próbowałem rozpytywać miejscowych zarówno o obiekt, jak i o jego lokalizację, lecz oni zbywali mnie lub udawali, że nie wiedzą, o co chodzi. Wreszcie po długich indagacjach bardzo podobnych do śledztwa pełnego chytrych podchodów i podstępnych pytań, udało mi się dowiedzieć, że za przełęczą Oślego Grzbietu istotnie wznosi się szczególnego kształtu wzgórek mocno nielubiany i zwany z niejasnych przyczyn Czarcim Łajnem. Jego wygląd do pewnego stopnia odpowiadał opisowi zamieszczonemu w manuskrypcie.

– Jeździec potrzebował około dwóch godzin, aby dotrzeć tam z miasta – kalkulowałem.

Wypożyczyłem muła i wybrałem się na mały rekonesans. Stojąc na przełęczy, dostrzegłem w dolinie charakterystyczną kępę zieleni, rodzaj kopca wyraźnie odcinającego się od szarorudawego otoczenia skał i piargów. Skierowałem się więc w tamtą stronę. Długo krążyłem, starając się odszukać wiodący do wnętrza chodnik. Natrafiłem na niego przypadkiem, gdy bliski zrezygnowania z dalszych poszukiwań i zły, po raz kolejny byłem skłonny uznać treść pamiętnika za ponury żart. Przyszło mi nawet do głowy, że zwłoki panny młodej nie muszą pozostawać w żadnym związku z prawdziwością opisywanych wypadków.

– Fakt nagłej śmierci pięknej kobiety w dniu jej ślubu lub niedługo po nim, musiał wstrząsnąć współczesnymi na tyle mocno, że ktoś szczególnie wrażliwy lub bezpośrednio zainteresowany (świeżo upieczony małżonek?) wymyślił tę niesamowitą bajkę – myślałem. – Może w jakimś stopniu obwinał się o jej śmierć? A może oszalał? – powracałem do wcześniejszych podejrzeń. Gdy jednak znalazłem się w środku kamiennego pierścienia zbudowanego z gigantycznych, piętujących się warstwami ciosów, wszelkie wątpliwości zniknęły. Miałem oto przed sobą jak najbardziej namacalny, trudny do obalenia w absolutnie dosłownym znaczeniu – dowód prawdomówności mego „księcia d’Atrtrox”. Co więcej: – znajdowałem się w tego dowodu wnętrzu! Otaczały mnie gładkie, jakby miejscami pokryte szklawym ścianą. Nie miałem do czynienia z żadną formą geologiczną. To nie był wybryk natury. Znajdowałem się pośrodku tworu będącego dziełem istot rozumnych. Tworu, którego cel istnienia i wiek nie były mi wiadome.

Ta budowla nie pasowała do żadnej ze znanych mi kultur. Walcząc z natłokiem najbardziej fantastycznych myśli, przemierzałem wzdłuż i wszerz dziwaczny dziedziniec. Nagle doznałem czegoś w rodzaju olśnienia. Nie zastanawiając się dłużej, popędziłem do Atrtrox, by zawiadomić profesora Ternclavennę, iż prawdopodobnie poznałem przyczynę zarówno anomalii demograficznych występujących w rejonie, jak i w sposób pośredni (ale jednak) przyczynę, dla której w jego podświadomości okolica Femquez zakodowała się jako „stara”. Profesor, choć znany ze zgryźliwości i nierównego temperamentu, wysłuchał mnie cierpliwie. Gdy skończyłem, zatelefonował do prefektury Urzędu Celnego w Marsylii z prośbą o pożyczanie mu na parę dni przenośnego licznika Geigera. Profesor wybrał ten właśnie a nie inny, odległy urząd, ze względu na wykrycie i udaremnienie zeszłego lata, przez jego pracowników, próby przemytu znacznej ilości pierwiastków rozszczepialnych, zakamuflowanych na płynącym pod panamską banderą frachtowcu, z rosyjską załogą. Fakt ten był forsownie nagłaśniany przez media i zapewne dzięki temu nadzwyczaj silnie utkwiał w pamięci starego naukowca.

Urzędy celne całego świata nie są z reguły instytucjami skłonny do oddawania przysług zdziwaczałym profesorom. W tym jednakże przypadku magia nazwiska, a także liczne koneksje i wpływy luminarza nauki sprawiły, iż w kilka dni później, z rana, pożądany przyrząd o kształcie nieco podobnym do żelazka, znalazł się w jego rękach. Już koło południa tego samego dnia stanęliśmy całą ekipą u stóp wiadomego wzgórza. Profesor włączył licznik. Jego wskazówka natychmiast zmieniła położenie. Pełznąć nieuchronnie w prawo, osiągnęła oznakowany kolorem czerwonym poziom, określony w „Skróconej Instrukcji Obsługi” urzędnika jako „Zagrozenie”. Nie przekroczyła go jednak. Przez moment balansowała na jego krawędzi, potem cofnęła się nieznacznie, wywołując zrozumiałe westchnienie ulgi pośród uczestników eksperymentu. Wciąż jednak oscylowała w górnej części skali. Za przełęczą promieniowanie zmniejszało się, nadal będąc wyraźnie wyczuwalne. Podobny stan utrzymywał się również w dolinie Moen i sięgał aż po Megirr.

Jest rzeczą dowiedzioną, że w rodzinach pracowników elektrowni atomowych, a więc ludzi poddawanych regularnie niewielkim dawkom promieniowania radioaktywnego częściej rodzą się chłopcy niż dziewczynki. Zagadka pozornie naturalnej preferencji maskulinistycznej pośród populacji regionu była rozwiązana.

Powstawało jednak nowe pytanie, a raczej szereg pytań. Na część z nich odpowiedź próbują obecnie znaleźć wydzielone departamenty Ministerstwa Informacji i Ministerstwa Wojny, prowadząc szeroko zakrojone badania Kamiennego Pierścienia i jego okolicy.

Prace tych doskonale wyekwipowanych, milkliwych panów okryte są tajemnicą. Z poufnych źródeł wiadomo jednak, że promieniowanie dziś nieznaczne, choć (najwyraźniej) wciąż mogące mieć wpływ na organizm zbyt długo pozostającego w jego zasięgu człowieka, było niegdyś znacznie wyższe. Przy czym płynnego i nieściśłego określenia „niegdyś” w ogóle nie da się sprecyzować ludzką miarą. W grę wchodzi bowiem okres co najmniej stu osiemdziesięciu tysięcy lat. Podobno wówczas promieniowanie osiągało poziom równy temu, jakie pozostawia po sobie eksplozja jądrowa średniej mocy.

Nikt na razie nie potrafi wszakże wyjaśnić, kto mógł wywołać taką eksplozję w głębokiej, odciętej od świata górskiej dolinie, pośrodku kamiennego pierścienia o grubych, na omal dwadzieścia, a wysokich (obecnie) na ponad trzydzieści metrów ścianach, ani jakiego pierwiastka rozszczepialnego użyto w celu jej dokonania. Przede wszystkim zaś nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, kto był w stanie takie mury postawić. Jakimi środkami dysponował i PO CO JE BUDOWAŁ. Przed kim, czy przed czym miały go chronić w zamierzonych czasach, kiedy na terenach tych nie było jeszcze NIKOGO!

Jak potężne musiało być zagrożenie, skoro istoty zdolne budować takie umocnienia obawiały się go?

A może było zupełnie inaczej?

Może masywność budowli miała uchronić okolicę przed skutkami dokonywanych w jej murach eksperymentów? Jeśli tak, to cel w zasadzie został osiągnięty. Nikt jednak nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, kim byli budowniczości dysponujący środkami, wobec których wzniesienie otoczonego murami kompleksu nie było na tyle trudne, by ich do tego zniechęcić. Należy przecież wziąć pod uwagę, że owe mury nie były li tylko murami od samego początku. W ich kręgu znajdowały się ongiś najprawdopodobniej jakieś inne budowle, bądź urzędnictwa, które wszakże nie przetrzymały atomowej apokalipsy w mikroskali.

Cóż. Być może czas pokaże, który z wariantów jest łatwiejszy do zaakceptowania. Tymczasem badania trwają.

Odnalezienie potężnych, zamaskowanych ruin i odkrycie ich promieniotwórczych właściwości stało się zarazem przyczyną, jak i tematem kolejnych wieczornych dyskusji, z których niewiele wynikało. Uczestnicy obozu podzielili się na dwie zasadnicze frakcje. Jedna z nich utrzymywała, że Eleonora po prostu odkryła wejście do tego niezwykłego miejsca, zgodnie z tym, co napisano w pamiętniku: „wiele przed laty koniem po okolicy się włóczę”. Członkowie frakcji drugiej, skupionej wokół naszej światłej koleżanki, miłośniczki ezoteryki i nauk tajemnych, hołdowali teorii innej. Uparcie twierdzili mianowicie, że piękna córka burmistrza po prostu wiedziała o tym miejscu od zawsze, była bowiem rzeczywiście potomkinią tych, którzy je wzniesli (patrz „upadłe anioły”, ewentualnie „czarci pomiot”). Tym samym oprócz wiedzy o kamiennym kręgu i jego właściwościach, powinna była posiadać również część wiedzy i możliwości swych przodków. W pewnych fragmentach pamiętnika doszukiwali się nieudolnych, bądź niekompletnych opisów próbek owych zdolności. Utrzymywali między innymi, że Eleonora posiadała umiejętność teleportacji, telekinezy i klonowania. Twierdzili nawet, że Eleonora i jej ojciec to jedna i ta sama osoba. Oczywiście rewelacje tego rodzaju bywały podsumowywane gromkim śmiechem ich oponentów. Tylko profesor Ternclavenna coraz częściej miewał iście nieprzenikniony wyraz twarzy. Ja zaś sam, a więc osoba tkwiąca w centrum całej sprawy, zaangażowana w nią dogłębnie nie tylko naukowo, ale i emocjonalnie, nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Mój rozum bronił się bowiem przed argumentami z pogranicza schizofrenii paranoidalnej. Nie mógł jednak odrzucać i potępiać w czambuł tego, co powolutku wyłaniało się z kart pamiętnika.

Profesor zagadnięty przeze mnie wprost o to, co naprawdę myśli na temat treści osobliwych wynurzeń i czy w ogóle łączy opisywane wydarzenia z osobą Eleonory, odpowiedział krótko i cokolwiek przewrotnie, że jest skrajnym realistą. A w jego wydaniu oznacza to, że liczy się z możliwością istnienia wielu nieodkrytych jeszcze praw i prawd.

– Istnieją rzeczy, o których nie śniło się filozofom – zacytował.

– Niewykluczone, że właśnie stanęliśmy wobec jednej z nich – dodał po namyśle. Niedługo po naszej rozmowie nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. Coś co rzuciło zupełnie nowe światło zarówno na treść opisanych przez Jakuba d’Atrtrox zdarzeń, jak i przede wszystkim na postać samej Eleonory.

Na dwa dni przed spodziewanym przybyciem ekipy z Instytutu Medycyny Kryminalnej, zwłoki zniknęły. Nie pozostało po nich nic, oprócz płytkiego zagłębienia w miękkiej wykładzinie trumny. Wezwano policję, która natychmiast wzięła w obroty niefortunnego, nocnego stróża kaplicy. Ten oczywiście bronił się zaciekle przed zarzutem opilstwa i wynikłym z niego zaniedbaniem obowiązków służbowych. Powołując na świadków kilku bardziej i mniej znacznych świętych pańskich, gromko protestował przeciwko, jak je określał, „niezdrowym insynuacjom” spoconego podinspektora. Swój nędzny stan ogólny, bełkotliwość wypowiedzi, mętność spojrzenia i trudności z utrzymaniem równowagi tłumaczył stróż urazem głowy doznany podczas ostatniej nocy. Ostentacyjnie pokazywał wszem i

wobec spory siniak na potylicy, utrzymując jakoby tenże był jawnym dowodem ingerencji sił nieczystych.

– Sam diabeł tam był, sam diabeł – powtarzał uporczywie. – W łeb mnie palnął, a diabolicę tam wziął, gdzie jej miejsce, czyli prościutko do piekła.

Jednakże zarówno wciąż silny, charakterystyczny zapach bijący od przesłuchiwanego, jak i kilka poukrywanych po kątach kaplicy butelek z bardzo grubego, ciemnozielonego szkła, sprawiły, że policja za nic nie chciała dać wiary serwowanym jej rewelacjom. W końcu uznano, że stróż po prostu przewrócił się po pijanemu, nabił sobie guza i stracił przytomność. Nie wyjaśniło to wszakże, kto i w jaki sposób dokonał włamania. Porzucone w kaplicy narzędzia zupełnie nie nadawały się do tego celu. Były zbyt słabe i prymitywne.

– Sprawców musiało być kilku. Narzędzia porzucili dla niepoznaki, w celu utrudnienia śledztwa – oznajmił z wielką stanowczością podinspektor. Zapowiedział dalsze, intensywne dochodzenie, zadał kilka pytań uczestnikom obozu i... odjechał do domu.

Zastąpiła go przybyła po nie w czasie ekipa z Tornseil.

Jej badania wykazały między innymi, że w celu otwarcia trumny posłużono się bliżej nieokreślonym urządzeniem o działaniu podobnym do silnego palnika, palnikiem jednak nie będącego. Nie wykluczono również możliwości użycia kondensatora wielkiej mocy zdolnego do wytworzenia potężnego ładunku elektrycznego. Przy czym wszystko zdawało się wskazywać, że używano go zarówno od zewnątrz, co wydaje się prostym i oczywistym, jak i od wewnątrz trumny, co już tak oczywistym i zrozumiałym nie jest. Części metalowe, grube sztaby i klamry zabezpieczające trumnę przed otwarciem zostały stopione, drewno spopielone w bardzo wysokiej temperaturze. Wyładowanie zdolne dokonać tego typu zniszczeń, musiałyby być pod względem mocy porównywalne z piorunem kulistym. Przy okazji wyszła na jaw ciekawa, wielowarstwowa konstrukcja owej dziwnej skrzyni, z braku lepszego określenia nadal nazywanej trumną. Ta konstrukcja zapewniała jej daleko idącą odporność na uszkodzenia mechaniczne. Pozwalała też na utrzymywanie we wnętrzu prawie stałej wilgotności i omal niezmiennej temperatury. Co jednak wydaje się najważniejsze, umożliwiała minimalną cyrkulację powietrza i jego powolną, lecz stałą wymianę. Do budowy tej niezwykle i (teoretycznie) niepotrzebnie skomplikowanej skrzyni użyto znacznych ilości konwencjonalnych materiałów, a więc drewna, metalu, specjalnie spreparowanej, ułożonej warstwowo skóry i nasączonych smolistym lepiszczem pakuł. Tu akurat badania nie wniosły nic nowego, oprócz uznania dla mistrzostwa rzemieślnika sprzed wieków. Jednakże niejako automatycznie nasuwa się konkluzja zupełnie innego rodzaju: konstrukcja trumny miała na celu zapewnienie **BEZPIECZNEGO PRZETRWANIA** „zmarłej”. Raczej nie chodziło o izolowanie, o uwięzienie Eleonory, by się jej pozbyć. Przecież dużo prościej byłoby pozwolić jej spalić się wraz z ratuszem. Dziś wydaje mi się absolutnie pewnym, że musiał istnieć ktoś, kto wiedział, że Eleonora nie umarła, że skutkiem odniesionych obrażeń została tylko „wyłączona”, lub – co bardziej prawdopodobne – że pozorna jej śmierć jest dla niej najlepszym schronieniem, ucieczką przed wszystkimi możliwymi niebezpieczeństwami. Ten ktoś dbał o nią stale, chronił ją już wcześniej. Eleonora spoczęła w sarkofagu ubrana w suknię ślubną. Na sukni tej nie było widać żadnych uszkodzeń. Oznaczało to, że została wyniesiona, wyratowana z rzeźni, w którą zmienił się ratusz Fernquez, tuż na samym początku bitwy, zanim oszalały Jakub d’Atrtrox w desperackim ataku furii przyczynił się do jego podpalenia. Ten ktoś wiedział też, że dla Eleonory czas w naszym, ludzkim wymiarze nie ma żadnego znaczenia. Wiedział też, że Eleonorze należało tylko zapewnić odpowiednie, w miarę możliwości niezmiennie warunki letargu i regeneracji.

„– Ona nie była człowiekiem” – oznajmiła pewnego dnia nasza ekscentryczna koleżanka, a profesor Ternclavenna tylko pokiwał głową. – „Eleonora stanowiła doskonale

zaadaptowaną do warunków ziemskich formę przetrwalnikową prarasy przybyłej na ziemię przed pojawieniem się na niej istot zdolnych wymyślić pojęcie czasu” – kontynuowała. Profesor milczał.

I jakoś nagle, jednocześnie wszyscy razem zrozumieliśmy, że wszelkie nasze poprzednie dywagacje, dyskusje i spory nie miały sensu. Mierzenie Eleonory ludzką miarą, ocenianie jej takich, czy innych czynków, według kryteriów dobra i zła, było zwyczajnym nieporozumieniem i stratą czasu. Stało się bowiem omal oczywistym to, co w pewnie duchu podejrzewał każdy z nas, lecz nikt nie kwapił się powiedzieć tego głośno: Eleonora albo nigdy nie była martwa, albo zmartwychwstała. Tym samym ELEONORA NIE BYŁA CZŁOWIEKIEM, bo po prostu nie mogła nim być. Ona tylko przybrała ludzką postać. Należało wobec tego znać za prawdziwe zdumiewające fakty opisane w pamiętniku. Przede wszystkim zaś te, które budziły najwięcej wątpliwości. Pani docent tryumfowała. Jej dosłowna interpretacja trumiennego manuskrytu, wzbogacona o wiedzę współczesną i nieco wybujałą, szczególnego rodzaju wyobraźnię, znajdowały pełne potwierdzenie w nieodpartyach, łączących się z sobą faktach. Należało zacząć inaczej myśleć, inaczej pojmować. Zmusić buntujące się umysły do zaakceptowania rzeczy, spraw, zdarzeń sprzecznych tak z oficjalną nauką, jak i ze zdrowym rozsądkiem.

„– Jest dla mnie od dawna rzeczą oczywistą, że upodobanie Eleonory do omijanego przez ludzi miejsca, mianowicie do owej tajemniczej warowni nie było irracjonalne i przypadkowe – zwycięska pani docent znów dosiadała swego konika, dobijając niedawnych adwersarzy – Skalny pierścień był jej potrzebny. Niewykluczone, że czerpała z niego energię niezbędną jej w takim samym stopniu, jak składniki, które pozyskiwała ze zwłok ludzkich i zwierzęcych. Zwracam uwagę państwa, że w pamiętniku dwukrotnie występują wzmianki o wymieraniu bydła trawionego zarazą. W jednej z nich stwierdzono wręcz, że »bydło wysycha«. Nie może wszakże być mowy o usychaniu z pragnienia. Poziom rzeki Moen zmienia się, co prawda, fluktuuje zależnie od pory roku, lecz korytem zawsze płynie dostateczna ilość wody, by napoić bydło. Od długotrwałej suszy mogły ucierpieć winnice, ogrody i pola uprawne, nie krowy.

Nie da się wszakże stworzyć czegoś z niczego. Eleonora zaś tworzyła, czy też powoływała do istnienia nowe, do pewnego stopnia samodzielne byty na obraz i podobieństwo swoje. Jestem pewna, że była zdolna do tego typu aktów kreacji. Z dostępnych składników tworzyła posłuszne jej i sprzężone z nią mentalnie twory. W procesie tym ciało było najmniej ważne. Dusza, jako niematerialna, jest pozbawiona wymiarów. Eleonora obdarowywała swe dzieła własną duszą, jakkolwiek rozumielibyśmy to pojęcie. Dokonywała swego rodzaju klonowania i potrzebowała do tej działalności szeregu substancji zawartych w organizmach żywych, w ich krwi. Skład krwi bydłowej różni się oczywiście od składu krwi ludzkiej, lecz dla tego akurat celu i dla tego przedsięwzięcia nie były to najwyraźniej różnice istotne” – dowodziła z pasją godną Ignacego Loyoli.

Ale teraz już nikt nie śmiał się z niej.

Dlatego dziś, po zebraniu wszystkich dostępnych mi faktów w jedną, spójną całość sądzę, że Eleonora miała do spełnienia jakąś misję. Na cóż bowiem w przeciwnym wypadku miałaby oczekiwać w podobnej do kabiny hibernacyjnej trumnie, w sarkofagu stojącym pośrodku zrujnowanej kaplicy na wzgórzu Atrtrox? Po cóż mianoby ją najpierw chronić przemyślną konstrukcją omal hermetycznego kontenera, później ukrywać pod inną trumną, a jeszcze potem, po upływie ponad trzech wieków uwalniać w niewytłumaczalny sposób?

Dochodzenie policji w sprawie zniknięcia zwłok utknęło w martwym punkcie. Udało się jedynie wyeliminować satanistyczne i nekrofilskie motywy sprawców włamania. Motyw rabunkowy również został odrzucony. Nie poddawałem stróżom prawa myśli, że niejaki związek ze zniknięciem Eleonory mógł mieć człowiek, który pojawił się w Femquez na jeden

dzień wcześniej. Mężczyzna ten miał około trzydziestu lat, był średniego wzrostu i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przyjechał starym Land Roverem (zapamiętałem numer tablicy rejestracyjnej) i kręcił się po wzgórzu Atrtrox, dopóki profesor Ternclavenna wprost nie polecił mu się oddalić. Nieznajomy przyjął to zupełnie spokojnie, nie próbując nawet prośb, czy jakiegokolwiek innej kontrakcji. Po prostu odszedł i nikt go więcej nie widział. Wcześniej sprawiał wrażenie zainteresowanego naszymi pracami i (jak mi się zdawało) sterował w kierunku sarkofagów. Mogę jednak być nieco przeczulony na tym tle.

Policja używała rutynowych określeń, takich jak „zwłoki”, „włamanie”, „kradzież”. Po prostu nie mogła użyć innych. Ale dziś możemy stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, że określenia te nie są właściwe. Nie było włamania i kradzieży. Nie było zwłok. Eleonora nigdy nie była martwa. Ona opuściła swe schronienie z chwilą, gdy przestało być dla niej bezpieczne. Gdy przestała je chronić magia miejsca, a ludzka ciekawość okazała się silniejsza od wszelkich zakazów i zwyczajowego tabu. (Przypominam, że domniemane zwłoki miały zostać poddane badaniom, zaś badania takie związane są na etapie końcowym z destrukcją obiektu. Zmumifikowane ciała ludzi prehistorycznych, znajdowane w skandynawskich torfowiskach, czy w alpejskich lodowcach, po dokonaniu obdukcji zewnętrznej były poddawane sekcji.)

Wysoce prawdopodobnym jest również, że Eleonora dużo wcześniej uznała, iż nadszedł już czas opuszczenia bezpiecznego schronienia. W tym celu skierowała zainteresowanie profesora Ternclavenny na wzgórze Atrtrox. Później sprawiła, że jego starania o zezwolenie na otwarcie sarkofagów zostały uwieńczone sukcesem. Następnie wydostała się z trumny (schronienia, czy jednak więzienia?), bądź przy czyjejś pomocy, bądź wykorzystując własny potencjał energetyczny.

Ostatnio przysłała mi do głowy hipoteza będąca kompilacją i kontynuacją poprzednich, lecz idąca jeszcze dalej, niejako rozciągająca w czasie rozumowania wcześniejsze.

Eleonorze mogło mało zależeć na zostaniu czyjąkolwiek żoną, bez względu na jego pochodzenie, czy błękitnokrwistość, lub jej brak. Wynikające ze zmiany statusu społecznego przywileje nie musiały mieć dla niej znaczenia. Ważne natomiast mogło być Wzgórze Atrtrox jako miejsce schronienia, dzięki jego właściwościom. Przypominam, że ciała złożone w kaplicy na Atrtrox nie rozkładały się. Sądzę, że dla organizmu pogrążonego w wyjątkowo głębokim letargu, fakt ten mógł mieć kapitalne znaczenie.

Zdając sobie sprawę, iż nie można bez końca eliminować (zabijać) swych przeciwników, Eleonora postanowiła przeczekać. W tym celu zaprogramowała, a następnie zainscenizowała własną śmierć, wcześniej zapewniając sobie możliwość pochówku w korzystnym z jej punktu widzenia miejscu. Każde jej posunięcie zmierzało bezbłędnie do wytyczonego celu. Pierwsza znana nam dzięki pamiętnikowi próba zostania panią na Atrtrox nie powiodła się. Jej fiasko zaowocowało szeregiem działań, w wyniku których nastąpiła daleko idąca pauperyzacja rodu d'Atrtrox, połączona oczywiście z upadkiem jego znaczenia. Nie chodziło przy tym o jakąkolwiek zemstę za doznany – bądź co bądź – afront. Nie. Rujnując podstawy bogactwa a później (omal) egzystencji starego rodu, Eleonora doskonale wiedziała, co robi. Chodziło jej o swoiste „zrównanie” umożliwiające w miarę swobodny kontakt stron. Wspominałem już o tym. Wiem. Wtedy jednak upatrywałem w działaniach Eleonory innej, mniej dalekowzrocznej a bardziej pospolitej, swojskiej, po prostu człowieczej motywacji.

Jest w pamiętniku wzmianka o tym, że Fernquez przestało się zaliczać do dóbr rodu d'Atrtrox już za życia Jakuba, a więc całkiem niedawno przed opisywanymi wydarzeniami. Niemniej fakt ten był o tyle istotny, że mieszkańcy miasta przestali być poddanymi rodu d'Atrtrox. Ślub nawet kompletnie zubożałego i puszczanego z torbami, ale jednak księcia z mieszczką był jako się rzekło, skandalem raczej w mikroskali. Zaś ślub bardzo bogatego księcia z poddanką byłby skandalem niepomiarnie większym, wręcz niebotycznym.

Ród d'Attrtox był kiedyś możny, zaś księżę Hektor d'Attrtox był w swoim czasie – jak byśmy to powiedzieli dziś – osobą publiczną. Natomiast konsekwentne działania Eleonory na przestrzeni lat musiały dać określony efekt. Było nim podkopanie ekonomicznych podstaw bytu rodu d'Attrtox przez zainicjowanie klęsk żywiołowych, epidemii oraz nieszczęść czysto osobistych (obecnie jestem skłonny przypuszczać, że zarówno kilkakrotne poronienia pani na Attrtox, jak i kalectwo księcia nie były przypadkowe). Najważniejszą jednak konsekwencją tak kalectwa jak i zubożenia księcia d'Attrtox miała stać się jego izolacja i zapomnienie, w które popadł, poprzedzone niełaską skutecznie podsycaną przez rywalizujących z nim i zawistnych dworaków. Wnikliwie czytając rękopis nie sposób oprzeć się wrażeniu, że księżę Hektor d'Attrtox jeszcze za aktywnego życia stał się czymś w rodzaju reliktu minionej epoki.

Honor pojmowany przez Niego posiadał wyraźne cechy czasu, który coraz szybciej odchodził w niepamięć. Wartości i zasady, którymi się kierował, traciły na znaczeniu. Tym łatwiejsze okazało się usunięcie go w niepamięć wielkich jego świata.

W każdym razie wszystkie, które wymieniłem (i te których nie wymieniłem, bo są i takie) następstwa działań Eleonory miały stworzyć dogodne warunki dla przyjscia na świat Jakuba (kimkolwiek by on był, lub kimkolwiek miałyby się okazać), a tym samym – prędzej czy później – utorować Eleonorze drogę na wzgórze Attrtox. Wszystko było zaplanowane niezwykle precyzyjnie. Autor pamiętnika zauważył, że w chwili, gdy zamierzał się swoją hablabardą, Eleonora spoglądała na niego z tryumfem. Jeśli zaś chciała „zginąć”, odejść ostentacyjnie w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, to celem jej ostatecznym musiało być przetrwanie do czasów, w którym misja jaką prawdopodobnie miała do spełnienia, jest wykonalna i sensowna. Jakub d'Attrtox tylko początkowo był jej potrzebny jako ktoś, kto wprowadzi ją do miejsca, gdzie będzie mogła przetrwać bezpiecznie pewien ściśle określony okres czasu. Później jego rola miała się okazać znacznie, ale to bardzo znacznie złożona i doniosła. Miał bowiem Jakub stać się mniej więcej tym samym, czym jest anoda dla katody. W świetle tego, co napisałem powyżej, nie jest wykluczonym, że krwawe misterium odbywające się w podziemiach ratusza zorganizowano wyłącznie na jego użytek. Należało przecież otworzyć mu oczy i umysł, wstrząsnąć nim potężnie, skłonić do określonych działań wprowadzając przedtem w stan, w którym do tego typu działań byłby zdolny. A potem wyeliminować jego ludzką, ziemską powłokę. W tej formie, w tej postaci i w tym czasie nie był potrzebny ani Eleonorze, ani nikomu w ogóle. Co więcej: w opinii współczesnych stawał się ogólnie znienawidzonym szaleńcem. Należało więc ukryć i jego. On bowiem pośród wszystkich bytów, jakie wykreowała Eleonora, stanowił najdoskonalszą krzyżówkę pomiędzy nią samą a człowiekiem. Jakub d'Attrtox w największym stopniu wywodził się zarówno od „Upadłych Aniołów” (cokolwiek miałyby to oznaczać), jak i od starannie wyselekcjonowanego, wybranego spośród wielu, wielu innych człowieka. Dawca genów ludzkich, księżę Hektor d'Attrtox był jednostką wybitną zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym.

Jakub d'Attrtox stawał się więc potencjalnym nadczłowiekiem, z tym tylko, że jego uśpione możliwości miały się dopiero rozwinąć. Eleonora na razie nie widziała sensu w uzmysławianiu mu ich. Albo jeszcze było na to zbyt wcześnie, albo nie istniała taka możliwość. Jakub musiał dojrzeć, by móc wyzwolić w sobie określone zdolności i cechy. Dlatego i on został „wyłączony” po wykonaniu swego pierwszego zadania. Jego specyficzne i jedyne w swoim rodzaju „dojrzewanie” miało potrwać ponad trzy wieki.

Powołując do życia Jakuba, Eleonora wiedziała, iż nie od razu będzie on – z jej punktu widzenia – doskonały. Sama przeszła podobną drogę, startując wszakże z przeciwległego bieguny: ona przez swe kolejne wcielenia uczyłowieczała się, nie tracąc swych nadludzkich możliwości, zaś Jakub musiał się – w pewnym sensie – odczłowieczyć mentalnie, utracić

nadmiar balastu typowo ludzkich naleciałości, a zachować tyle tylko ludzkich cech, ile było potrzebnych do utrzymania podstawowej więzi z taką społecznością, w której przyszło mu akurat żyć. Spotkali się więc gdzieś pośrodku. Eleonora na tyle uczyłowiczona, by egzystować wśród ludzi, nie wzbudzając podejrzeń i odrazy ponad pewną, dosyć płynną granicę. Oraz Jakub na tyle zmieniony, ukształtowany zarówno przez Eleonorę, jak i przez swe kolejne wcielenia, że zdolny do stworzenia wraz z nią niewytłumaczalnej logicznie jedności w wielości.

„Podobne przyciąga podobne” – głosi jedna z podstawowych zasad ezoteryki. Eleonora i Jakub połączeni w jedno utworzyli nieprawdopodobnie silną całość energetyczną i mentalną zarazem. Przynajmniej ja takie właśnie odnoszę wrażenie.

Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości mych wywodów. Nie potrafię jednak zdobyć się na bardziej składne, pozbawione luk, lepsze, wyjaśniające więcej. Mylę się więc, albo się nie mylę. Innej możliwości nie ma.

Pozwoliłem sobie na dopisanie dalszego ciągu pamiętnika, poszerzenie go o czasy współczesne. Wytłumaczeniem dla mnie niech się staną opisane już, niezwykle wydarzenia mające miejsce w związku z sensacyjnym odkryciem dokonany przez profesora Ternclavennę. Sądzę, że rzadko zdarza się coś podobnego temu, czego doświadczyliśmy my wszyscy uczestnicy jego kolejnych wakacyjnych „wykopków”. Powiedzmy sobie wprost: COŚ TAKIEGO NIE ZDARZYŁO SIĘ JESZCZE NIGDY I NIKOMU. Dlatego wskrzesiłem Jakuba i wzbogaciłem całość o wątek związany z elementami teorii reinkarnacji. Nie chciałem, by Jakub podróżował przez wieki w tej samej powłóce cielesnej. To byłoby zbyt proste. „– Tylko ciało można zabić” – mówi Eleonora. Dziś jestem tego samego zdania.

Myślę też, że jeśli opisane w pamiętniku zdarzenia polegają na prawdzie (wiele na to wskazuje), to nie ma już nic niemożliwego na tym świecie. Może więc właśnie zaproponowana przeze mnie wersja jest właściwa? Kto wie? Kto to może wiedzieć?

Jednakże przyjmując powyższe rozumowanie, uznając je za trafne, powinniśmy zaakceptować również płynącą z niego, dość niewygodną konkluzję. Musimy mianowicie zgodzić się z tym, że Eleonora żyje między nami wraz z pewną, bliżej nieokreśloną liczbą podobnych jej, bo wykreowanych przez Nią istot. Razem z nimi czeka na coś, co kiedyś musi nastąpić. Nie wiem i prawdę mówiąc wcale nie chcę wiedzieć, co to być może i kiedy się stanie. Może dzieje się właśnie, tylko my, ludzie nie potrafimy lub nie chcemy tego dostrzec? Może skrada się powoli, podstępnie i nieodwołalnie, by zaistnieć, pojawić się otwarcie, gdy będzie za późno na jakiegokolwiek przeciwdziałanie? A może sami przyspieszamy bieg spraw, nakręcając z bezwzględną zachłannością i tak już, do ostatnich granic wytrzymałości, napiętą sprężynę przeznaczenia?

My ludzie, samozwańczy Homo Sapiens, pogrążone w celebracji własnej głupoty nagie mały, kabotyni i megalomani napędzani jedynie żądzą seksu, pieniędzy i mordy.

Przecucie nieuchronności zagłady towarzyszyło ludzkości od wieków, znajdując swój wyraz w przepowiedniach dawnych proroków, którzy nadali przewidywanemu kresowi wszechrzeczy miano Apokalipsy.

Ludzie zawsze żyli ze świadomością czekającej ich śmierci. Dlatego zapewne przyzwyczaili się do niej. Jakież wrażenie zrobić więc dziś może powtarzana zbyt często, zbyt nachalnie maksyma „Memento Mori”?

Zbyt długo wzniesiony nad karkiem Miecz Damoklesa przestaje ostrzegać i straszyć. Ludzie przestali już liczyć się z możliwością jego opadnięcia. Nikt nie uwierzy dziś, że jutro nie wzejdzie słońce. Bo przecież ono wschodziło zawsze. Zresztą, jakie to wszystko może mieć znaczenie? Zakodowany głęboko antropocentryzm każe ludzkości utożsamiać się z



wszechświatem. Czyż nie funkcjonuje obiegowe pojęcie „końca świata”, rozumiane jako koniec ludzkości?

– A jakież to będzie „koniec świata”? – zastanawiam się niekiedy.

– Kataklizm, który nastąpi, dotyczyć będzie tylko jednej, małej, ciasnej i niewiele znaczącej planety zdominowanej przez zdegenerowany gatunek. Tylko on zniknie. A jeśli wraz z nim przestanie istnieć życie na całej planecie, to i cóż? Przecież poza tym wszystko zostanie po staremu. Planeta pozostanie, w związku z czym nawet prawa grawitacji pozostaną niezmienione. Kto zresztą wie, ile już razy podczas swoich nieznanym nam dziejów stara Ziemia bywała świadkiem eksperymentów, których nie powinno się oceniać ludzką miarą. Istnieje zbyt wiele niepełnych przez swą starożytność doniesień o tym, co działo się wcześniej. Zanim uznana oficjalnie historia stała się oficjalną historią ludzkości. Cóż. Należy pogodzić się z faktami. Nawet, jeśli fakty te przeczą uznanym autorytetom i oficjalnym opiniom oficjalnych mędrców. Toteż sądzę, że bez względu na to, jak potoczą się losy Ziemi jako takiej, nadal będą istnieć gwiazdy, słońce, wszechświat. Nie trzeba tracić snu dla tak błahej przyczyny – pocieszam się.

Mimo wszystko jednak, nie potrafię całkowicie pozbyć się niepotrzebnego, by nie rzecz atawistycznego lęku przed nieznanym. Przed chwilą, która dla Eleonory i jej pobratymców stanie się Dniem (lub Nocą) Ostatecznego Tryumfu.

Chwilami odnoszę wrażenie, że to już niedługo. Między innymi dlatego zdecydowałem się napisać tę dziwną opowieść.

*Megier / Troisty / Zakopane / Bukowina Tatrzańska /  
Jordanów / Kraków / Warszawa.  
Maj A.D. 1996 – Sierpień A.D. 1997.*

### **Post Scriptum:**

Powieść o Eleonorze (i paru jeszcze sprawach Jej dotyczących) pisałem dość długo, bowiem od połowy maja 1996 do połowy sierpnia 1997 roku. Poprawki i uzupełnienia poczyniłem w marcu, kwietniu, maju i sierpniu 2000 roku. Wcześniej nie miałem na to czasu.

Przyczyną niejakiej rozwlekłości w czasie tak zwanego „aktu tworzenia” były liczne przerwy wynikające zarówno obowiązków rodzinno – osobistych, jak i profesjonalnie komercyjnych. Oraz z małodusznego zwątpienia, które ogarniało mnie niekiedy.

Pozostający w przeświadczeniu, że Eleonora była, jest i będzie, kreślę wyrazy szacunku:

Paulus von Zidler 11 – 24 VIII A.D. 2000.